

ANDRZEJ SZCZYPIORSKI

POCZĄTEK

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1989

POCZĄTEK

BIBLIOTEKA « KULTURY »

Wydanie drugie foto-offsetowe

TOM 418

ISBN 2-7168-0083-9

ISSN 0406-0393

IMPRIMÉ EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 MAISONS-LAFFITTE

ANDRZEJ SZCZYPIORSKI

POCZĄTEK

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1989

I

W pokoju panował półmrok, ponieważ sędzia był miłośnikiem półmroku. Jego myśli, zwykle niedokończone i mgliste, niechętnie wpadały w pułapkę światła. Wszystko na świecie jest ciemne i niejasne, a sędzia lubił zgłębiać świat, przeto siadywał zwykle w kącie ogromnego salonu, w fotelu na biegunach, z głową odchyloną ku tyłowi, tak aby myśli kołysały się łagodnie w rytm fotela, wprawianego w ruch lekkim dotykiem stopy, raz lewej, raz prawej. Na stopach miał pantofle filcowe do kostki, zapinane na metalową haftkę. Haftki błyszczały niebieskawo na tle dywanu, gdy padało na nie światło lampy, ocienionej abażurem.

Krawiec Kujawski przyglądał się haftkom na filcowych pantoflach sędziego i liczył w duszy stratę, jaką poniesie, nabywając od sędziego obraz w złożonych ramach, wiszący na ścianie. Obraz przedstawiał nagiego jegomościa z rogami, siedzącego na beczułce wina. Krawiec Kujawski był zdania, że jest to diabeł, jeden z tych wesołych diabłów, skorych do kielicha i figłów z kobietami, których dawniejsi malarze chętnie malowali, najczęściej na tle dość mrocznym i mało przejrzystym, gdzie krawiec mógł z pewnym trudem wypatrzeć młyn wodny albo ruiny starożytnego zamczyska. Nie były to co prawda obrazy zbyt piękne, ale miały swoją cenę, a krawiec lokował pieniądze w dziełach sztuki, bo był patriotą i człowiekiem kulturalnym.

— Więc powiada pan, kochany przyjacielu — rzekł sędzia Romnicki — że ma już dosyć tej całej wojny. Dosyć wojny! Bądź co bądź pokój jest ludziom przyrodzony. Wszyscy pragniemy pokoju, tak pan się wyraził...

— Tak się wyraziłem — powiedział krawiec, przyglądając

się diabłowi na bezce. Przypomniął sobie naraz, że ten diabeł ma na imię Faun i spłynął na niego słodki, rzewny spokój.

— No, zgoda. Więc niechaj wojna się skończy — rzekł sędzia. — Natychmiast. Od tej chwili... Chciałby pan, drogi przyjacielu?

— A kto by nie chciał, panie sędzio.

— Proszę się dobrze zastanowić. Mówię całkiem serio. Pokój jest najważniejszy, czy tak? Więc kończymy tę wojnę. Od zaraz, bez chwili zwłoki. Niech pan dobrze uważa, kochany panie Kujawski. Gdzie są Sowietci? Przypuśćmy, że na linii Donu. Anglosasi? Północna Afryka. Doskonale. Więc nasz drogi Adolf Hitler panuje nad Europą. I dzisiaj kończymy wojnę, panie Kujawski. Bo pan był łaskaw zauważyć, że pokój jest najważniejszy, czyż nie tak...

— Panie sędzio — zawołał Kujawski. — Jakże? Z Niemcami na karku?

— Niechże pan się zdecyduje, przyjacielu szanowny. Zresztą oni od jutra się zmieniają. Pokój nastanie, pokój nastanie! Najprzód preliminarja, to się rozumie, potem konferencja pokojowa, jakieś ustępstwa obustronne. Sowietci to, Hitler owo, Anglosasi coś jeszcze innego, ale przecież pan stoi na stanowisku, że pokój jest najważniejszy, przeto oni muszą się jakoś dogadać, od tego świat ma dyplomatów, mężów stanu, rozmaite kancelarie jawne i tajne, wymiana dokumentów, cylindry, limuzyny, szampańskie wino, pokój ludziom dobrej woli, panie Kujawski.

— Panie sędzio — wymamrotał krawiec.

— Sam tego chciałeś, Grzegorzu Dyndało! — zawołał sędzia głosem stanowczym. — Teraz proszę bez żadnych krętać. Od krętać są inni na świecie. Ach, drogi przyjacielu, głowa do góry... Przecież mamy pokój! A ponieważ mamy pokój, to okupanci nie mogą dłużej postępować tak okropnie. Cóż, jesteśmy w niewoli. Aleśmy do tego przywykli, panie Kujawski kochany. Ostatecznie obaj urodziliśmy się w niewoli, w niej także umrzemy. No, tak... To pewne, że zrazu będą nas wyzyskiwali okrutnie. Czternaście godzin niewolniczej pracy na dobę. Miska cienkiej zupki. Baty, razy... Ale to przeminie za jakiś czas. Ponieważ zapanował pokój, więc nie mają już szans zdobywania nowych niewolników. Muszą dbać o tych, którzy na nich pracują. Głowa do góry, kochany panie Kujawski. Nie minie parę latek, a będziemy pracowali osiem godzin dziennie,

dadzą nam meinlowskie kartki, nawet kawa będzie, i herbatka, a jakżeby inaczej, skoro jest pokój światowy, skoro trzeba handlować wzajemnie... Czyż Anglicy sami wypiją całą indyjską herbatkę? Czyż Sowietci nie dostarczą ropy naftowej, pszenicy, ziemniaczków, czego tam jeszcze?! Będziemy sobie żyli, panie Kujawski kochany, co prawda pod obcym butem, tego się ukryć nie da, ale za to w pokoju, bo od dzisiaj wieczora zapanauje pokój światowy, to najwyższe dobro człowieka i ludzkości, do którego tak pobożnie wzdychają nasze dusze umęczone, głupie duszyczki, panie Kujawski, zhańbione niewolą, nawykłe do pokory, poniżenia, służalstwa, nie dzisiaj, rzecz jasna, nie dzisiaj jeszcze, lecz za jakiś czas, za kilka latek, kiedy już dadzą nam szkoły własne, a jakże, z naszym ojczystym językiem na wszystkich lekcjach bez wyjątku, kiedy jeść będziemy chlebek ze słoniną i może się nawet od czasu do czasu trafi butelczyna francuskiego koniaku, może szwedzki śledzik, może hawańskie cygaro! Niech pan tylko pomyśli, przyjacielu kochany, ileż cnót i godnych uznania uczynków zaowocuje pod tym słońcem europejskiego pokoju... Jakże radosne będzie życie naszych malutkich niewolników, tych chłopczyków i dziewczyneczek, co nawet cukiereczka dostaną od swych władców, nawet zabawkę kolorową, bo przecież oni będą dbali o dziatwę, nawet Owomaltinę wprowadzą do przedszkoli, żeby dzieci były zdrowe, silne, żeby mogły później rzetelnie pracować, otrzymując skromne, lecz godziwe wynagrodzenie, wyuczasy zdrowotne oraz wypoczynkowe, zgodnie z zasadą „Kraft durch Freude” czyli siła dzięki radości, czyli trzeba wypoczywać, leczyć się, plombować zęby, odżywiać się racjonalnie i prowadzić higieniczny tryb życia, ponieważ to jest nieodzownym warunkiem wydajnej i zdyscyplinowanej pracy, a jak panu wiadomo, kochany panie Kujawski, „Arbeit macht frei”, czyli praca czyni człowieka wolnym, szczególnie zaś czyni go wolnym pod złotym słońcem pokoju europejskiego. I tylko jednego nam zabraknie. Tylko jednego! Prawa sprzeciwu. Prawa powiedzenia głośno, że my chcemy Polski wolnej i niepodległej, że chcemy po swojemu czyścić zęby i odpoczywać, po swojemu płodzić dzieci i pracować, po swojemu myśleć, żyć i umierać. Tego jednego nam zabraknie pod tym słońcem europejskiego pokoju, który pan, mój przyjacielu, uważa za najwyższe dobro.

Krawiec Kujawski obliżał wargi koniuszkiem języka. Haftki na pantoflach sędziego, które jeszcze przed chwilą przywodziły mu na myśl malutkie, błyszczące gwiazdeczki, teraz uznał za ślepią dzikiego zwierza.

Co pan mówi, panie sędzio — wymamrotał. — Ja chcę pokoju, to się rozumie, ale na innych warunkach. Najpierw niech ten cały Hitler pójdzie do ziemi...

— Żeby poszedł do ziemi, trzeba długiej wojny, panie Kujawski — rzekł sędzia.

— To niech będzie długa wojna, ale jego musi szlag trafić!

— No więc jak będzie, przyjacielu? Już panu nie dogadza pokój od dzisiejszego wieczora? Już znowu zachciewa się panu wojaczki? Nie dosyć tych wszystkich okropności? Taki krwawy kat siedzi w pańskim ciele? Tegom się nie spodziewał, panie Kujawski! Mało panu ofiar, pożarów, krwi polskiej i niepolskiej na świecie wylanej?

Roześmiał się sędzia głośno. Zatrzymał fotel na biegunach. Zgasły ślepia dzikiego zwierza.

— Zgoda, przyjacielu — rzekł. — Dogadaliśmy się wreszcie. Zapamiętaj, panie Kujawski! Nam powinno zawsze o Polskę chodzić, o polskość, o wolność naszą. Żaden tam pokój europejski, koszałki-opałki dla idiotów, ale Polska. Czyż nie mam racji?

— Zapewne pan sędzia ma rację — odrzekł Kujawski. — Ale ja jestem nie tylko kurdupel względem wysokości, lecz także względem rozumu.

— Niech pan tego nigdy nie mówi głośno! Sciany mają uszy. Może tam siedzą jakieś domorosłe demiurgi, które tylko czekają, żeby ludzie stracili zaufanie do własnego umysłu, żeby się wewnętrznie poczęli wahać i samych siebie jątrzyć wątpliwością, czy aby rzeczywiście nie mają takiego, jak pan był łaskaw wyrazić się, kurduplowatego rozumu.

— Demiurgi? — powtórzył krawiec. — Nie słyszałem. To coś jakby hydraulik?

— To są, proszę pana kochanego, tacy macherzy od zbawiania ludzkości. Ani się pan obejrzy, jak wylezie jeden z drugim z jakiej dziury. Oni noszą w kieszeniach kamień filozoficzny. Każdy ma inny kamień i rzucają w siebie tymi kamieniami, tyle, że zwykle trafiają w łeb porządnych ludzi jak pan czy ja... Chcą nam urządzać przyszłość na swoje kopyto. I chcą na swoje kopyto fryzować naszą przeszłość. Pan jeszcze takich nigdy nie spotkał, panie Kujawski?

— Może i spotkałem — powiedział pojednawczo krawiec i znów popatrzał łakomie na Fauna w złożonych ramach.

— A swoją drogą — ciągnął sędzia — uwaga o hydrau-

likach wydaje mi się wielce interesująca. Obyś pan nie był pro-
rokiem, kochany panie Kujawski. Bo może nadejść dzień, kie-
dy oni nas wszystkich spuszczą do szamba. I ładnie będziemy
wyglądali.

— A co się tyczy obrazka, panie sędzio — nieśmiało podjął
krawiec — to tego Fauna wzięłbym jeszcze dzisiaj. Ramy pan
sędziego policzy oddzielnie. Chłopak przyjedzie rikszą, owinie się
w papier, sznurkiem przewiąże i można spokojnie jechać.

— Jechać można, panie Kujawski, ale byłbym rad usłyszeć
pańską propozycję.

— Pan sędzia wspominał panu Pawełkowi, że może być
częściowo w naturze.

— A jakże. Byłoby mile widziane. Mam na myśli głównie
tłuszcze i mięso.

Kujawski pokiwał figlarnie palcem w stronę sędziego i
rzekł:

— Pan sędzia niby jest wielce inteligentny, ale głowę do
interesu przecież posiada.

Słowa te wypowiedział tonem wesołym, lecz z niepokojem
w sercu, bo nie był pewny, czy godzi się tak do sędziego odzy-
wać. Krawiec Kujawski miał przy sobie więcej gotówki, niżeli
sędzia widział w ciągu całego roku, a jednak odczuwał skre-
powanie w obliczu starego pana w fotelu na biegunach, nie tylko
dlatego, że sędzia był mu niegdyś dobroczyńcą, ale z całkiem
banalnej przyczyny, że znał swoje miejsce na ziemi. Nie nade-
szły jeszcze czasy, gdy pieniądz i władza decydowały o pozycji
człowieka. Krawiec należał do epoki, która została ufundo-
wana na pewnym porządku duchowym, delikatnym jak porce-
lana, lecz przecież trwałym jak rzymski akwedukt. Panowała
hierarchia dusz ludzkich i wszyscy wiedzieli, że istnieje na zie-
mi szlachectwo nie z urodzenia wynikające, lecz z wnętrza osoby
ludzkiej. Więc stropił się cokolwiek Kujawski i spojrzął na
sędziego. Tamten roześmiał się serdecznie.

— Chciałbym, kochany panie Kujawski, chciałbym, tego
ukryć się nie da — rzekł pogodnie. Czują być jak sejsmograf,
miał w sobie osobliwy zmysł wrażliwości, który poeci nazywają
inteligencją uczuć, więc powiedział jeszcze:

— Ale mnie los obdarzył znajomością z panem, który masz
głowę za nas obu. Zdaje się całkiem na pańską propozycję.

I natychmiast dodał tonem stanowczym, by Kujawskiego
nie urazić i kupieckiej przyjemności nie zamącić:

— Ale będę się targować uparcie, kochany panie Kujawski.

— To się rozumie — odparł krawiec. Pomyślał, że przepłaci, byle znów siedzieć na wytartej kanapce w tym salonie, gdzie się unosił zapach starych przedmiotów i pyłu z wielu książek.

II

Pawełek Kryński otworzył oczy i przyjrzał się dłoniom. Zawsze po przebudzeniu przyglądał się dłoniom. Czy już stały się sine i martwe, z pociemniałymi paznokciami, wydzielającymi trupi jad, czy jeszcze są własne, żywe? Pawełek, bo tak go wszyscy nazywali od dziecka, miał skończyć niebawem dziewiętnaście lat. W tym wieku działały się z człowiekiem owych czasów niezwykle rzeczy. Rozumiał już dobrze odmiennosc płci i tracił wiarę w nieśmiertelność. Dopiero później znów mógł ją odzyskać, lecz wczesna męskość podobnie jak sędziwa starość oswajały go ze śmiercią. Pawełek Kryński wkraczał zatem w okres, kiedy miłość i śmierć stają się nieodłącznymi przyjaciółkami mężczyzny. Myśl o nich nie odstępowała nawet o krok.

W niewiele lat później osiemnastoletni mężczyzna, który okazywałby takie cierpienie i lęk, byłby już tylko śmieszny. Lecz Pawełek należał do epoki, w której młodzi ludzie chcieli być dorośli. Nosili od piętnastego roku życia męskie garnitury i domagali się obowiązków oraz odpowiedzialności. Uciekali od dzieciństwa, bo i tak trwało zbyt długo. Dzieci nie mają honoru, a oni chcieli mieć honor za wszelką cenę.

Otworzył oczy i przyjrzał się dłoniom. Jeszcze były własne. Uspokojony, znów przyłgnął do poduszki. W nocy był u niego Henio. Lecz rysy Henia wydawały się niewyraźne, a głos tak cichy, że Pawełek nie rozumiał słów. Tylko gest Henia dotarł do niego. Jak zawsze podczas snu Henio dawał znak. Pawełek powiedział wtedy: „Gdzie jesteś, Heniu?“, ale nie otrzymał odpowiedzi. Nie lubił tego snu, który powtarzał się regularnie od pewnego czasu, a jednak gdy budził się z uczuciem, że Henio nie przyszedł w nocy, był zawiedziony. „Gdzie się ten potwór zawieruszył?“, myślał Pawełek.

Otworzył oczy, przypatrywał się dłoniom. Pomyślał, że zaniedbuje swoje kontakty z Bogiem. Nie wierzył w Boga tak

mocno, jak przedtem i potem, nosił w sobie sceptycyzm, bunt, szyderstwo i wahanie, ale bał się gniewu niebios. Liczył na ich cierpliwość, ale bał się gniewu.

Dłonie były smagłe, silne. Odetchnął z ulgą. Zerwał się z pościeli. Miał tego dnia dokonać wielu rzeczy ważnych, wymagających męstwa i godności. U wezgłowania tapczanu stały dwie kobiety. Pani Irma, złota, fiołkowa i piękna, z którą się rozstawał. Monika, srebrna i mroczna, jak ikony ruskie, którą zaczynał namiętnie kochać.

Pani Irma była pierwszą, chłopięcą miłością Pawełka. W przedwojennych czasach mieszkała za ścianą, na tym samym piętrze kamienicy. Pawełek, gdy pokochał panią Irmę, liczył lat trzynaście. Była żoną lekarza, doktora Ignacego Seidenmana, rentgenologa i uczonego. Doktor lubił Pawełka. Spotykając go na schodach, wypytywał o szkołę, częstował cukierkami, a nawet pewnego razu zaprosił chłopca do swego gabinetu, gdzie znajdował się aparat do zdjęć rentgenowskich. Pani Irma była złotowłosą pięknoscią o błękitnych oczach i smukłej sylwetce. Już przed wojną śniła się Pawełkowi po nocach. Budził się wtedy przerażony, nie poznawał własnego ciała, które było gorące, naprężone, obolałe. Pani Irma miała w sobie coś z choroby, sprawiała same udręki. Kiedy pani Irma częstowała go cukierkami albo czekoladą, czuł się upokorzony. Chciał dla niej podbijać egzotyczne kraje, łupić twierdze, zwyciężać wrogie hordy. Nie mogli się porozumieć i odnaleźć. Płynął do pani Irmy w korabiu, na galeonie studziałowym, na indiańskim czółnie, a ona zbliżała się z pralinką w ręku. Potem już nie wiosłował w canoe, z pióropuszem na głowie. Pani Irma kluczyła po Warszawie. Żydowska wdowa z nordycką twarzą, pełna determinacji. Była wojna. Pawełek uczył się na tajnych kompletach, usiłował zarabiać, aby pomagać matce. Ojciec przebywał w niemieckiej niewoli, za drutami oflagu. Stosunek Pawełka do pani Irmy stał się opiekuńczy i jeszcze bardziej bolesny.

Doktor Seidenman zmarł przed wybuchem wojny, pani Irma żyła samotnie, zmieniając mieszkania po aryjskiej stronie. Pawełek zawsze miał dla niej czas. Mogła liczyć na jego pomoc. Starła się uchronić archiwum naukowe męża, aby po wojnie rentgenologia mogła się rozwijać dzięki odkryciom i obserwacjom doktora Ignacego Seidenmana. Pawełek pomagał pani Irmie. Była coraz piękniejsza. Lękał się o jej los. Dręczyła go zazdrość. Pani Irma miała trzydzieści kilka lat, kręcili się wokół niej różni mężczyźni.

Pawełek zdał maturę na tajnych kompletach. Trochę zarabiał, trudniąc się pośrednictwem w handlu dziełami sztuki. Ludzie kulturalni i niegdyś zamożni wyprzedawali w czasie okupacji obrazy, meble, książki. Musieli z czegoś żyć. Powstawały nowe fortuny, nieraz ogromne, których źródła nie zawsze były czyste, pochodziły bowiem w części z gospodarczego podziemia, bez którego kraj nie mógłby istnieć jako bezlitośnie wyzyskiwane zaplecze hitlerowskiej maszyny wojennej, po części także z rabunku mienia żydowskiego, bo wprawdzie większą część łupu zabierali Niemcy, ale niejedną cenny okruczność wpadała do polskich rąk. Pawełek kręcił się na osobliwym pograniczu, między zrzuconymi zbieraczami z czasów przedwojennych, wyprzedającymi meble i precjoza ziemiaństwa, zamożnymi niegdyś posiadaczami sztychów, płócien i srebrnej zastawy, a niewielką lecz czujną i obrotną gromadą nuworyszów, wiecznie głodnych i nienasyconych, twardych, zimnych, pyszałkowatych, pośród których trafiali się czasem znawcy i miłośnicy rzeczy pięknych, może w przedwojennych czasach upokorzeni przez los, dawni wędrowcy bocznych ścieżek, którzy wreszcie wkroczyć mogli na główny trakt i brać odwet na szczęśliwszych niegdyś współzawodnikach. Były to w sumie dość ciemne interesy, lecz zdarzali się także ludzie pokroju krawca Kujawskiego, bogacza i kolekcjonera, który ku zdumieniu swych klientów okazywał się często człowiekiem dobrego serca i szerokiego gestu. Pawełek trzymał się krawca, a krawiec lubił Pawełka. Przez jakiś czas stanowili nierozłączną parę, potem stosunki nieco się rozluźniły, nie z przyczyny zatargów handlowych, ale z powodu zajęć Pawełka na tajnym uniwersytecie i dramatów miłości.

Poznał Monikę. Miała osiemnaście lat, włosy krucze, cerę srebrzystą, profil kamei, wdzięk leniwego drapieżnika. Późną jesienią roku 1942 Pawełek pocałował Monikę. Usta miała chłodne, wargi zaciśnięte, oczy wrogie.

— Nigdy więcej! — powiedziała. — Nigdy więcej.

Ale w kilka dni później znów pocałował usta Moniki. Oddał mu pocałunek. Był bliski śmierci. Kochał Monikę. Była piękna, mądra, dobra. Był przy niej niczym. Kamykiem przydrożnym. Liściem jesiennym. Potępionym upiorem. Kiedyś, podczas jazdy rikszą, położył dłoń na jej kolanie. Zesztywniała. Cofnął dłoń. Poczł skrzydło śmierci nad głową. Innego znów dnia, gdy szli Marszałkowską, natknęli się na Kujawskiego. Uchylił kapelusza. Był człowiekiem wielkiej delikatności, dbał o światowe maniery. Monika powiedziała:

— Jaki śmieszny człowieczek.

Pawełek uznał, że Kujawski jest śmiesznym człowieczkiem. Lecz po tygodniu, gdy mieli wspólny interes, krawiec przypomniał sobie Monikę.

— Pan Pawełek to ma prawdziwe szczęście.

— Mianowicie, panie Kujawski?

— Ta panienska na Marszałkowskiej, która była z panem. Jest skończenie piękną...

Zawahał się przez chwilę, potem pokręcił głową i dodał:

— Skończenie? Co też ja mówię. Jest piękna nieskończenie...

Pawełek uznał, że Kujawski jest mądrym człowiekiem, znawcą sztuki, poważnym koneserem.

Kochał Monikę, ale kochał także panią Irmę. Były to różne miłości. Z Moniką chciał przeżyć całe życie, z panią Irmą kilka godzin. Z Moniką chciał się zestarzeć, u boku pani Irmy dojrzeć. Ale żył w okrutnych czasach. Nie ziszczyły się pragnienia. Pierwsze wyznanie miłości złożył wobec pani Irmy, kiedy była bardzo starą kobietą, na tarasie kawiarni przy avenue Kléber w Paryżu. Było to w trzydzieści lat po śmierci pięknej Moniki. Żadna z tych kobiet nie naznaczyła uczuciowej osobowości Pawełka. Kobiety, które były piętnem i znakiem jego życia, miały dopiero przyjść. Ale pani Irma i Monika oswoiły Pawełka ze śmiercią. Zachował wdzięczność.

Przypatrując się dłoniom i wstając z pościeli nie czuł jednak wdzięczności. Był rzecki i zdecydowany. Postanowił, że tego dnia skończy raz na zawsze z miłością do pani Irmy i całe serce odda Monice. Wciąż jeszcze wierzył, że jest panem swoich wyborów. Wierzył w wolność. Należy mu wybaczyć. Nie miał jeszcze dwiętnastu lat.

Mył się w zimnej wodzie, parskął, był niemal szczęśliwy. Nie całkiem jednak, bo znów przypomniał mu się Henio Fichtelbaum. Przyjaciel z ławy szkolnej. Uczeń wyznania mojżeszowego, Henio Fichtelbaum. Najlepszy przyjaciel dzieciństwa, lat chłopięcych i wczesnej dojrzałości. Henio Fichtelbaum, który pomagał Pawełkowi w zadaniach matematycznych. Kapryśny, ładny, ciemny, skupiony.

Były chwile, kiedy się nienawidzili. Henio wydymał wargi.

— Gwizdź na ciebie, Pawełku! — mówił i odchodził między drzewa Ogrodu Saskiego, nieduży, wstrętny, z tornistrem na plecach. Pawełek kopał kasztany w bezsilnej wściekłości. Nienawidzili się. Bywało, że okrutny Henio zavracał. Wargi miał odęte, spoglądał pod nogi, też kopał kasztany.

— Niech ci będzie — mówił — możemy pójść razem do Królewskiej.

Ale bywało, że Pawełek puszczał się w pogoń za Heniem.

— Stój! Poczekaj! Idę z tobą...

Byli Indianami. Byli Abisyńczykami. Henio narzucał na ramiona kraciasty pled i mówił do Pawełka:

— Jestem Hajle Sellasje! Ty jesteś wodzem moich wojsk.

Ale czasem Pawełek zabierał pled i on był cesarzem. Wydawali okrzyki wojenne. Włosi uciekali. Henio strzelał z armat, Pawełek z pistoletów. Mierzyli z łuków, rzucali włócznią.

Henio Fichtelbaum lubił słodczyce, Pawełek filmy. Spierali się. Henio chciał zjeść czekoladę, Pawełek pójść do kina. Spierali się, bo rozstanie byłoby nieznośne. Czekolada miła, film nudny. Byli przyjaciółmi, jakich ludzie dorosli nie spotykają nigdy. Umierali za siebie w zabawie, ale byliby gotowi umrzeć naprawdę, bo jeszcze nie rozumieli śmierci, więc się jej nie bali, brakowało im wyobraźni na umieranie.

Potem już nie brakowało wyobraźni. W roku 1940 Henio Fichtelbaum poszedł do getta. W dwa lata później uciekł i zjawił się u Pawełka. Pawełek urządził go w doskonałej kryjówce u pewnego zegarmistrza. Henio Fichtelbaum zamieszkał na strychu. Tam Pawełek dostarczał mu książki i wiadomości. Henio buntował się, kaprysił. Doświadczenie getta blakło w jego pamięci. Strych mu dolegał.

— To jest kryminał! — mówił Henio Fichtelbaum.

— Na miły Bóg, Heniu, puknij się w głowę. Gdzie będzie lepiej? Musisz się zdobyć na cierpliwość.

— Chcę wyjść na ulicę, Pawełku.

— Wykluczone!

— Wyjdę!

— Jesteś kretynem, idiotą, bałwanem — krzyczał Pawełek.

Henio nie wychodził. Potem już nie mógł wytrzymać w zamknięciu. Pawełek awanturował się.

— Widzisz, że wszystko w porządku — mówił z flegmą Henio Fichtelbaum. — Byłem na mieście i żyję. Nic się nie stało.

— Nie masz sumienia! — wołał Pawełek.

Byli przyjaciółmi. Henio znów ulegał. Nie z lęku o życie, lecz z miłości do Pawełka. Ale w dwa miesiące później zniknął bez śladu. Pawełek modlił się żarliwie. Mijały tygodnie bez wieści. Cała zima minęła. Henio już nie istniał. Tylko późno w

nocy, kiedy Pawełek zasypiał, w ciemności pojawiał się Henio i dawał znak. To znak życia, myślał Pawełek i zasypiał. Rankiem budziły go kobiety. Pani Irma i Monika. Wszyscy troje wynurzali się ze snów Pawełka. Henia Fichtelbauma przy tym nie było. Wciąż pozostawał straszliwie nieobecny. Umarł, myślał Pawełek w ciągu dnia. Ale nocą Henio znów przychodził i dawał znak.

Potem przychodził także, przez długie lata. Nie istniał już świat, w którym Henio pozostał, a jednak pojawiał się w nocy i dawał Pawłowi znak. Paweł myślał wtedy, że to znak śmierci, nie życia. Nie wołaj mnie, mówił do cieniów Henia Fichtelbauma, nie ty masz prawo wołania. Zasypiał bez lęku, bo był świadomy, że Henio Fichtelbaum nie jest wysłańcem Boga, lecz tylko dobrą pamięcią. Może to jedno, myślał czasem.

Ale ufał, że Bóg jest także miłością.

Na dobrą sprawę można powiedzieć, że Paweł był wybrańcem losu. Przeżył wojnę i zaznał miłości. Jest to rzecz zdumiewająca. Niemal dziecko szczęścia! Kiedy miał nieco więcej jak dwadzieścia lat, wydawało mu się, że wszystko bez reszty spłonęło. To miasto było całym światem, jaki posiadał. Nawet nie całe miasto, lecz jego jądro, kilkanaście ulic pomiędzy Belwederem i Zamkiem, brzegiem Wisły i cmentarzem Woli. Tutaj było inne powietrze, niebo, ziemia. Kamienice zamykały widnokrąg. Jako dziecko zdeptał każdy kąt tego skrawka ziemi, aż po horyzont. Nie miał innej ojczyzny. W jej centrum leżał ogród Saski, przyległe do niego ulice, z jednej strony piękne, jasne i wytworne, z drugiej napiętnowane hałaśliwym niepokojem, pełne brzydoty i biedy. Nie istniała granica, oddzielająca dwa światy. W cieniu kasztanów ogrodu Saskiego damy w spacerowych kostiumach, kapeluszach z woalkami, pantofelkach na wysokich obcasach, panowie w trenczach, melonikach, płaszczach z futrzanym kołnierzem ocierali się o ciemnych przechodniów w zrudziałych chałatach i cholewach, krzykliwe przekupki w perukach na głowach, pejsatych chłopców w krymkach i flegmatycznych starców, kroczących o lasce, w kurtkach szamerowanych, maciejówkach na siwych głowach i zniszczonym obuwiu biednych, pracujących ludzi. Wokół fontanny siadywali na ławeczkach powstańcy roku 1863, rewolucyoniści roku 1905, weterani roku 1914, szwoleżerowie roku 1920, krótkowzroczne nauczycielki, które w młodych latach dygały przed Orzeszkową, spiskowcy i Sybiracy, więźniowie Moabitu i twierdzy w Ołomuńcu, kupcy bławatni z Nowolipia i hurtownicy towarów żelaznych z Gęsiej, antykwariusze ze Świętokrzyskiej, młodzi dyplomaci z pałacu

brühlowskiego, kokoty i dewotki, bezrobotni i bogacze, Żydzi, Niemcy, Ukraińcy, francuscy gubernatorzy z dawnych ziemiańskich dworów, białogwardyjscy uchodźcy, panny na wydaniu, studenci o chłopskich twarzach i pustych kieszeniach, złodzieje i kumoszki. Tutaj Pawełek spierał się z okrutnym Heniem Fichtelbaumem, który z nich wygrał kasztany podczas gry w pikuty. Tu bili na głowę bolszewików i zmuszali do ucieczki wyborowe pułki Duce, strącali na ziemię samoloty generała Franco, które ośmieliły się bombardować szanse Republiki Hiszpańskiej.

Można było zrobić kilka kroków i znaleźć się wśród pałaców, gmachów rządowych, limuzyn, zapachów kawy i perfum. I można było pójść w kierunku przeciwnym, ku Granicznej, Żabiej, Rymarskiej, aby trafić w sam środek żydowskiej diaspory, pomiędzy sklepiki z żelastwem, gwarny tłum chasydzki, olbrzymich tragarzy z Hal w ceratowych czapkach i bluzach roboczych, rwetes kupiecki, rzenie koni, zakurzone witryny biednych warsztatów kapelusznich z napisem „Modes” albo „Dernier Cri”, owocarnie, cukierenki, fryzjernerie, zakłady szewskie i kaletnicze, ulicznych handlarzy cajgowych spodni i obwarzanków.

Można było też pójść w inną stronę świata, ku wieżom starych kościołów, wilgotnym kamieniczkom i klasztorom, ku proletariackiej udręce i buntowniczym marzeniom ludu. Tam właśnie Zamek królewski dotykał katedry, katedra dotykała Rynku, a Rynek dotykał Wisły i Jordanu.

To był cały świat Pawła, który zapadał się pod ziemię w ciągu kilku lat, na jego oczach, w jego bezsilnej, oświecającej obecności. Zapadał się dosłownie, walił w gruzy, grzebiąc w ruinach ludzi i polski pomysł na istnienie.

Paweł przeżył wojnę. Czy mógł potem liczyć na uśmiech losu? A jednak zaznał miłości. Jest to rzecz zdumiewająca. Nie da się ukryć, Pawełek był dzieckiem szczęścia.

III

Cela była wąską klatką. Stało w niej jedno krzeselko. Z trzech stron mur. Tylko na korytarz krata sięgająca od sufitu do kamiennej posadzki. Pod sufitem paliła się mocna żarówka bez osłony.

Irma Seidenmanowa usiadła, jak jej rozkazano, na krze-

sełku. Strażnik zamknął zamek kraty i odszedł ociężałym krokiem.

Nie była tutaj sama. Słyszała oddechy innych ludzi, zamkniętych w klatkach rozmieszczonych wzdłuż korytarza. Ale tylko oddechy.

Irma Seidenmanowa pochyliła głowę, ujęła ją w dłonie, łokcie oparła na kolanach i przygarbiona, w skupieniu i ciszy, zniechęciła. Była w niej jakaś ciekawość, pragnienie dokładnego przeżycia każdej chwili przemijającej, ciszy i skupienia, oddechów własnych, uderzeń serca.

Więc spotkało Irmę Seidenmanową to, czego oczekiwała. Niemal każdego dnia przez ostatnie dwa lata była przygotowana na takie właśnie zakończenie. Słyszała na mieście legendy o korytarzu wąskich klatek. Wyobrażała sobie korytarz. Okazał się nieco inny, mniejszy, może trochę bardziej przytulny, nie tak przerażający jak w opowieściach, których słuchała ze ściśniętym sercem. Teraz była w tym korytarzu. Nie musiała się już bać, że tutaj trafi. Mur, krata, żarówka, stłumione oddechy nieopodal, a także jej własny oddech dziwnie miarowy i cichy. Jej organizm oswajał korytarz, przystosowywał się do korytarza. To był teraz cały świat Irmy Seidenman. Trzeba było w nim żyć.

Nagle pomyślała, że życie jest tylko tym, co minęło. Nie ma innego życia poza wspomnieniem. Przyszłość nie istnieje, nie tylko tutaj, za kratą, ale wszędzie, także na ulicy, w lesie, na morzu, w ramionach ukochanego mężczyzny. Życie jest tym, co spełnione, co pamiętamy, co się zdarzyło i przeminęło, aby pozostać jako wspomnienie. Przyszłość nie może być życiem, myślała Irma Seidenman, bo nie ma mnie w przyszłości, nie odczuwam tam ani głodu, ani pragnienia, ani zimna, ani gorąca. To, co się zdarzy gdzieś i kiedyś, jest jeszcze poza mną, ukryte za murem i kratą, poza moją przestrzenią i rozumieniem, jest jeszcze w gwiazdach dalekich, w kosmicznym przeznaczeniu. Moje życie jest tutaj, bo ja tutaj jestem, moje ciało, nade wszystko moja pamięć. Tylko to, co się już stało, jest moim życiem — i nic ponadto! Więc myśleć o życiu znaczy myśleć o zapamiętanej przeszłości, a każda chwila jest przeszłością, to zamknięcie kraty jest przeszłością, to pochylenie głowy, oparcie jej na ramionach, jest przeszłością. To przeżyłam, panie Boże! Niczego więcej nie przeżyłam poza tym, co zapamiętałam. Nic nie istnieje poza pamięcią.

Przypomniała sobie męża, doktora Ignacego Seidenmana, wysokiego, szczupłego mężczyznę, którego bardzo kochała, choć nigdy nie mogli mieć dzieci. Na początku małżeństwa ubolewali

nad tym, ale rychło pogodzili się, odnajdując szczęście we dwoje. Doktor Ignacy Seidenman zmarł na raka w roku 1938. Kiedy umarł, Irma Seidenmanowa sądziła, że nie będzie mogła dłużej żyć, jej rozpacz wydawała się nie do zniesienia. Ale po pewnym czasie porządkowanie spuścizny naukowej męża, jego prac z zakresu rentgenologii, tak bardzo ją zajęło, że ból po stracie stawał się mniej dokuczliwy. Potem, dość nagle i nie bez zdziwienia skonstatowała, że rentgenologia bardziej ją pochłania niżeli myśl o nieobecnym mężu. Zrazu czuła się tylko zobowiązana do zaprowadzenia porządku w chaotycznym dorobku naukowym doktora, traktowała to jako moralną powinność wobec pamięci o nim. Po jakimś czasie jednak dostrzegła istotne luki w tych notatkach, zdjęciach, opisach stanów chorobowych, wnioskach — i poczuła się jakby znieważona, że mąż, człowiek tak pracowity i rozumny, nie ustrzegł się od pewnego bałaganu i dezynwoltury. Nie mogła tego porzucić, nie mogła spuścizny Ignacego Seidenmana wystawić na sztych złośliwej krytyki. Podróżowała do Paryża, do profesora Lebrommella, u niego szukając pomocy. Nie starczyło jej czasu, by dojść do ładu z tysiącami tek i kopert, kiedy wybuchła wojna. W owym czasie Ignacy Seidenman zajmował w jej życiu mniej miejsca, niż jego archiwum. Właśnie to archiwum sprawiło, że ani myślała przenieść się do getta. Była jasną blondynką o niebieskich oczach, prostym, kształtnym nosie i delikatnym, cokolwiek ironicznym rysunku warg. Była bardzo piękną kobietą, liczyła trzydzieści sześć lat i miała spory kapitał w biżuterii oraz złotych dolarach. Archiwum doktora Seidenmana umieściła u przyjaciół, w drewnianej, przestronnej willi w Józefowie, a sama, trzykrotnie zmieniając mieszkanie oraz dokumenty dla powikłania przeszłości, osiadła wreszcie jako wdowa po oficerze, Maria Magdalena Gostomska, w ładnej kawalerce na Mokotowie. Nie musiała dbać o środki do życia, zresztą wymagania jej były skromne, zadowalała się egzystencją samotnej kobiety, która w świecie szaleństwa zajęta była nadal pracą nad uzupełnieniem dzieła zmarłego doktora. Jeździła dość regularnie do Józefowa, czyniła notatki na marginesach rękopisów męża, utrzymywała kontakty z warszawskimi lekarzami, ludźmi godnymi zaufania, którzy nawet w tym okrutnym czasie znajdowali czas na rozmowy z piękną i rozumną kobietą, tak bardzo zajętą problemami promieni Roentgena i zagadkami rentgenologii, że zdawała się nie dostrzegać piekła, w jakim wszyscy wówczas żyli.

Dostrzegała piekło. Mówiła, że nawet w piekle trzeba się trzymać swojej drogi, jak długo jest to możliwe. Niekiedy wy-

rzucała sobie, że z pewną obojętnością przyjmuje wiadomości z tamtej strony muru. Ale nie miała w getcie swoich umarłych. Nigdzie już ich nie miała, bo cmentarz, na którym spoczywał doktor Ignacy Seidenman został zrównany z ziemią, kamienne tablice rozkradziono albo przeznaczono na brukowanie ulic. Ciało doktora Seidenmana nie istniało, ale Irma Seidenman była przekonana, że on sam gdzieś jednak przebywa, może w pobliżu Pana Boga, a może jako duchowa energia w kosmosie, albo cząstka powietrza, którym oddychała, cząstka wody, którą piła. Poza tym doktor Ignacy Seidenman pozostał w jej życiu jako wspomnienie. Widywała go często, rozmawiała z nim wieczorami, przychodził do niej we śnie, nie jako kochanek, nie jako mąż, i nie czuła jego ramion ani pocałunków, lecz tylko jego obecność, skupioną, milczącą, może nawet odrobinę kapryśną, bo doktor Seidenman miał prawo żywić szczyptę urazy z powodu jej krytycyzmu, z przyczyny tych poprawek, które czuła się zobowiązana wprowadzać do jego rękopisów. Niekiedy we śnie spierała się z mężem, ale zawsze była jakoś świadoma, że spiera się sama z sobą, ponieważ mąż nie żyje i nie można się z nim spierać.

Byli więc razem przez te wszystkie lata, ona bardzo realnie, z mnóstwem rozmaitych małych i większych trosk, a także z ogromnym lękiem, który wynikał z wiedzy o sobie samej, z tego żydostwa, co prawda dobrze utajonego, dzięki wyglądowi, doskonałym papierom i życzliwości bliższego otoczenia, które nie żywiło podejrzeń, a jeśli je nawet żywiło, znajdowało się pod presją dwóch tysięcy lat europejskiej cywilizacji; byli więc razem, z tym, że doktor Seidenman pozostawał nieco na uboczu, na szczęście niewidzialny i nieosiągalny dla prześladowców.

Irma Seidenman powtarzała sobie codziennie, że bez wątpienia uda się jej przeżyć wojnę, uzupełnić i w przyszłości opublikować dzieło męża, co uważała nie tylko za świadectwo miłości i pamięci, lecz również, nie bez zawstyżenia i z odrobiną próżności, za własny sukces rentgenologiczny, tym większy, że nie posiadała wykształcenia medycznego, a wszystko osiągnęła dzięki inteligencji, pracowitości i uporowi. Do tego stopnia czuła się pewnie na gruncie swych rozmyślań i obserwacji, że zamierzała w przyszłości podjąć spóźniony wysiłek studiów medycznych, może nawet pod kierunkiem profesora Lebrommella, który był przecież także mistrzem jej zmarłego męża.

Więc powtarzała sobie, że przeżyje wojnę, i jednocześnie sądziła, że to jest myśl zupełnie absurdalna, bo na pewno zostanie zdemaskowana i podzieli los innych Żydów. Czekwała na ten dzień z jakąś gorzką ciekawością i podjęła mocne postanowienie, iż

umrze spokojnie, bez żalu, bo przecież osiągnęła wiele, a z każdym dniem bliższa jest ukończenia pracy nad dziełem swego męża. Bardzo chciała przetrwać jeszcze jakiś czas, jeszcze coś uzupełnić, skorygować, zmienić, ale nie popadała w gorączkowy niepokój, ponieważ była świadoma, że nawet jeśli nie zdąży, to inni jednak zdążą, ktoś na pewno zdąży, są na świecie ludzie rozumni i przywoici, którzy podejmą jej trud i doprowadzą dzieło do końca. A jeśli takich ludzi zabraknie, to dzieło doktora Ignacego Seidenmana także straci sens.

Żywiła więc nadzieję, że przetrwa i była też przekonana, że zginie, co było stanem ducha bardzo ludzkim, naturalnym i nie budziło w niej zdumienia. Kiedy zaś wychodząc z bramy na ulicy Kruczej natknęła się twarzą w twarz na Bronka Blutmana, o którym słyszała, że jest konfidentem i trudni się wydawaniem Żydów, licząc, że w ten sposób ocali swoją głowę żydowskiego fordansera z przedwojennych lokali dancingowych, jej pierwszą myślą było banalne załatwienie sprawy.

— Broniek Blutman powiedział:

— Co za spotkanie, kochana pani Seidenman. Wciąż taka elegancka, no, no!

— Nie będę przed panem udawała — odparła spokojnie. — Możemy to załatwić.

— Niby co możemy załatwić, moja śliczna? — spytał Broniek Blutman.

— Ile pan sobie życzy? Pan jest młodym, przystojnym mężczyzną, tacy mężczyźni miewają duże wydatki.

— Pani Seidenman kochana — odrzekł Broniek Blutman. — Mnie ani świnki ani twarde nie ocalą. Ja mam swój zadany kontyngent.

— Nie chcę być bardziej zła niż jestem — powiedziała — ale kontyngent to pan może wypełnić gdzie indziej.

— Nic z tego — rzekł Blutman. — Ja wędкую na serio. I dlatego pójdziemy teraz tam gdzie trzeba...

— Robi pan zły interes, panie Bronku. Nie jestem żadna Seidenmanowa. Nazywam się Gostomska, mój mąż był oficerem artylerii i poległ na wojnie.

— Wszyscyśmy polegli na tej wojnie — odparł Broniek Blutman. — Idziemy, moja kochana!

— Niczego mi nie udowodnią.

— Ja udowodnię!

Wtedy Irma Seidenmanowa wzruszyła lekceważąco ramionami, choć czuła straszliwy chłód wokół serca i nogi się pod nią ugiwały.

— Czy oni mogą uwierzyć jakiemuś Żydkowi, kiedy wdowa po oficerze stanowczo temu zaprzeczy...

— Niech pani nie będzie śmieszna, kochana pani Seidenman. Idziemy!

Wziął ją pod ramię. Miętko i łagodnie, bo kiedyś był dobrym fordanserem.

— Nazywam się Gostomska — powiedziała głośno. Jakiś przechodzień spojrzął i zmarszczył brwi.

— Nazywam się Gostomska i nie jestem Żydówką — powtórzyła jeszcze głośniej. Dwaj mężczyźni zatrzymali się.

— Czego pan chce od tej pani? — spytał jeden.

— Nie pańska sprawa — odparł szorstko Broniek Blutman.

— Sam jesteś Żydek — powiedział mężczyzna.

— Ja najlepiej wiem, kim jestem — zawołał Broniek i pociągnął Irmę Seidenman za ramię.

Przejeżdżała wolna riksza. Zatrzymał ją. Wsiadli. Na chodniku stali dwaj obcy mężczyźni, ich twarze wyrażały lęk, niesmak i szyderstwo. Broniek Blutman położył dłoń na karku Army.

— Zawsze miałem na panią chrapkę — powiedział wesoło — ale teraz już za późno.

— Niech pan weźmie rękę, bo dam panu w pysk! — zawołała. — Nazywam się Gostomska, Maria Magdalena Gostomska.

— Jawnogrzesznica — mruknął Broniek i roześmiał się. Ale cofnął dłoń. Irma Seidenman zwróciła się do rikszarza. Podała mu swój adres. Prosiła, aby zawiadomił doktora Adama Kordę, jej sąsiada, że została pomyłkowo zatrzymana jako osoba pochodzenia żydowskiego.

— To jest skandal! — powiedziała z gorliwym wstrętem. Rikszarz odparł, że zawiadomi doktora Kordę.

Doktor Korda nie miał pojęcia, że Irma jest Żydówką. Był jej sąsiadem od kilkunastu miesięcy. Jako filolog klasyczny interesował się problemem żydowskim tylko o tyle, o ile miało to związek z Tacytem oraz zburzeniem Jerozolimy przez Tytusa. Od czasu do czasu przynosił Irmie konfitury z dzikiej róży, trochę gawędzili wieczorami o złych, ciężkich czasach. Irma podała jego nazwisko i adres, ponieważ był po prostu porządnym człowiekiem, a należało, by jakiś porządny człowiek wiedział, że niebawem zostanie zgładzona.

Więcej nie pomyślała o doktorze Kordzie. Nie pomyślała też o Bronku Blutmanie od chwili, gdy wyszedł z pokoju Stucklera. Stuckler siedział za biurkiem, ona na krześle przed biurkiem. Patrzyła w szerokie okno, wychodzące na niebieskie niebo.

Nie przyznawała się. Mówiła uparcie — „Nie znam tego człowieka. Nie jestem Żydówką. Nazywam się Maria Magdalena Gostomska. Jestem wdową po oficerze. Pan ma przecież moje dokumenty”.

Miał jej kennkartę, ale nie tylko. Miał także starą, wytartą legitymację Koła Rodzin Wojskowych z miasta Grodna, wydaną w roku 1937. Miał fotografię tęgiego mężczyzny po czterdziestce, w uniformie wojskowym, z dystynkcjami kapitana. Fotografia była także wykonana w Grodnie. Irma Seidenman posiadała dobre papiery. Stuckler otwierał i zamykał srebrną papierośnicę ze złotymi literkami I.S. Otrzymała tę papierośnicę od męża, doktora Ignacego Seidenmana, na krótko przed jego śmiercią i był to ostatni prezent męża, z którym nigdy nie chciała się rozstać. Broniek Blutman pokazał tę papierośnicę z uśmiechem i powiedział do Stucklera:

— Niech pan tylko popatrzy, panie Sturmführerze, to chyba jest najlepszy dowód. I.S., Irma Seidenman, albo, jeśli pan woli, Ignacy Seidenman. Jego też znałem.

— Gdzie on jest? — spytał Stuckler.

— Już nie żyje. Umarł przed wojną — odparł Broniek.

— To nie jest moja papierośnica — powiedziała. — Znalazłam ją kilka tygodni temu. Sam pan widzi, że srebrna. A literki są ze złota. Takich rzeczy dzisiaj się nie wyrzuca.

Powtarzała to wiele razy, także wówczas, kiedy Bronka Blutmana nie było już w pokoju. Stuckler leniwie otwierał i zamykał papierośnicę. Po trzech kwadransach kazał Irmę wyprowadzić.

Siedziała w klatce i to, co przydarzyło się w ciągu przedpołudnia, było teraz jej najprawdziwszym życiem.

Papierośnica, pomyślała. Zawsze i o wszystkim decyduje drobiazg. Papierośnica, bez której można doskonale żyć i wcale jej nie zauważyć. Człowiek jest więc tylko przedmiotem wśród przedmiotów. Papierośnica. Irma była pewna, że gdyby nie to przekłute metalowe pudełeczko, zostałaby zwolniona. Wygląd oraz dokumenty świadczyły na jej korzyść. Co prawda Stuckler w pewnej chwili wstał i przyjrzał się uważnie jej uszom, ale zaraz wrócił za biurko. Słyszała o tym błazeństwie z uszami kobiet żydowskich. Jeśli idzie o mężczyzn, kazano im rozpinać rozporki. U kobiet szukali czegoś w muszli ucha. Sami nie wiedzieli, czego szukają. Ale byli skrupulatni i nie chcieli popełniać omyłek. Ktoś w Berlinie wymyślił, że muszla ucha żydowskiej kobiety nosi tajemnicze znamiona rasowe. Lecz nie było tych znamion. Więc grzebali palcami w uszach, przyglądali się uszom — i dalej niczego nie byli pewni. Stuckler wrócił za biurko, rozczaro-

wany. Ale miał papierośnicę. Gdyby nie miał tej papierośnicy, zwolniłby Irmę Seidenman. Tego była niemal pewna.

Umrzeć z powodu takiej błahostki, pomyślała, to doprawdy niesprawiedliwe. Wcale nie miała uczucia, że umrze jako Żydówka, ponieważ nie czuła się Żydówką i w żadnym razie nie uważała żydostwa za ułomność, lecz przekonana była, że umrze z powodu papierośnicy. I ta myśl wydała się jej śmieszna, głupia, zła i nienawistna.

IV

Na końcu podwórza przy ulicy Brzeskiej znajdowała się wygódka, zaopatrzona w emaliowaną tabliczkę z napisem — „Klucz u dozorcę”. Informacja była nieprawdziwa. Już u schyłku lat dwudziestych zamek do wygódki przerdzewiał i drzwi zamykano na haczyk. W ciągu dnia był tutaj ruch, z wygódki korzystały przekupki pobliskiego bazaru, a także pewien przedwojenny onanista w binoklach i meloniku. Lecz wieczorami, gdy bazar był nieczynny, nikt tu nie zaglądał, bo lokatorzy kamienicy mieli na każdym piętrze po dwa klozety, a dla mieszkańców suterenu wiedziony wielkodusznym szaleństwem właściciel kamienicy wybudował przed wojną ustęp z porcelanową muszlą, tuż obok bramy, wiodącej z ulicy na podwórze.

Henryczek Fichtelbaum siedział w wygódce i myślał o Panu Bogu. Wszedł w ulicę Brzeską o zachodzie słońca, zwabiony zapachem warzyw, których odpadki leżały na bruku. Nie zdążył się jednak zakrzętnąć, gdy napotkał czujne spojrzenie jegomościa w ceratowej czapce. Spłoszony, umknął w najbliższą bramę, rozejrzał się po podwórku, wybrukowanym kamieniami, wyslizganymi przez tysiące ludzkich stóp i kopyt końskich — i gorączkowo szukając schronienia, znalazł się w wygódce. Drzwi od wewnątrz zamykały się na zasuwkę. W wygódce trudno było usiąść, bo pochodziła z czasów Imperium Rosyjskiego i srywali w niej jeszcze stójkowi cesarza Aleksandra III, o którym Henryczek Fichtelbaum słyszał, że był olbrzymiego wzrostu i siły fizycznej, rusyfikował Polaków z wyjątkową zaciekłością i cieszył się poważaniem w całej Europie. Wygódka była urządzona z myślą o załatwianiu się w pozycji stojącej lub kucznej, bo w czasach Cesarstwa ludzie przesadzali na punkcie najnowszych zdobyczy higieny. Lecz teraz były inne czasy i Henryczek Fichtelbaum usiadł

na metalowym schodku, ramię oparł o ścianę, odetchnął wonią ekskrementów i powiedział szeptem:

— Panie Boże, jeśli mam umrzeć, to spraw, żebym się przedtem najadł i ogrzał, bo już nie mogę wytrzymać...

Nie jadł od trzech dni, czuł ucisk w żołądku i zawroty głowy. Był przemarznięty do kości. Świty i wieczory bywały bardzo chłodne.

— Panie Boże, ulituj się nade mną! Dlaczego się na mnie uwziąłeś?

Henryczek miał do Boga stosunek wymagający, jak każdy kto nie bardzo w Boga wierzy i zwraca się do Niego w sytuacjach szczególnych, jako do instancji ostatecznej, lecz niezbyt pewnej. Henryczek wychował się w domu indyferentnym, na pograniczu światów, na ziemi nieczyjej, bo jego ojciec, mecenas Jerzy Fichtelbaum, wywodził wprawdzie swój ród z rodziny pobożnych, ortodoksyjnych Żydów, ale ukończył był studia prawnicze, porzucił dawne środowisko i rozstał się z religią mojżeszową. Rodzina była galicyjska, uboga, prowincjonalna, choć ojciec mecenasa należał do ludzi na owe czasy wykształconych i obracał się w kręgach rabinackich. Mecenas był człowiekiem nowoczesnym, w Boga nie wierzył, trochę komunizował, jak wielu innych inteligentów żydowskich tamtego czasu, którzy upatrywali w komunizmie remedium na wszelkie uprzedzenia rasowe, zapominając całkiem głupio, że komunizm rozwinął się w Rosji.

Henryczek Fichtelbaum wychowany był więc w atmosferze bardzo świeckiej i wolnomysłnej, może nawet śmiesznie wolnomysłnej, bo przecież mecenas Jerzy Fichtelbaum chciał być bardziej europejski i libertyński od największych Europejczyków i libertynów w Paryżu, co jest zrozumiałe, zważywszy, że pochodził z zapadłego kąta galicyjskiego. Henryczek stykał się więc z religią tylko w szkole, gdzie większość kolegów była katolicka, a najbliższy przyjaciel z ławy szkolnej, Pawełek Kryński, uchodził za chłopca wielkiej religijnej żarliwości, co zresztą było oceną przesadną, bo Pawełek też miewał z Panem Bogiem swoje komplikacje. Tak więc Henryczek Fichtelbaum wyrósł na młodzieńca bezbożnego, a jego zainteresowania skierowane były ku naukom ścisłym, głównie matematyce, fizyce i chemii, a zatem ku tajemnicom świata materialnego. Nawet wielki wstrząs, jakim była dla chłopca przeprowadzka z pięknego mieszkania na ulicy Królewskiej do nędznej siedziby w getcie, nie skłonił Henryczka do głębszych rozmyślań metafizycznych.

W getcie zrazu nie cierpiał biedy, ale rychło zaczęło brakować wszystkiego, a po roku rodzina mecenasa zrozumiała, że

skazana jest na zagładę. W jakiś czas potem zmarła matka Henryczka. Pozostał z ojcem i siostrą Joasią, małństwem, które bardzo kochał. Lecz był młody, wciąż jeszcze silny i nie tracił nadziei. Postanowił przejść na aryjską stronę, by tam przetrwać. Pożegnał ojca i siostrzyczkę i uciekł z getta.

Tamtego dnia po raz pierwszy w życiu poważnie pomyślał o Bogu. Leżał w mroku, na wilgotnym chodniku, nieopodal muru getta, i był zupełnie sam. Człowiek nie może być sam w chwili próby. Potrzebuje innych ludzi, a kiedy nie ma ich w pobliżu, odnajduje nagle obecność Boga. Jest to zwykle obecność przelotna, ledwo uchwytna, jakby Bóg przeszedł obok spiesznym krokiem i zniknął za rogiem najbliższej kamienicy. Przed sforsowaniem muru Henryczek Fichtelbaum wyszeptał — „Boże, pomóż mi!”. Potem przelał przez mur i nic złego mu się nie stało. Zapomniał więc o Bogu.

Przez kilka miesięcy dawał sobie radę, dzięki skromnym środkom pieniężnym i gorliwej opiece Pawełka. Lecz pewnego razu popełnił błąd, ponieważ nabrał pewności siebie, a miał dopiero osiemnaście lat i sukcesy przewróciły mu w głowie. Udał się mianowicie do cukierni na Marszałkowskiej, zapominając o swym wyglądzie. Henryczek Fichtelbaum usprawiedliwiał się później przed sobą, że nigdy przedtem nie studiował swej twarzy pod kątem znamion rasowych, co więcej — nikt w jego życiu nie zwracał mu uwagi na żydowskie rysy jako szczególnie godny obserwacji. Jeśli w szkole czymś się przed wojną wyróżniał, to zamiłowaniem do przedmiotów ścisłych, nie zaś kształtem nosa i warg. W cukierni wzbudził najpierw dyskretne zaciekawienie, później popłoch, wreszcie gwałtowną reakcję jakiegoś mężczyzny, który wykrzyknął — „Żyd je ciastko!” — jak gdyby Żyd jedzący ciastko w cukierni na Marszałkowskiej był czymś w rodzaju dinozaura, rosyjskiej arcyksiężniczki bez brylantowych butonów w uszach albo Żyda, jedzącego ciastko w cukierni na Marszałkowskiej w roku 1942. Kilka osób w pośpiechu opuściło cukiernię, kelner zawołał — „O, Jezu! Teraz nas wszystkich pozabijają!” i tylko jakiś starszy pan zachował spokój, wygłaszając krótkie, treściwe przemówienie, skierowane do sufitu:

— Najpierw i tak pozabijają Żydów, a potem nas, nie ma więc żadnego powodu do paniki, niech ten młodzieniec zje ciasteczko, gotów jestem za niego zapłacić, proszę nie popadać w podniecenie oraz prostrację, zachować godność, trwa wojna, jesteśmy skazani, chyba, że Adolf Hitler wyzionie ducha w sposób niespodziewany, czego mu zresztą serdecznie życzę, więc dajcie spokój, nic się nie stało, tu jest Polska, póki co tu jeszcze jest Pol-

ska, i proszę mi nie odbierać tej nadziei. To wszystko, co mam do powiedzenia w sprawie incydentu.

Ale inny pan zawołał, drżący i pobladły:

— Nie dość, że ich mordują, to jeszcze włączają się po mieście i narażają innych, Bogu ducha winnych! Ja tego Żyda nie widziałem, ja go nie widziałem...

Starszy pan wzruszył ramionami i dodał cierpko:

— Pan go przecież widzi, drogi panie!

Ale już go nie widzieli, bo Henryczek Fichtelbaum wyskoczył z cukierni, puścił się biegiem przed siebie, przerażony jak nigdy przedtem, nawet bardziej niż owego wieczora, gdy przełaził przez mur getta, bo wtedy był sam i tylko Bóg przechodził śpiesznie w pobliżu, a teraz znalazł się w tłumie ludzi, czuł na sobie spojrzenia przechodniów, współczujące, zdumione, lękliwe, niechętne, a może nawet całkiem wrogie i wyrażające niezłomne postanowienie. Więc uciekał bez tchu, coraz dalej i dalej. Zatrzymał się dopiero na Puławskiej, zszedł skarpą w dół, ku dalekiej Wiśle, a potem całkiem nagle i bez sensu, postanowił uciekać z miasta. I uciekł.

Zimę spędził na wsi, u porządnego chłopca, który mu urządził leśną kryjówkę, karmił, poił i przeklinał jego żydostwo, które sprawia ludziom tak wiele kłopotów, trosk i dolegliwości. Ale po pewnym czasie Niemcy przeczesywali okolicę w poszukiwaniu partyzantów, a może bimbru, a może Żydów właśnie — i Henryczek musiał uchodzić. Chłop dał mu na drogę chleb, słoninę, zniszczoną czapkę granatową o narciarskim kroju i pięćdziesiąt złotych. Ten chłop przeżył wojnę i po śmierci na pewno trafił do nieba, choć ludzie okoliczni — dość małodusznie — wróżyli mu piekło, bo chłop zapisał się do partii.

Henryczek Fichtelbaum wrócił pod koniec zimy do Warszawy. Nocował po strychach i klatkach schodowych, w bramach i na wysypiskach śmieci. Żywił się tym, co wyzebrał od dobrych ludzi. Już wiedział, że nie ma żadnych szans i niebawem będzie musiał umrzeć. Ta świadomość znów zbliżyła go do Boga, bo jeśli Henryczka czekała śmierć, to pozostawał mu już tylko wybór pomiędzy Bogiem i nicością.

Ale miał zamiłowanie do nauk ścisłych i poszukiwał Boga tylko na tej drodze. Siedząc w wygodce stawiał Bogu pewne wymagania, jak gdyby uważał się za równego swemu Stwórcy, a jednocześnie usiłował znaleźć ścisły dowód na Jego istnienie.

W naturze nic nie ginie — myślał — w naturze wszystko trwa wiecznie. Lecz poszczególne elementy natury bynajmniej wieczne nie są, o czym przekonuje mnie obserwacja, a także

własny los. Oto wącham ekskrementy, które są rezultatem przemiany materii, stanowią cząstkę życia i same żyją, ponieważ składają się z niezliczonej liczby komórek, które milionami umierają i milionami rodzą się, aby życie nadal trwało. Natura trwa, a przecież życie ma swój koniec, poszczególnie życie ma swój koniec, lecz sam proces życia, jego trwanie jest wieczne i nieskończone. Co się za tym kryje? Jeśli miałbym przyjąć, że wieczna i niezniszczalna jest materia, która wprawdzie przetwarza się, lecz zawsze trwa, to równie dobrze mogę przyjąć, że tkwi w niej jakaś siła, jakaś energia niezniszczalna, a więc coś, co jest w materii nieuchwytnie i nie do obliczenia, co jednak nadaje jej rytm i zapewnia trwanie. To coś niewątpliwie istnieje i pewni ludzie nazwali to coś Bogiem! W tym sensie, będąc tworem materialnym, jestem cząstką tego czegoś, a zatem cząstką Boga. No, dobrze! A czy liść jest Jego cząstką? Prawdopodobnie jest, lecz o tym nie wiem. Ja jestem materią wyżej zorganizowaną i dlatego wiem, że jestem doskonalszy, ale nic ponadto. Gdyby Bóg zechciał jeszcze sprawić, że nie będzie mi tak zimno, to mógłbym pójść w moim rozumowaniu krok dalej i zająć się kwestią mojej świadomości oraz moich norm moralnych.

W tym momencie ktoś przeszedł podwórzem i myśli Henryczka wpadły w popłoch. Ten człowiek nie tylko zbliżał się, ale miał wyraźny zamiar skorzystania z wygodki, bo nagle kroki zatrzymały się i jakaś ręka szarpnęła drzwi, zamknięte od wewnątrz na zasuwkę.

— Jasna cholera! — powiedział ochryply głos. — Jest tam kto?

Henryczek Fichtelbaum nie zwlekał ani chwili, gdyż wiedział, że żaden duch nie mógłby zamknąć wygodki od środka. i odpowiedział cicho:

— Zaraz wychodzę! Jeszcze momencik.

— Poczekam — odparł głos spoza drzwi.

Przez chwilę trwała cisza. Ale Bóg jest miłosierny dla poszukujących Go, nawet jeśli szukają w tak osobliwych okolicznościach, pośród brudu i zniewag świata.

Głos za drzwiami odezwał się znowu:

— No, jak będzie, bo mnie kręci!?

— Zaraz — odrzekł Henryczek.

Lecz mężczyzna na zewnątrz nie wytrzymał. Henryczek usłyszał jakiś szmer, potem odgłosy wypróżnienia, na koniec kaszel, oddalające się kroki i słowa mężczyzny:

— W porządeczku, rób pan swoje!

Z daleka trzasnęły drzwi, potem zapadła cisza.

„Jakże mogłem w Ciebie nie wierzyć, dobry Boże!”, wyszeptał Henryczek Fichtelbaum i niemal zaraz usnął, wyczerpany łękiem, głodem i całym cierpieniem wszechświata, które się wokół niego zgromadziło w wygódce.

Obudził go promień słonecznego światła, wpadający do ciemnego pomieszczenia przez szparę. Było zimno. Wstawał świt na ulicy Brzeskiej. Henryczek wstał także, ostrożnie odemknął drzwi i wyszedł na podwórze. Było pusto. Bruk lśnił wilgocią. Białe niebo miało w sobie więcej szarości niż błękitu. Leciutki wiatr musnął włosy Henryczka, przywiał z sobą zapach wiosny. Jeszcze żyje, pomyślał Henryczek. Odetchnął głęboko i poczuł kłujące szpileczki chłodu w krtani. Zadrżał. Ale nocny sen pokrzepił go na tyle, że nie odczuwał głodu tak mocno jak poprzedniego wieczora. To miało przyjść później.

Rozejrzał się. Podwórze było obudowane ze wszystkich stron, tworzyło nieporządną prostokąt, wcisnięty między oficyny. Od ulicy oddzielał je zniszczony, wilgotny i brudny dom. Jego zakurzone okna, tu i ówdzie ozdobione firaneczkami, doniczkami pelargonii lub nędżnych kaktusów, które w oczach tutejszych mieszkańców uchodziły za ozdobę szczególnie piękną, bo egzotyczną, spoglądały wprost ku oknom równie zniszczonej i brudnej oficyny, też ozdobionej firaneczkami, pelargonią i kaktusem. Z trzeciej strony zamykał podwórze ślepy mur. Przylegały do niego szopy, na poły już zrujnowane, w których mieściły się stajnie, a w przyszłych latach miały prosperować pokątne warsztaty rzemieślnicze, jakieś wytwórnie grzebyków, gwoździ, śrub albo ram okiennych, warsztaty biedne na pozór, zaludnione spryciarzami o złotych rękach i lisich twarzach, którzy chcieli utrzymać się na powierzchni w tym zrujnowanym mieście, i udawało im się to przez jakiś czas, póki żelazna dłoń systemu, wymiatająca resztki ludzkiej zaradności z Polski, z Warszawy, z ulicy Brzeskiej, nie zdusiła ich w strasznym uścisku. Naprzeciw ślepego muru i zniszczonych szop wznosił się płot, niegdyś zapewne granica posesji, wytyczona drzewami, z których pozostały już tylko niewykarczowane pniaki i ledwo żywe, zeschnięte krzewy akacjowe, które wbrew całemu światu puściły właśnie młode pędy.

Jestem zamknięty, pomyślał Henryczek. Jestem uwięziony, pomyślał. Lecz w gruncie rzeczy wiedział, że także poza tym podwórzem już na zawsze pozostanie zamknięty i uwięziony. Ta ciasno zabudowana przestrzeń nie wydała mu się groźniejsza od lasu, w którym ukrywał się zimą, ani tym bardziej od ulic getta, oddzielonych murami od reszty świata. Henryczek Fichtelbaum

znowu odetchnął głęboko chłodnym powietrzem świtu, zapachem wilgotnej słomy, odpadków i końskiego moczu. Nie było mu źle na tym podwórzu, bo nie widział ludzi, twarzy i spojrzeń, a zarazem czuł jednak ich bliską obecność. Bał się ludzi, bo każdy przechodzień mu zagrażał, lecz jednocześnie ich niedaleka obecność stanowiła jakąś nadzieję.

Wiedział, że jego życie nie potrwa długo, bo był rozumnym i inteligentnym młodzieńcem i nie ulegał złudzeniom. Wiedział, że przyjdzie mu zginąć z ludzkiej ręki, ponieważ zostanie zabity. A jednak twarz drugiego człowieka, głos, spojrzenie — nie wydawały mu się straszne. Najtrudniej umiera się w samotności, ciemności i ciszy. Śmierć wśród innych, w zgiełku ludzkich okrzyków, ciasnocie spojrzeń i gestów, wydaje się mniej okrutna. Henryczek Fichtelbaum pomyślał, że śmierć żołnierza podczas ataku na bagnety jest chyba mniej przerażająca, niżeli samotne konanie skazańca, choćby się było skazanym na śmierć w łóżku.

Dlaczego mam umierać, pomyślał nagle, skoro nie mam jeszcze dziewiętnastu lat? Czy to jest sprawiedliwe? Czy jest moją winą, że urodziłem się Żydem, moi przodkowie byli Żydami, wyszedłem z lędźwi żydowskich? Jakim prawem najpierw uczyniony zostałem Żydem, aby następnie być skazanym na śmierć za swoje żydostwo?

Henryczek Fichtelbaum nie był specjalnie oryginalny, stojąc oparty o chropowaty mur, w cieniu wygodki, z której był wyszedł na podwórze. Nie był specjalnie oryginalny, zadając sobie te pytania, na które bezowocnie szukał odpowiedzi. Ostatecznie mogło się zdarzyć, że w tym samym momencie, wtedy, wiosną roku 1943, połowa ludzkości zadawała sobie te pytania z Henryczkiem Fichtelbaumem i także nie znajdowała żadnej odpowiedzi. Później, gdy kości Henryczka zbieleły w ogniu płonącego getta, gdy następnie szerniały na deszczu pośród warszawskich popiołów, gdy wreszcie znalazły się w fundamentach nowych domów, wzniesionych na wojennych zgliszczach, otóż później różni ludzie także zadawali sobie pytanie — jak to właściwie jest na świecie, że oto dzieje ludzkości powołały do życia ten naród wybrany, że Bóg z tym narodem rozmawiał i przekazał mu swoje prawa, aby niemal jednocześnie, od tej pierwszej chwili przymierza, wystawić swój lud umiłowany na najcięższe doświadczenia i ostry szych losu? Czyżby zostali wybrani, aby szczególnie cierpieć i w ten sposób dawać szczególne świadectwo?

Różni ludzie zastanawiali się nad tym dylematem, w gruncie rzeczy bezowocnie, ponieważ rychło się okazało, że zamysły Boga nie były wcale wiadome, ani tym bardziej przekonywujące.

Bądź co bądź później świat dobrał się do innych, Żydów zostawił w spokoju, jakby się już wyczerpała miarka ich cierpień, a nie wyczerpała jeszcze miarka cierpień innych ludzi. Okazało się nawet, że ten dziwny związek, jaki na oczach Henryczka Fichtelbauma i znacznej części ludzkości łączył Żydów z Niemcami, a więc Heinego z Goethem, Mendelsohna z Schubertem, Marksa z Bismarckiem, Einsteina z Heisenbergiem, że ten dziwny związek nie jest jedyny w swoim rodzaju i nieprześcigniony w swoim dwuznacznym szaleństwie, bo oto w Wietnamie ludzie padali jak owady pod działaniem gazu, przewyższającego doskonałością Cyklon B, w Indonezji rzeki stały się najzupełniej dosłownie czerwone od ludzkiej krwi, w Biafrze tak wysychali z głodu, że trupy na Nalewkach wyglądałyby przy nich jak ciała obzartuchów, a w Kambodży usypywano piramidy z ludzkich czaszek, przewyższające krematoria i komory gazowe.

Ludzie, którzy przyszedli po latach mieszkać na kościach Henryczka Fichtelbauma, dość rzadko o nim myśleli, a jeśli nawet, to z pewną dumą i próżnością, że oto są największymi męczennikami pod słońcem. Mylili się podwójnie. Po pierwsze z tej przyczyny, że męczeństwo nie jest szlachectwem, które można odziedziczyć jak herb albo włości. Ci, co mieszkali na kościach Henryczka Fichtelbauma wcale nie byli męczennikami, co najwyżej odcinali kupony od cudzego męczeństwa, co zawsze jest głupie i niegodziwe. Po drugie zaś nie dostrzegali, że świat poszedł naprzód, daleko w tyle pozostawiając dzieje wojny z Adolfem Hitlerem.

Henryczek Fichtelbaum nie wiedział o tym wszystkim, lecz nawet gdyby go Bóg obdarzył widzeniem proroczym, nie stanowiłoby to pocieszenia, ponieważ wtedy, wiosną roku 1943 on sam, Henryczek, miał umrzeć — i wiedział, że jest skazany. Szukał odpowiedzi na pytanie, dlaczego świat jest tak bardzo niesprawiedliwy i nikiemny — lecz jego poszukująca myśl pozostała jałowa, tak jak myśli milionów innych ludzi, którzy później, po śmierci Henryczka, mieli się znaleźć na tej samej ścieżce i zmierzać tam, dokąd on zmierzał.

On zaś zmierzał właśnie ku bramie, bo robiło się coraz jaśniej, niebo stało się błękitne, otwierały się okna w oficynach, w stajni rżały dorożkarskie konie, a na podwórzu wybiegła kobieta, młoda, ładna, ciemnowłosa, w spódnicy i różowej halce, z nagimi ramionami, w zniszczonych pantoflach na bosych stopach, z wiadrem w ręku, drżąca od porannego chłodu, wybiegła więc kobieta po wodę do studni, młoda kurewka z ulicy Brzeskiej, jędrna, gładka, półnaga niemal, właśnie wyszła na podwó-

rze, jej pantofle klaskały obcasikami o kamienie brukowe, wiadro zadźwięczało, gdy je postawiła na ocembrowaniu, zaskrzyphiało ciężkie ramię studni, kiedy kobieta poruszała je w dół i w górę, w dół i w górę, woda chlusnęła srebrzyście do wiadra, duża i jasna pierś kobiety wychyliła się, bo ramięczko halki osunęło się nieco, woda znów chlusnęła, kobieta uniosła głowę, miała na twarzy wesoły, szelmowski uśmiech, taki uśmiech kokoci, pewny siebie, zwodniczy, kurewski i ładny, znów woda chlupnęła do wiadra, rozprysła się na kamieniach wokoło, kobieta uniosła lekko kształtną nogę, widać nie chciała zmoczyć pantofelka, i wtedy właśnie jej oczy, duże, ciemne, wymyte spokojnym snem na kozetce, w pokoju parterowym, gdzie pod obrazkiem świętym przyjmowała klientów, gdzie za dnia rozlegały się oddechy i postękiwania rozmaitych mężczyzn, wygniatających łono, brzuch i piersi tej dziewczyny, a nocami rozbrzmiewał tylko jej spokojny, miarowy i bezgrzeszny oddech, otóż w owej właśnie chwili, gdy kobieta uniosła nogę, aby nie zmoczyć pantofla, jej oczy spotkały się z oczami Henryczka Fichtelbauma.

I zupełnie szaleńczo, bez żadnego uzasadnienia, może tylko wiedziony tęsknotą za drugim człowiekiem, lub raczej tęsknotą za kobietą, której jeszcze nigdy w życiu nie posiadał, choć bardzo tego pragnął od dawna, śnił o tym wiele razy, nawet w ośnieżonych lasach, gdzie się chował jak dzikie zwierzę, na wysypiskach śmieci, gdzie żył pośród swych braci-robaków, braci-mikrobów i braci-odpadków, więc wiedziony tęsknotą za kobietą, która miała go oddalić od śmierci, lub zasłonić przed śmiercią, Henryczek Fichtelbaum, wbrew rozumowi i doświadczeniu wszystkich poprzednich miesięcy, zatrzymał się. Nie tylko zatrzymał się, ale zawrócił. Nie tylko zawrócił, ale zbliżył się do kobiety, ujął pałąk wiadra i podniósł je z ocembrowania. Kobieta spojrzała w oczy Henryczka, potem opuściła wzrok na jego ramię i znów spojrzała w oczy Henryczka. Powoli skinęła głową, odwróciła się i poszła w stronę oficyny, a on poszedł za nią, niosąc wiadro, pełne świeżej wody.

Weszli na ciemne schody, przemierzili kilka skrzypiących, drewnianych stopni. Otworzyła drzwi. Kiedy tylko znaleźli się wewnątrz, zamknęła drzwi na zasuwę. Był to mały, zagracony korytarzyk. Pod sufitem paliła się nieosłonięta żarówka. Przy ścianie stał stół, pokryty niebieską ceratą, a obok krzesło drewniane. Dalej taboret, na taborecie miednica.

— Tutaj — rzekła i wskazała Henryczkowi miejsce przy taborecie, gdzie postawił wiadro świeżej wody. Obok stało drugie wiadro, wypełnione odpadkami. Niskie drzwi z lufcikiem,

zasłoniętym perkalową firanką, wiodły do pokoiku. Tam była kozetka, obrazek święty, szafa i okno, wyglądające na ciemny, zniszczony mur. Nie było widać nieba. Także studni nie było widać z tego okna. Tylko mur i kamienie brukowe.

Kobieta ruchem głowy wskazała Henryczkowi krzesło. Usiadł. Wróciła do korytarza. Usłyszał trzask zapalniczki, szum gazowego płomienia. Potem stuk rondelka, oddech kobiety, szelest wody, napełniającej naczynie. Poczł zapach chleba. Zamknął oczy. Kocham świat, pomyślał i oczy napełniły mu się łzami.

Nic się nie działo. Tylko cień jakiś przesuwiał się po murze naprzeciw okna, wraz ze słońcem, które wędrowało nad domami. Nic się nie działo, poza tym, że Henryczek Fichtelbaum jadł chleb z cienkimi plasterkami słoniny i pił z kubeczka kawę zbożową z sacharyną. Kawa parzyła mu wargi, ale pił dużo, nieustannie pił z kubeczka, a gdy kubeczek był pusty, kobieta milcząco napełniła go znowu. I tak mijiał czas, cień wędrował po murze naprzeciw okna, Henryczek Fichtelbaum posilał się, kobieta milczała, patrzyła na niego, przyglądała się milcząco jak Henryczek się posila, patrzyła bez słowa, jakby nie znała żadnych słów, żadnego języka, prawie nieruchoma, na kozetce, wciąż półnaga, piękna, w halce, której ramiączko osuwało się, w pantoflach, których nie chciała przemoczyć u studni. Kiedy zaś posilił się, kobieta wstała z kozetki i ruchem głowy nakazała mu położyć się. Usłuchał. Okryła go wełnianą, kraciastą chustą, a płaszcz powiesiła na kołeczku w głębi szafy. Teraz ona siedziała na krześle przy oknie, za którym wędrował cień. Henryczek zasnął. Kobieta patrzyła na jego uśpioną twarz i myślała o swojej wiosce nad rzeką Liwiec, o łąkach piaszczystych, gdzie widziała trupy zastrzelonych Żydów, starych i młodych, mężczyzn, kobiet i dzieci. Podniosła oczy na święty obrazek i zaczęła się modlić szeptem do Matki Boskiej o ocalenie tego młodego Żyda, a potem o swoją przyszłość jako kobiety zamężnej i dobrze sytuowanej, matki ładnych dzieci, która cieszy się powszechnym szacunkiem i nie lęka mających nadejść lat.

Henryczek Fichtelbaum spał do późnego popołudnia, a kiedy otworzył oczy zobaczył ciemniejsze okno, za nim ciemniejszy mur, w głębi pokoju uchyloną szafę, a także profil kobiety, która drzemała na siedząco. Pomyślał, że oto stało się, co stać się miało, że mianowicie umarł i znalazł się w niebie. Ale wiedział, że żyje, bo znowu poczuł głód, a także pożądanie, co po śmierci nie byłoby chyba możliwe.

Kobieta obudziła się. Spojrzeli sobie w oczy. Odezwała się.
— Kiedy zwiąłeś z getta?

Miała ochrypliły głos.

— Dawno — odparł. — Jeszcze na jesieni.

— No, no — rzekła. — Pewnie znów chcesz jeść, co?

Milczał.

Wstała z krzeselka i poszła zapalić gaz. Znów słyszał brzęk naczyń.

Podniósł się z kozetki, wyprostował nogi, przeciągnął ramiona, jak to był czynił niegdyś, jako chłopiec zdrowy, dobrze odżywiony i szczęśliwy, kiedy budził się w swoim pokoju na ulicy Królewskiej. Poczuł rześkość i siłę. Stanął na progu. Płomień gazowy huczał wesoło. Kobieta w spódnicy i halce, z obnażonymi plecami, z ciemnymi włosami, spadającymi na kark, o ramionach smukłych i silnych, łydkach smukłych i silnych, stała pochylona nad miednicą i wodą z czajnika polewała kubeczek.

Tutaj był środek ziemi, tu przebiegała oś wszechświata. Nie tylko dlatego, że się tu zatrzymał rozpędzony, rozszalały wóz losu, na którym Henryczek Fichtelbaum zmierzał ku zagładzie, nie tylko dlatego, że tu był Henryczek ze swoją obudzoną nadzieją. Tu był środek ziemi, oś wszechświata, bo sam Bóg umieścił tutaj jądro stworzenia, położył palec wskazujący przed stuleciami i zakresił nim krąg wszelkiego sensu ludzkich żywotów. Tu, gdzie huczał niebieski płomień gazu, płynęło niegdyś źródło, u którego najemny Tatar poił swoje konie, tędy biegł trakt, którym bojarzyn z postronkiem na karku szedł do lackiej niewoli, a po obu stronach tego traktu Żyd i Niemiec rozbijali swoje kupieckie stragany. Tutaj i nie gdzie indziej na całej ziemi szabaśne świeczki odbijały się mdłym, żółtawym blaskiem na pochwie rosyjskiej szabli, a polskie ręce przełamywały opłatek w cieniu pruskiego drzewka wigilijnego. Tu i nigdzie indziej we wszechświecie niemiecki poeta nadawał piękne imiona polskim ulicom, moskiewski książę zagrzewał do boju polskich żołnierzy, by celniej strzelali do gwardii Imperatora, a trawieni suchotniczą gorączką Żydzi, ożywieni duchem wolności rosyjscy oficerowie i polscy zesłańcy, skuci łańcuchami, razem spiskowali przeciwko tyranii. Tu był ten środek ziemi, oś wszechświata, gdzie głupstwo spletało z wzniosłością, nikczemna zdrada z najczystszym poświęceniem. W tym miejscu jedynym dziki, smagły i przebiegły pysk Azji od niepamiętnych czasów patrzył z bliska w tłustą, butną i głupią gębę Europy, tu właśnie, a nie gdzie indziej zamyślone i wrażliwe oczy Azji spoglądały w rozumne oczy Europy. Tu był środek ziemi, oś wszechświata, gdzie zachód brał w ramiona wschód, a północ wyciągała rękę do południa. Na stepowych rozhukanych koniach, w jucznych tobołach na ich grzbietach,

wędrowały tędy książki Erazma z Rotterdamu. Żydowskie wózki, łamiąc dyszle na wybojach, rozsypywały tutaj wolteriańskie ziarno. W pruskich furgonach jechał Hegel do Sankt Petersburga, by wracać potem rosyjską trojką, z Czernyszewskim, okrytym baraním tołubem. Tutaj był wschód i zachód, północ i południe. Na tej ulicy Tatar bił pokłon, twarzą zwrócony do Mekki, Żyd czytał Torę, Niemiec Lutra, Polak gromnice palił u stóp ołtarzy w Częstochowie i na Ostrej Bramie. Tutaj był środek ziemi, ós wszechświata, nagromadzenie braterstwa i nie-nawiści, bliskości i obcości, bo tu się spełniały wspólne losy najdalszych sobie ludów, w tych żarnach nadwiślańskich Bóg polską mąkę robił, dla polskich głodnych, polską mąkę, mannę niebieską, mojjeszową i chrystusową, starego i nowego przymierza, dla wszystkich męczenników i łotrów, świętych i szubrawców tej ziemi.

Henryczek Fichtelbaum jadł chleb z plasterkiem słoniny, pił kawę z kubka, Azję i Europę, swoją przeszłość, los i przeznaczenie. Płomyk gazowy huczał, kobieta przyglądała się, jak Henryczek zajada, jej twarz była pogodna i uśmiechnięta, może z odrobiną szyderstwa, bo kobieta lękała się własnej dobroci i uczciwości, w świecie, w którym żyła nie należało być dobrym i uczciwym, to się zwykle kończyło przegraną, więc uśmiechała się szyderezco, lecz Henryczek Fichtelbaum dostrzegał tylko łagodność na jej twarzy, a nieznaczny rys szyderstwa wziął za wyzwanie, zachętę, kuszenie, kiedy więc skończył jeść i pić, zbliżył się do kobiety, ogarnął ją ramieniem, a lewą dłoń położył na jej piersi.

— Co ty? — rzekła niepewnie. — Co ty znowu?

Ale nie stawiała oporu, bo był młody i ładny, silny i ciemny, jak ona, a także dlatego, że nigdy jeszcze nie miała Żyda, a chciała mieć wszystko, co należało do jej świata.

Zgasiła płomyk gazu, a potem także żarówkę na korytarzu. Za oknem już był zmrok. Położyli się na kozetce pod świętym obrazkiem. Kobieta pomogła Henryczkowi, bo nigdy jeszcze się nie kochał, a ona wiele razy. Potem powiedziała:

— No, człowieku!

A on rzekł w ciemności, z głębokim przekonaniem:

— Teraz mogę umrzeć.

— Nie umrzesz — powiedziała. — Jakoś to będzie.

— Nie — rzekł Henryczek Fichtelbaum. — Na to nie ma rady. Tylko nie chcę sam. Rozumiesz?

Skinęła głową. Dobrze to rozumiała.

— Dlaczego mam umrzeć sam i całkiem pokornie? — spy-

tał, patrząc w ciemne okno, wyglądając na niewidoczny już mur. — Wolałbym wtedy krzyżeć z nienawiści i pogardy, żeby cały świat usłyszał. Rozumiesz?

Znów skinęła głową. To także rozumiała. Ale była kobietą, więc miała więcej zdrowego rozsądku i przenikliwości. Zdążyła nieźle poznać ludzi. Nie wierzyła, że cały świat usłyszał krzyk ginącego Henryczka. Ginących słyszą tylko ci, którzy giną wraz z nimi. Nie wierzyła w siłę i echo tego krzyku. W wiele lat później, kiedy już owdowiała i była kasjerką w sklepie mięsnym, dużą, tęgą, ciemną kobietą o niechętniej twarzy i donośnym głose. matką zapitego zaopatrzeniowca, bladego spryciarza, który wdał się w ojca, matką małego pijaka epoki kolorowych telewizorów, mebli zdobytych łapówką i kantem, zniszczonych, brudnych samochodów, wieprzowych żeberek na kartki, obłudy, frazesów, pałek milicyjnych, rakiet SS-20 i pershingów, a więc w wiele lat później człapała w pantoflach na płaskim obcasie, w płaszczu wełnianym, z torbą skórzaną na ramieniu, znużona i zła, duża, tęga, lecz wciąż jeszcze dość jędrna, by przyciągać spojrzenia mężczyzn, zawsze głodnych kobiety w tym świecie rozkopanych ulic, nowych, zaniedbanych domów, smukłych młokosów w dżinsach, których oczy płonęły buntem, człapała przez ten dziwny, odrażający, a przecież cudowny w swej jedyności świat, aby się zbliżyć do żydowskiego pomnika na pustym placu, po którym hulały wiatry, i popatrzeć na wykute w kamieniu twarze tych Żydów nadnaturalnej wielkości, przygwożdżonych do muru, o stopach jakby wtopionych w ziemię tego miasta, Żydów kamiennych i milczących, których głosu nikt już nie słyszał. Na twarzy młodzieńca doszukiwała się rysów Henryczka Fichtelbauma, ale nie pamiętała ich wcale, widziała przecież Henryczka w świetle żarówki dość krótko, a potem, na kozetce mrok okrywał oboje, nie mogła więc zapamiętać rysów Żyda, którego kochała całym ciałem i duszą przez jeden wieczór wojenny, i w gruncie rzeczy nie chciała go wcale pamiętać, bo w jej życiu nie odegrał żadnej roli, pojawił się u studni, aby niebawem zniknąć za rogiem ulicy Żąbkowskiej, więc nie mogła i nie chciała go pamiętać, tak jak niemal wszyscy inni ludzie w tym mieście, zajęci swoimi sprawami, życiem potocznym, nieświadomi, że zostali okaleczeni, bo bez Żydów nie są już tymi Polakami, jakimi byli niegdyś i powinni pozostać na zawsze.

— Spij — powiedziała do Henryczka Fichtelbauma. — Jutro może coś się zmieni.

Lecz nie chciał spać. Nagle podjął postanowienie, które łączył, nie bez przyczyny, z ciałem tej kobiety. Nagle nie był

już chłopcem, lecz mężczyzną, i inaczej spoglądał na swój los. Było w nim męstwo i determinacja. To ta kobieta skazywała go na śmierć, która będzie jego świadomym wyborem. Henryczek Fichtelbaum wróci do getta, nie będzie dłużej uciekał, krył się w norach, wygódkach i na wysypiskach śmieci, wróci do getta, aby przyjąć swoje przeznaczenie z podniesioną głową. Nie jestem dzieckiem, myślał, nie jestem chłopakiem. Nie będę dłużej uciekał. Teraz wyjdę naprzeciw temu, co zostało zapisane w księgach. Położył dłoń na nagiej piersi kobiety i czuł uderzenia jej serca. Czerpał z nich dodatkową siłę, umacniał się w swoim postanowieniu.

— Masz zimną rękę — powiedziała kobieta. — To mnie łaskocze.

Roześmiała się. Henryczek także się roześmiał i cofnął dłoń. Był teraz silny i spokojny.

Za murem, niedaleko, zagwizdała lokomotywa, a potem słychać było dudnienie pociągu. Może w tym pociągu jechali na śmierć Polacy, może Żydzi, Niemcy lub Rosjanie.

V

— Panie Pawełku — powiedział Kujawski — czy posiada pan nadmiar gotówki?

Stali na rogu Podwała i Kapitulnej. Gazowa latarnia przesyła fioletowym, nikłym blaskiem. Lekki wiatr wyduł spódnice prostytutki, przechodzącej jezdnię. Była bardzo tęga, o szerokiej twarzy i ładnych, piwnych oczach. Pawełek pamiętał ją sprzed wojny. To ona właśnie po raz pierwszy w jego życiu powiedziała pewnego wieczora, przed laty:

— Kogo kawaler uważa? Czy dziewczynkę?

Stropił się wtedy, bo nie zrozumiał, ale odparł grzecznie:

— Idę do kolegi, proszę pani.

— Kolega nie ucieknie — powiedziała gruba kobieta. W ręku trzymała pęk kluczy. Kiedy poruszała dłonią, klucze dzwoniły głośno. Jakiś mężczyzna roześmiał się, zawołał z drugiego chodnika:

— Fela, ty chłopakowi głowy nie zwracaj. Jemu trzeba ładniejszej dziewczynki...

Wtedy Pawełek zrozumiał, że zaczęła go prostytutka. Słyszał od kolegów opowieści o prostytutkach. Bał się ich. Poczuł

wstyd i uciekł od grubej kobiety. Ale później, gdy ją spotykał, kłaniał się grzecznie gimnazjalną czapką. prostytutka kiwała głową z pogodnym, wyrozumiałym uśmiechem. Już nigdy więcej nie nagabywała Pawełka. Po klęsce wojennej we wrześniu roku 1939 zniknęła na jakiś czas, lecz później znów się pojawiła, jeszcze bardziej okazała, ogromna, w sutej spódnicy do kostek, z pękiem kluczy w ręku, które podzwaniały tak samo dźwięcznie jak w dawnej Polsce. Przechadzała się zwykle po Piekarskiej, Podwalu. To był jej rejon, własne miejsce na ziemi, tu tylko ona była królową miłości.

Pawełek, ujrawszy kobietę, gdy przemierzała jezdnię, powiedział uprzejmie:

— Dobry wieczór pani!

— Jaki on tam dobry — odparła i wydeła wargi. — Już nogów nie czuję...

Przeszła ociężała za róg. Ona się starzeje, pomyślał.

— Pan Pawełek zna Felę? — spytał Kujawski. — Nigdy bym pana Pawełka nie podejrzewał.

— Bo i nie ma o co — odrzekł. — Ja tutaj wszystkich znam... Tyle lat się tu kręcę.

— Bez przesady — powiedział krawiec Kujawski. — Pan był mały berbeć, kiedy prasowałem mundury pańskiego tatusia. Już ja lepiej znam te okolice. Fela to porządna kobietka. No, więc jak z gotówką? Pan już jest bogaty, panie Pawełku?

— Panie Apolinary, ze mną trzeba po prostu, bez zagajenia. Więc czego pan teraz szuka?

— Zawsze tego samego. Pan Pawełek sam wie najlepiej. Ale żeby przez miesiąc nie odzywać się do starego Kujawskiego, żeby nie wpaść na chwilkę, tego nie rozumiem. Pan rzeczywiście nie chce już zarabiać?

— Byłem zajęty — odparł Pawełek. — Mam dużo spraw na głowie.

— Będzie coraz więcej.

Przeszedł niemiecki żołnierz w uniformie lotniczym. Pызaty blondyn o zadartym nosie i fiołkowych oczach. Jego podkute buty stukały o płyty chodnika. Stawiał stopy mocno, uderzał w bruk obcasami, bo czuł się niepewnie w mroku. Bagnet przy pasie rytmicznie klepał w pośladek. Przechodząc obok mężczyzny pod latarnią, żołnierz chrząknął i zgubił rytm marszu. Zmienił nogę, znów chrząknął. Zatrzymał się nieopodal, przy budce z papierosami. W środku paliła się naftowa lampa. Twarze żołnierza i sprzedawcy pochylały się ku sobie. Sprzedawca miał rysy ptasie, coś z jastrzębia w drapieżnym kształcie nosa i wykroju warg. Ru-

de włosy nad czołem. Sękaty palec na pudełku papierosów w świetle naftowego płomyka. Żołnierz wziął papierosy, zapłacił i odszedł. Sprzedawca cofnął głowę w głąb budki. Pewnie znów zabrał się do pisania swojej dzikiej, przejmującej powieści. Powieść ukaże się za dwadzieścia kilka lat i Paweł będzie miał w tym swój udział. Ale popioły autora rozwieje powstańczy wiatr.

— Pewien znajomy pan byłby skłonny pozbyć się dwóch miniatur. Połowa XVIII wieku. Bardzo piękna. Ale to rodzinna pamiątka, panie Apolinary.

— Wszyscy teraz mają rodzinne pamiątki, nawet ze średnio-wieczna — westchnął krawiec. — Kiedy można zobaczyć?

— Nawet jutro — odparł Pawełek. — Mógłbym do tego pana zatelefonować.

— Ile? — rzucił Kujawski lekko, pochylając się, aby poprawić sznurowadło przy żółtym, giemzowym buciku.

— Najpierw pan zobaczy, potem trzeba się rozmówić.

— Może falsyfikat? — powiedział krawiec. — Jest taki jeden łobuziak w Częstochowie, który robi miniatury na mendle.

— Pana przecież nie można oszukać — odparł Pawełek szczerze. — Pan się na tym zna lepiej od starych kolekcjonerów.

— To się rozumie — rzekł Kujawski. — Starzy kolekcjonerzy mieli do czynienia z porządnymi ludźmi. To były przedwojenne czasy. Teraz jest inny duch w narodzie. Dobrze! Ale jutro nie mogę, mam spotkanie z ważnym klientem. Niech pan Pawełek pojutrze się umówi.

— Jutro pan Apolinary coś innego kupuje? — spytał Pawełek.

Kujawski wybuchnął śmiechem.

— Gdzie tam! Biorę miarę na bryczesy od jednego szkopa.

Fela wracała. Było już ciemno niemal. Zaciągnęła się papierosem i czerwony ogień na moment rozjaśnił jej twarz. Już ich minęła, ale coś sobie przypomniała.

— Panie Kujawski — rzekła — pan pamięta tego dozorcę spod siódemki, co?

— Starego Kubusia? — spytał krawiec.

— Nie starego — odrzekła. — Stary jak stary, nie o nim mówię. Ten zyzowaty, co na mnie wołał Cyc! Fela Cyc na mnie wołał. Zabili go przedwczoraj na Zielnej w jakiejś strzelaninie.

— Co pani mówi! — zawołał Kujawski, choć nie miał pojęcia, o kim Fela opowiada. — Na miejscu zabili?

— Strzał w serce — rzekła Fela i potrząsnęła ramieniem. Klucze zadzwoniły głośno.

— Musiała być jakaś akcja — zawyrokował Pawełek.

— Jaka akcja, jaka akcja — zachnęła się Fela. — Popił sobie i skoczył do Niemca. I drugi go zastrzelił. Prosto w serce.

— Nieszczęście — rzekł Kujawski. — Szkoda człowieka.

— Lepsi od niego giną — odparła Fela, odwróciła się i odeszła w mrok. Ciężko stąpając mówiła jeszcze de siebie:

— Fela Cyc, też coś!

Krawiec Kujawski rzekł cicho:

— Z tym cycem nieboszczyk miał rację. Nie znałem gościa. Ale szkoda człowieka. Co ci Niemcy wyprawiają, co oni wyprawiają...

Po chwili rozstali się. Krawiec poszedł w stronę Miodowej, Pawełek ku Staremu Miastu. Krawiec myślał o miniaturach z XVIII wieku, Pawełek o zabitym mężczyźnie. Czy czuł ból, kiedy kula ugodziła w serce? Jak odbywa się umieranie? Co człowiek wtedy widzi? Czy człowiek widzi wtedy Boga, czy On się człowiekowi pokazuje, żeby ostatnia chwila była lżejsza. żeby odjąć człowiekowi lęk? Zapewne pokazuje się w ostatnim mgnieniu, w ostatnim promyku światła, które dociera do źrenicy, ale nigdy wcześniej, bo człowiek mógłby przeżyć, wyzdrowieć i powiedzieć innym, co zobaczył. Więc Bóg pokazuje się dopiero w chwili, kiedy ma już zupełną pewność, że to jest śmierć...

Zatrzymał się, osłupiały i zawstydzony. Jesteś głupcem — powiedział sobie. — Przecież Bóg nie musi czekać na właściwą chwilę, bo ją zna dokładnie, to On sam ją wyznacza. Więc kiedy pokazuje się umierającemu człowiekowi?

Poszedł dalej. Jeszcze przez jakiś czas myślał o Bogu, że teraz On musi pokazywać się nieustannie, rozmaitym ludziom w mieście, bez chwili odpoczynku, na stu ulicach równocześnie, szczególnie w getcie. Potem nie myślał już o twarzy Pana Boga. Minął pusty kwadrans. Na Rynku wiał ciepły wiatr. Domy stały ciemne. Tu i ówdzie cieniutkie, wątle promyki ręcznych latarek przenikały mrok. Ludzie przyśpieszyli kroku. Zbliżała się godzina policyjna. Pawełek zaczął biec. Z trwogą myślał o Heniu Fichtelbaumie. A potem, zgrzany od biegu, co chwila spoglądając na zegarek, myślał o miniaturach dla Kujawskiego i liczył swój skromny procent.

VI

Była wysoką kobietą o prostych, jasnych włosach, wąskich dłoniach i dużych stopach mężczyzny. Miała wydatny nos, gęste

brwi, ładne, nieco zbyt surowe oczy i zdrowe zęby. Tylko kiedy się uśmiechała, pokazywały się światu dwie złote koronki, z których była skrycie dumna. Może dlatego uśmiechała się częściej niż jej skupione towarzyszki, które mówiły o niej, że jest naturą figlarną.

Kiedy miała lat siedem, doznała widzenia. Był wieczór zimowy, śnieg skrzypiał pod dużymi stopami tej nad wiek wybujałej dziewczynki. Wracała ze szkoły samotnie, bo tylko ona mieszkała daleko, za rzeczką. Już gwiazdy świeciły na ciemnym niebie, nie widać było dymu, unoszącego się z kominów chałup, lecz tylko nikłe światełka lamp naftowych w oknach. Miała właśnie skręcić w prawo, na mostek drewniany, gdy doznała widzenia. Pojawił się przed nią Pan Jezus, bardzo promienny i piękny, trzymający w ramionach białego baranka. Padła na kolana w głęboki śnieg. Nie czuła zimna, lecz tylko ogarniającą całe ciało niemoc radości i oddania. Pan Jezus powiedział do niej kilka słów, wyrażając się cicho, niemal szeptem, lecz zrozumiała, że nie powinna przechodzić przez mostek, ale iść dalej wzdłuż rzeki i następnie przekroczyć ją po lodzie. Potem Pan Jezus zniknął, ale przykazał dziewczynce, by nazajutrz w tym miejscu czekała, a niechybnie znowu się pojawi. Uczyniła, co jej nakazano. Szła powoli, serce przepełnione miała radością i rzewnym oddaniem. Bezpiecznie przebyła rzekę po twardym, mocnym lodzie. Tej samej nocy most zarwał się i dwaj bezbożni chłopcy znaleźli śmierć w nurtach rzeki.

Następnego wieczora znów czekała na Pana Jezusa w umówionym miejscu. Gdy się pojawił z białym barankiem w ramionach, nakazał dziewczynce poświęcić całe życie nawracaniu Murzynów. Potem już więcej nie doznała widzenia.

Opowiedziała swoje przeżycie miejscowemu proboszczowi, ale był to człowiek nieczuły, parafian trzymał krótko, hodował świnię z dużym zyskiem, wymieniał poglądy z wolnomyślnym rejentem w polskim miasteczku, a o ludziach wiejskich wyrażał się z pobłażliwą wyższością. Proboszcz przykazał dziecku, by nie rozgłaszało pobożnej przygody.

Następnego dnia, gwarząc z rejentem, rzekł:

— Ciemnota moich owieczek dosięgła szczytu. Ta mała naprawdę wierzy, że Pan Bóg nie ma nic innego do roboty jak tylko w mojej parafii szukać misjonarzy do Afryki. Ostatecznie Pan Bóg ma bliżej gdzie indziej.

Proboszcz nie był jednak człowiekiem przenikliwym, gdyż nie rozumiał, że niezbadane są drogi łaski. Dziewczynka wyrosła

na pannę nabożną, głęboko przejętą swoim posłannictwem. Mając lat siedemnaście wstąpiła do zakonu. Zrazu myślała o podróży do Afryki, by nawracać Murzynów, ale po jakimś czasie zrozumiała, że nie należy brać słów wypowiedzianych przy zwałonym mostku w sposób zbyt jednoznaczny, lecz raczej symboliczny właśnie, i oddała się krzewieniu wiary wśród dzieci, nauczając je katechizmu. Oddanie jej było całkowite, świeciła przykładem ofiarności, stałości i uporów. Dzieci lubiły ją, bo jednak była cokolwiek figlarna, a może po prostu rozumiała, że o Bogu wcale nie trzeba mówić solennie i z surowością proroka Eliasza, lecz pogodnie, jakby doglądał pszczele roje, pomagał przy młóceniu jęczmienia i powoził furą siana w dwa ładne dereszce. W tym nie myliła się, choć jej dawny proboszcz, może bardziej staroświecki niżeli na pozór wyglądał, uznałby chyba za grzech tę swojskość i zwyczajność bożą.

Zwała się siostrą Weroniką, aczkolwiek niegdyś marzyła, by przybrać imię Joanna, na pamiątkę innej wiejskiej dziewczyny, która sprawiała średniowieczne szyki francuskiego rycerstwa, a później zginęła na stosie. Siostra Weronika wiodła życie bardzo pracowite. Nie oszczędzała siebie. Cel jaki jej przyświecał był prosty. Chciała doprowadzić do Boga wszystkie dzieci ziemi, bliskie i dalekie, białe, czarne, żółte, a nawet jeszcze bardziej egzotyczne. Jeśli była w jej sercu jakaś oschłość, to chyba tylko wobec dzieci żydowskich, bo co innego znaczy nie poznać wcale, a co innego poznać i podeptać. Czarne buzie dalekich Murzynków znajdowała siostra Weronika jako niewinne, bo jeszcze nie tknięte palcem prawdy. Smagłe twarzyczki dzieci żydowskich nosiły na sobie piętno tego wyznania i nienawiści, z jaką się spotkał Zbawiciel pośród ludu Izraela. To byli ci, którzy odrzucili Boga, nie dali wiary słowom Jego Syna. Wysoki mur nieufności oddzielił siostrę Weronikę od dzieci żydowskich. Emanowała z nich obcość. Kiedy szła ulicą, wysoka, duża, stawiając na chodniku swoje mocne, męskie stopy, żydowskie dzieci uciekały przed nią. Jej biały kornet, jak wydęty żagiel łodzi, płynął pośród czarnych, pierzchliwych czótenek żydowskich. Nigdy nie przybijały do jej burty, a ona nigdy nie wpływała do ich gwarnych zatok.

Lecz siostra Weronika miała dużo zdrowego, wieśniaczego rozsądku i zdawała sobie sprawę, że świat jest bardziej zawiły i tajemniczy niż sądziła w dziewczęcych latach, a zagadkowość Boga nie da się zgłębić ludzkim umysłem. Wiele było dróg danych człowiekowi, by szedł, i wiele manowców. Weronika wiedziała, że jedna tylko droga prowadzi do celu, lecz zawiła była

płatania losów, obyczajów, wahań, snów i smutków. A ta wielość też przecież była dziełem Boga, Stworzyciela nieba i ziemi. Więc modliła się żarliwie o dusze bliźnich błędzących, a także i o to, by ustała oschłość jej własnego serca.

Kiedy wybuchła wojna, wiele zmian zaszło w życiu siostry Weroniki. Zrazu czuła się bezradna i ogłuszona. Bomby padały na miasto, domy waliły się w gruzy i wybuchały pożary. Na jej oczach ginęli ludzie i nie mogła udzielić im żadnej pomocy. Ale wiejskość natury, brak lęklivosti w obliczu cielesnych cierpień, bo przecież jako dziecko widziała wzdęte krowy, okulałe konie, szlachtowane świny i barany, rany od siekiery i kosy, choroby krwawe i bolesne, a także śmierć ludzi cierpiących i pobożnych, ten wiejski hart ducha Weroniki sprawił, że ona właśnie zorganizowała inne siostrzyczki podczas oblężenia miasta, nauczyła się opatrywać rannych, pielęgnować chorych, czuwać przy konających. Coraz więcej było w jej sercu miłosierdzia. Myślała wtedy, że łatwiej jej przychodzi pociecha niż katecheza, bo Bóg potrzebniejszy jest tym, którzy cierpią.

Gdy do miasta wkroczyły wojska niemieckie, nie obawiała się zandarmów na ulicach ani straszliwego gestapo. Gotowa była przyjąć wszystko, co jej Bóg przeznaczył. Jej kornet na ulicach nie wyglądał już jak żagiel, ale chorągiew wiary i nadziei. Opiekowała się dziećmi osieroconymi i zagubionymi na drogach wojny. Pielęgnowała chorych i opuszczonych, bezradnych i nieszczęśliwych. Od wczesnego ranka do późnego wieczora przebiegała ulice, twarda kobieta o dużych stopach, prostych manierach, łagodnych oczach. Błyskały złote korony w jej uśmiechu. Pogłębiały się zmarszczki na niestarej jeszcze twarzy. Język jej był obrotny, szorstki. Tylko do dzieci mówiła tonem miękkim i łagodnym. Z dorosłymi obchodziła się często niegrzecznie, bo nie odebrała starannego wychowania, czasu miała mało, cel wzniosły, przekonanie, że Boga trzeba mieć w sercu, nie w gębie.

Myślała czasem przed zaśnięciem, gdy już odmówiła modlitwy, że oto dopiero teraz, po wielu latach, wypełnia się jej przeznaczenie, ucieleśniają się słowa Boga, wypowiedziane przy mostku nad rzeczką. Wprawdzie nie widziała jeszcze nigdy żywego Murzynka, ale iluż ludzi doprowadziła do wrót kościoła. Jak wielu ludziom niosła pociechę i słowa wiecznej miłości. Doprawdy, gdyby nie było tylu nieszczęść wokoło, czułaby się szczęśliwa. Na jej oczach dojrzwały maleńkie ziarna wiary, które własną ręką posiała. Czyż mogła tego oczekiwać?

Wtedy zjawiały się w jej życiu dzieci żydowskie. Przybywały z cmentarzy. Z pewnym zdumieniem zauważyła, że nie wszystkie

siostry umiały wyzbyć się oschłości. Nawet wówczas oddzielał je mur. Ona jednak odnalazła w sobie nowe siły, słyszała nakaz potężny, któremu nikt oprzeć się nie może. Oto Bóg sprawił, że przychodzą do niej dzieci żydowskie, samotne i słabe, szukając ocalenia. I ona właśnie miała je ocalić. Przed zagładą i potępieniem. Był to wielki dar dla niej i dla tych dzieci. Łączył ją z nimi rodzaju wspólnotwa w trwodze ludzkiej i mistycznej tęsknocie. W zacisznym refektarzu, którego okna wychodziły na ogród warzywny, w świetle słońca, które kładło się szeroką smugą na posadzce, albo w blasku pachnących woskiem świec uczyła dzieci żydowskie czynić znak krzyża świętego.

— Podnieś prawą rączkę — mówiła. — O, tak właśnie. I dotknij rączką czoła. W imię Ojca... A teraz dotknij lewego ramienia. Powiedz: I Syna... Bardzo ładnie, bardzo ładnie. Teraz słuchaj uważnie. Przesuń rączkę...

Twarze dzieci były skupione i chmurne. Z trudem rozumiały te znaki. Czasem rozlegał się w refektarzu ich cichy płacz. Wtedy siostra Weronika pocieszała je.

— Czeka cię radość — mówiła — nie płacz, bo czeka cię radość.

Nie wszystkie dzieci wiedziały jednak, co to jest radość.

Była to trudna lecz piękna praca.

Siostra Weronika przysłuchiwała się także podszeptom swojej wieśniaczej natury. Kiedyś doznała widzenia, ale zaraz potem znalazła się w ojcowskiej chacie, musiała wysuszać pończochy i buciki starszej siostry, obrać ziemniaki, oporządzić świnki w chlewiku. Postać Pana Jezusa widziała jak żywą, lecz ręce jej były zajęte robotą aż do późnego wieczora. Więc chodziła po ziemi, złej, wrogiej i zbuntowanej przeciw Bogu.

Uczyła dzieci znaku krzyża, ale także nowych imion i nazwisk, całej ich krótkiej i skomplikowanej przeszłości, która była kłamstwem. Przez to kłamstwo miały się dzieci mozolnie przebijać do nowej prawdy życia. Pod wizerunkiem Zbawiciela, w obecności bożej, musztrowała je w wielkim oszustwie, wdrażała do wielkiego kłamstwa. Trzyletnie brzdące, które nie wiedziały o sobie nic, poza tym, że cierpiały głód, dygotały z zimna i bały się bata, przyjmowały uległe nową osobowość. Instynkt nakazywał im ćwiczyć pamięć nowych imion, znaków i adresów. Miały osobliwy spryt, który pozwalał zapomnieć o trwodze istnienia.

— Jak się nazywasz? — pytała siostra Weronika.

— Januszek — odpowiadał czarny, kędzierzawy chłopczyk z uśmiechem starego hurtownika skór cielęcych.

- A na nazwisko?
- Wiśniewski.
- Powiedz paciorek.

Chłopczyk mówił paciorek, pobożnie składając rączki. W oczach miał skruczę, uległość i zbrodnię, która czyhała na jego pomyłkę.

Ale starsze dzieci dźwigały wielkie ciężary. Siedmioletni Artur, chłopiec o dobrym wyglądzie, ale niedobrym spojrzeniu, zdradzającym utajony głęboko sentyment wyklętej rasy, odrzucał nową osobowość.

- Jak ci na imię? — pytała siostra Weronika.
- Artur.
- Nie mów tak. Na imię ci Władzio. Powtórz!
- Artur!

— Dlaczego jesteś taki uparty, Władziu? Twój tatuś był stolarzem, nazywał się Gruszka. Przecież pamiętasz, Władziu...

— Był dentystą. Nazywał się doktor Mieczysław Hirschfeld. Siostra przecież wie najlepiej.

— Wiem. Nie zaprzeczam. Ale musisz o tym zapomnieć. Nazywasz się Władzio Gruszka. Twój ojciec był stolarzem.

— Możemy się umówić, że był stolarzem. Wiem o co chodzi. Niech siostra o tym pamięta, dobrze?

- Będę pamiętała. Więc jak ci na imię?
- Władzio Gruszka, syn stolarza.

Uśmiechał się szyderczo. Wzruszał ramionami. Spojrzenie miał wyzywające. Przez chwilę siostra Weronika nienawidziła Władzia. Wymykał się jej. Ale trwało to krótko. Myślała — „Nie wypuszczę go do końca wojny. Jeżeli go wypuszczę, zginie tylko po to, żeby zrobić na złość...”

W tym sensie nie zrobił jej na złość. Przeżył wojnę. Wyrósł na niewysokiego, krótkowzrocznego mężczyznę. Nazywał się Władysław Gruszecki. Jego biografia była skomponowana w sposób wyrafinowany i elegancki, lecz nie całkiem przekonujący. Należał do ludzi, którzy nie znali umiaru. Może w dzieciństwie przyswoił sobie zbyt wielką umiejętność przeżywania kilku egzystencji równocześnie i zasmakował w tym procederze. Nie potrafił się już rozstać z wielością swych istnień. Ojciec Władysława Gruszeckiego był zarówno dentystą jak stolarzem. Stomatolog, uprawiający stolarskie hobby, tak to ujmował w późniejszych latach. Drzewo genealogiczne Władysława Gruszeckiego wykazywało wiele dziwnych luk, przy wielu zawiłych rozgałęzieniach. Pochodzenie jego było szlacheckie, sięgało czasów przed-

rozbiorowych. Przodkowie byli miecznikami, podsędkami i chorążymi, bo w wieku chłopięcym Władysław Gruszecki wielokrotnie czytał Trylogię Henryka Sienkiewicza i upodobał sobie jej bohaterów.

Był to polonus, jak się patrzy. Nosił wąsy sumiaste. W rozmowach wtrącał niekiedy, od niechcienia, bardzo swobodnie, rozmaite zwroty, matowe od patyny dawności. Powiadał — „Panie dzieju!”. Albo powiadał — „atoli, owóz, kędy”. A nawet zdarzało się, że powiadał — „przec” — i tego było już za wiele, nawet dla bardzo wyrozumiałych słuchaczy.

Nie tylko nie uczynił na złość siostrze Weronice, ale tak bardzo zasmakował w jej naukach, że gorliwością katolicką przewyższył mentorkę. Ona nie leżała krzyżem na posadzkach kościołów. On czynił to często. W poglądach był bardzo stanowczy, poważny i godny naśladowania. Miał kompleks antyniemiecki i antysemicki, optował za przyjaźnią ze Związkiem Radzieckim, bo przyjaźń z narodem rosyjskim uważał za fundament lepszej przyszłości kochanej ojczyzny. W tym nie był zgodny z siostrą Weroniką, dla której komunizm jawił się jako wynalazek diabelski, wojna okrutna przeciwko Bogu. Do Rosjan żywiła siostra Weronika umiarkowaną niechęć i współczucie. Pamiętała z dzieciństwa kozackie patrole na błotnistych drogach Kongresówki, a także pobór do carskiego wojska. Nie lubiła popów i cerkiewnych śpiewów. Stolicą jej nieśmiertelnej duszy był Rzym, tak jak stolicą jej polskości Warszawa. Natomiast Władysław Gruszecki odnosił się do cerkwi z dobroduszną wyższością żarliwego katolika, do komunizmu z nieufnym lękiem przyjaciela starej Rusi. Nade wszystko jednak kochał polskość, jej dostojną przeszłość i piękną przyszłość w słowiańskiej rodzinie. O Niemcach mówił „szwab”y, o Żydach zaś „Żydy”. Wygłaszał cokolwiek zdumiewające diagnozy, zważywszy jego pochodzenie, że mianowicie „Żydy gubią nasz kraj!”. Odnosił się z rezerwą do posoborowych nowinek w Kościele rzymskim. Trzeba stwierdzić, że w tej kwestii miał przez jakiś czas sojuszniczkę w siostrze Weronice. Ona także przypatrywała się z bojaźnią i wahaniem tym wszystkim innowacjom, które się zagnieździły w katolicyzmie od czasów pontyfikatu dobrego papieża Jana. Lecz siostra Weronika wierzyła pokornie, rychło więc zaakceptowała przemiany. Mówiła, że mądrzejsi od niej decydują o nowym obliczu Kościoła i nakazywała duszy posłuszeństwo. Po pewnym czasie odnalazła w nowej liturgii piękno i mądrość, a także dojmującą bliskość Boga, jakiej dawniej nigdy nie doświadczyła. Była prostą, wiejską kobietą i dopiero teraz rozumiała sens i znaczenie Ofiary.

Łacina wprowadzała ją dawniej w świat tajemniczy i hieratyczny, w którym czuła się zależniona. Bezsilna igraszka w rękach Boga. Teraz odnajdywała siebie, swoje myśli, pragnienia i wyhory. Z krainy zakłęb przeszła do krainy modlitwy. Ulotnił się z jej duszy czarodziejski urok spraw niezbadanych, otworzył obszar wielkiej tajemnicy miłości. Wiara siostry Weroniki w jej późnych latach coraz bardziej przybliżała się do Pana Jezusa, który wyszedł na spotkanie małej dziewczynce w pewien wieczór zimowy. Nie była wcale pewna, czy w istocie wówczas Go spotkała. Ale już nie musiał się jej objawiać w widzeniu tak niezwykłym. Jego obecność wyczuwała nieustannie, choć oczy miała zakryte i widziała tylko rzeczy zwyczajne. Bardzo kochała Boga i ludzi w swoich późnych latach.

Nie mogła się więc pogodzić z tak agresywną i nietolerancyjną wiarą, jaką żywił Władysław Gruszewski. Był chrześcijaninem walczącym, a bronią jego był sarkazm, czego siostra Weronika nigdy nie pochwałała.

— Trochę więcej miłości, Władziu — mówiła słabym, starym głósikiem, kiedy ją odwiedzał przynosząc ciastka od Bliklego, zapach wody kolońskiej i krótkowzroczne spojrzenie szyderycy. Jego ciemne, żydowskie oczy zapalały się chłodnym, nie miłym blaskiem, ilekroć mówił o Żydach. Zapewne cierpiał straszliwie. Ale nie tylko w swej polskości był nieautentyczny. Ubierał się z wyszukaną elegancją, dbał o krój granatowych marynarek ze złotymi guziczkami i popielatych, flanelowych spodni, które czyniły z tego potomka stolników koronnych i podczaszych litewskich bywalca angielskich Yacht-Clubów. Pałił fajkę. Nie pił alkoholu. Nie jadał ryby po żydowsku. Nie opuszczał niedzielnej mszy świętej. Zbierał sztychy. Szył koszule na miarę. Nie ożenił się. Był wyższym urzędnikiem państwowej administracji rolniczej. Ukończył studia rolnicze. Chciał uchodzić za intelektualistę. Czytywał Prousta, Hemingwaya i Camusa. W oryginale, jak twierdził. Czytywał także powieści kryminalne, lecz o tym nie lubił wspominać. O Dostojewskim mawiał: — „Nasz wspólny kapłan!”. O Tołstoj — „Ten stary, mądry graf...”

— Stary, mądry graf powiada, że...

— Nasz wspólny kapłan napisał swego czasu, że...

Najbardziej kochał Sienkiewicza i wcale się tego nie wstydił. W tym jednak był autentyczny.

Latem roku 1968 dał wyraz radości, że Polska pozbywa się nareszcie Żydów.

— Musimy być narodem jednej, wspólnej, rodzimej krwi!
— powiedział.

Siostra Weronika odsunęła wtedy talerzyk z ciastkiem, splótła ręce na piersiach i rzekła z gniewem:

— Władziu! Nie chcę, żebyś do mnie przychodził.

— Dlaczego siostra tak mówi?

— Masz dopiero trzydzieści kilka lat a gadasz jak sklerotyk!

Zmieszał się. W jej obecności zawsze źle wypadał jako konserwatywny szlachcic o głęboko narodowych przekonaniach. Później zjawiał się w szarym garniturze, już bez sygnetu i fajki. Zachowywał się bardziej dyskretnie. Te wizyty dolegały mu, ale przecież na swój sposób kochał siostrę Weronikę. Była jego kładką. Dzięki niej trafiał na dawny, zapomniany brzeg. Może właśnie dlatego ją odwiedzał. W malutkim parlatorium, gdzie siadywali gawędząc o jego pracy i jej codziennych troskach z rozhukaną młodzieżą, odczuwał chyba obecność przeszłości. W ciemnym rogu pokoju stał mały Arturek Hirschfeld, syn dentysty, który nie chciał nazywać się Władzio. Może widział nawet twarz ojca, matki, starszych braci, których duchy dawno go opuściły, potulnie oddając swe miejsce duchom husarzy, stepowych watażków i obrońców Jasnej Góry. Może właśnie u boku siostry Weroniki odpoczywał po trudach sarmackiej polskości i antysemitckiego katolicyzmu, których on przecież sam nie wymyślił, które tylko naśladował, pełen niewyraźnego lęku, skrytych fobii, nieprześnionych snów.

Lecz nawet w parlatorium ulegał czasem podszeptom dwuznacznej osobowości, jakby w pobliżu świadka swojego dzieciństwa też nie umiał uwolnić się od upiorów.

Siostra Weronika była już bardzo stara i schorowana, kiedy po raz pierwszy użyła jego własnej, szyderczej broni. Władysław Gruszecki zbliżał się do pięćdziesiątki, ciastka od Bliklego przynosił nadal, odwiedzał staruszkę regularnie, ale nie potrafił już mówić o niczym innym, jak tylko o rolnictwie, zasiewach, zbiorach, glebozmianie, nawozach azotowych, kombajnach typu „Bizon”, snopowiązałkach oraz zacofaniu indywidualnych gospodarstw wiejskich. Władysław Gruszecki był dobrym fachowcem, bo wzorowo ukończył studia rolnicze i wiele lat zajmował się ekonomiką rolnictwa. Ale nie ulegało wątpliwości, przynajmniej dla siostry Weroniki, że był dzieckiem żydowskiego dentysty z wielkiego miasta, nigdy nie pracował na roli, nie zetknął się z życiem wsi, nie rozumiał chłopskiego sposobu bycia i stylu myślenia. A siostra Weronika, choć ponad pół wieku przeżyła w habicie, pozostała przecież chłopką, reagowała na świat po

chłopsku, z tym chłopskim realizmem niezmożonym i upartym, z chłopską twardością do rachunków, której żadne komputery w pole nie wywidają. Więc kiedy wyrzekał na krótkowzroczność rolników, krytykował brak wyobraźni ekonomicznej, roztaczał przed Weroniką swój program uzdrowienia rolnictwa na sposób po części kołchozowy, po części farmerski, jakby Polska była skrzyżowaniem Nebraski i Zadnieprza, zapalał się i szydził, gromił i biadał, nagle przerwała mu ruchem przezroczystej, starczej dłoni. A gdy zamilkł, rzekła z leciutkim uśmiechem:

— Ja ci coś powiem, Władziu. Rolnictwo to nie jest zajęcie dla starozakonnych...

I natychmiast przeraziła się tych słów, bo zrozumiała, że to był cios prosto w serce. Nie tylko w jego serce. Sama siebie zraniła tym szyderstwem, z którego — jak sądziła w ciągu wielu lat — już dawno wyrosła. A jednak tkwił w jej duszy cień chłopskiej wyniosłości wobec tych ciemnych, wszędobylskich ludzi, którzy przekraczali cudzą miedzę nieproszeni.

— Jestem głupia, stara wieśniaczka! — wykrzyknęła. — Ja ciebie przepraszam, Władziu...

— Za co siostra mnie przepraszają — odparł zimno i wyjął wargi. — Siostra ma właśnie zupełną rację!

Znów siedział mocno i pewnie w sarmackim siodle, spoglądał z wysoka na pachciarzy, co się kręcili wokoło. Ale siostra Weronika, porwana burzą sprzecznych uczuć, wstydem i złością, chłopskim uporem i słodyczą skruchy, miłością do tego starzejącego się nieszczęśliwca i tęsknotą za krnąbrnym chłopczykiem, który nie chciał się ugiąć i zdradzić siebie, nawet w obliczu niechybnej zagłady, zawołała zboliałym głosem:

— Władziu, przestań wreszcie prowokować, przestań wreszcie przede mną udawać, ja nie jestem całą Polską, jestem starą Weroniką, która chciałaby ciebie tak kochać, jak wtedy, kiedy miałeś siedem lat! Nie męcz mnie, Władziu. Już mi niewiele życia zostało...

Wtedy Gruszecki rozplakał się. Ona również. Trzymała jego mokrą twarz w słabych, przezroczystych dłoniach i przełykała gorzkie łzy.

Przez kwadrans świat im pozwolił wrócić do własnej skóry.

Miało się to jednak zdarzyć za bez mała czterdzieści lat, a teraz siostra Weronika naciągała na Arturka Hirschfelda obcą skórę. Teraz byli wrogami, patrzyli sobie w oczy wyzywająco. Siostra Weronika mówiła, zaciskając wargi:

— Jeszcze raz powtórz! Jak się nazywasz?

— Władzio Gruszka — odpowiedział i też zacisnął wargi.

— Dobrze, Władziu — rzekła. Odwróciła się, przymknęła oczy. Pomyślała, że Bóg wybaczy zuchwałość. Wbrew Niemu tworzyła ludzkie biografie. Opuściła głowę i modliła się w duszy o siłę wytrwania dla siebie i tych dzieci. Dzieci przyglądały się ciekawie.

Ale Władzio Gruszka, za plecami siostry Weroniki, pokazał jej język. Jestem Arturek Hirschfeld, pomyślał mściwie, nigdy nie będę żadnym Gruszką, że-by nie wiem co!

VII

Sędzia zasypiał z trudem. Słyszał powolne uderzenia zegara, który wybijał kwadransy nocy. Sen nadechodził zwykle o trzeciej nad ranem. Zimą sędzia przyjmował to spokojnie, lecz latem czuł okrucieństwo bezsenności. Już ptaki zaczynały gadać w gałęziach drzew, niebo jaśniało na wschodzie, a sędzia dopiero wówczas zapadał w sen, który miał mu odebrać ten kawałek świata, jeszcze przeznaczony. Sypiał bez marzeń, płytko, świadomy, że śpi, wsłuchany w odgłosy poranków, stuk naczyń za ścianą, szmer obudzonej już ulicy, pokrzykiwania woźnicy, głosy dzieci, śpieszących do szkoły, dzwonki tramwajów, oddechy uspionych kochanków, poszczekiwanie psów. Zimą było to znosne, bo gdy się budził, blade świty dopiero leciutko pukały do okien. Lecz latem otwierał oczy w ulwie słońca, w pełnym, dojrzałym zapachu natury, miał więc uczucie, że został okradziony z bezcennych chwil życia, którego niewiele — jak sądził — już mu pozostało. Jednakże cenił sobie te bezsenne noce, bo wtedy panowały nad nim cisza i osamotnienie, mógł z sobą gadać do woli, po swojemu filozofować, a nawet modlić się po swojemu, to znaczy przyzywać Boga, by sądził i był sądzonym. Leżał więc w szerokim łożu, z lewej strony miał ścianę, na ścianie tapety o delikatnym wzorze, szaro-błękitne, z rysunkiem egzotycznych kwiatów i smoków, jak na chińskich parawanach z czasów jego młodości, z prawej zaś strony miał stolik nocny, na nim lampkę z abażurem, kilka książek, popielnicę z niedopalonym ogarkiem cygara, talerzyk, nóż i jabłko. Jego pokój sypialny był obszerny, zagracony, nieporządkny, z szafą na ubrania zawsze uchyloną, kozetką o wytartym, wyświeconym obiciu, krzesłami z bambusowej plecionki, splewiałym dywanem i żyrandolem w kształcie koszyeczka. Lecz sędzia lubił ten pokój. Czuł się tutaj najlepiej,

bo każdy przedmiot nosił piętno jego samotności. Kiedy wieczorem zamykał za sobą drzwi pokoju sypialnego, by w nim pozostać do świtu, odnajdywał siebie. Szczególnie w latach okupacji pokój ten był jego twierdzą, jakby za progiem zło nie mogło już sędziego dosięgnąć. Rozbierał się powoli, porzucając garderobę na krzeselkach, jak w ciągu całego życia, od chwili gdy się zwolnił spod kurateli oschłego gubernera, który go do dwunastego roku życia musztrował od rana do wieczora, wdrażając do porządku, akuratności i przykładowych manier. Było to na Podolu, w świecie dawno umarłym, skąd sędzia odszedł jako młodzieniec jeszcze, by odtąd już samotnie mierzyć się z losem. Rozbierał się więc powoli, odnajdując radość w bałaganie. Potem wdziewał długą koszulę nocną, siadał na miękkim łóżku i wypalał połowę cygara. Na koniec kładł się wygodnie w pościel, dłonie spletał na kołdrze, patrzył w sufit i rozmyślał. Zegar wybijał kwadrans nocy. Niekiedy Bóg siadywał przy łóżku sędziego i rozmawiali ze sobą. Bywało, że przychodził diabeł. Ten nie był jednak dość pewny siebie, więc siadywał na kozetce i wówczas sędzia obracał ciało w stronę pokoju, głowę opierał na zgiętym łokciu i spoglądając w oczy diabłu, sztydził z niego odważnie. Lampka nocna paliła się na stoliczku. Sędzia nie znosił ciemności.

Owego wieczora był zupełnie sam. Siedział w łóżku i węchał dym cygara, które gasło z wolna na popielnicy. Te cygara kosztowały fortunę w ciężkich czasach wojny, ale nie umiał się ich wyrzec. „Cygar i godności nie wyrzeknę się nigdy!” — mawiał w gronie przyjaciół. Siedział więc i delektował się dymem cygara, gdy nagle za ścianą zadźwięczał telefon. Była godzina jedenasta, późny wieczór wiosenny, okno zaciemnione, na stoliku jarzyła się świeczka, bo wyłączono właśnie elektryczność, jak to się działo niekiedy w czasach okupacji. Telefon dzwonił jękliwie. Sędzia powstał z pościeli. Jakiś lęk wkraść mu się do serca. Przeszedł do drzwi, otworzył je i znalazł się w ciemnym korytarzu, oddzielającym pokój sypialny od reszty mieszkania. Telefon znów odezwał się w chwili, gdy zdejmował słuchawkę z widełek. Ręka sędziego drżała lekko. Przez uchylone drzwi przenikał do korytarza migotliwy blask świeczek. Olbrzymi cień poruszył się na ścianie.

— Hallo — rzekł sędzia. — Słucham.

— Sędzia Romnicki? — odezwał się daleki, szeleszczący głos, jakby na wietrze. — Sędzia Romnicki?

— Jestem, słucham, kto mówi? — zawołał sędzia.

— Fichtelbaum, adwokat Fichtelbaum, pan mnie pamięta?

— Panie Boże! — powiedział cicho sędzia — Panie Boże!

Z tamtej strony nadpłynął głos szeleszczący, wyraźny lecz bardzo daleki, jakby odzywał się z innego świata, i tak było w istocie. Telefonował adwokat Jerzy Fichtelbaum, dawny sędziego znajomy. Szło o córeczkę adwokata, imieniem Joasia. Ojciec chciał uratować dziecko przed zagładą.

— Zwracam się do pana, panie sędzio, u kresu życia — powiedział adwokat Fichtelbaum, a sędzia zawołał:

— Niech pan tak nie mówi, tak mówić nie wolno! Do rzeczy, do rzeczy, panie mecenasie...

Uzgadniali szczegóły. Cień sędziego poruszał się na ścianie, sięgał pułapu, spływał gwałtownie w dół, ku podłodze, znów się podnosił.

— Mam sąsiadów Volksdeutschów — powiedział sędzia nieco ciszej, jakby w obawie, że będzie słyszany przez ścianę — ale znajdzie się rada, panie mecenasie. U mnie rzecz wykluczona. Ci Niemcy obok, a także dozorca domu to człowiek niegodziwy! Ale rada się znajdzie.

Adwokat Fichtelbaum nalegał szeleszczącym głosem.

— Może już więcej nie będę mógł się połączyć, panie sędzio. Mam godnego zaufania człowieka, który przeprowadzi. Błagam o adres, błagam o adres! Będą potrzebne papiery...

— Ja to rozumiem — rzekł sędzia. — Proszę się nie kłopotać o takie sprawy. Adres, powiada pan? Niechże się skupię, błagam pana o chwilę cierpliwości, muszę się skupić...

Zapadła cisza zupełna, cień sędziego zgiął się na ścianie pod brzemieniem, bo dźwigał na barkach życie człowieka. Potem sędzia powiedział nazwisko i adres, a adwokat Fichtelbaum krzyknął nagle:

— Żegnajcie! Żegnajcie wszyscy!

Połączenie zostało przerwane. Sędzia stuknął w widełki, raz i drugi. Potem odłożył słuchawkę. Wrócił do sypialni. Usiadł na łóżku. Cygaro już nie dymiło ani trochę.

— Jestem — powiedział głośno sędzia, jakby został wywołany.

Ilekrót później, po latach, odpowiadał „Jestem”, wstając ze swojej pryczy, uśmiechał się na wspomnienie tego wieczora. Był to uśmiech zarazem smutny i łagodny, współczujący i szydery, bo sędzia myślał wtedy o adwokacie Fichtelbaumie, koszuli nocnej, cygarze, okrucieństwie świata i świeczce na nocnym stoliku. Strażnik więzienny mruczał pod nosem:

— Co wam tak wesoło, Romnicki, za mało dostaliście w kość?

Kilka razy raportował naczelnikowi, że podejrzany Romnicki zachowuje się podczas apelu jak półgłówek.

— Bo to jest półgłówek — zakonkludował naczelnik. — Stara pierdoła z błotem we łbie. I tak długo nie pociągnie.

Współtowarzysze celi także pytali sędziego, co znaczy jego dziwny uśmiech. Lecz nie odpowiadał. Z wiekiem stał się czujny. Jego dawna elokwencja gdzieś się ulotniła. Mniej było w nim ufności, jaką niegdyś w ludziach pokładał. Czuł się cokolwiek rozgoryczony, oszukany przez los. Może niekiedy sądził nawet, że zawiódł go Bóg, historia, a także poczucie sprawiedliwości, które kształtował w sobie przez pół wieku, nieświadomy, że czasy się zmieniają, a wraz z nimi zmieniają się pojęcia. Przez to bywał anachroniczny, bo gdy inni godzili się z rzeczywistością, on pozostawał niepokodzony, wyrzucając światu brak godności. O cygarach nie wspominał. Ilekroć, każdego ranka i wieczora, w myśl obowiązującego regulaminu, odpowiadał spokojnym głosem swoje „Jestem”!, nawiedzało go wspomnienie, wciąż żywe, ostre i coraz bardziej bolesne, że co prawda cygara przepadły bezpowrotnie, lecz honor pozostał.

Pozostała też pamięć. Był to najpiękniejszy dar Boga i uparcie ten dar chronił przed każdą próbą rabunku. Wszystko pamiętał. Do najdrobniejszych szczegółów. Zapach cygar i zgrzyt tramwaju, ruszającego z przystanku przed gmachem sądu, kiedy udawał się do pracy. Kolor nieba nad wieżami warszawskich kościołów i skrzydła gołębie na jego tle. Rude plamy spłowiełej materii na plecach żydowskich chałatów. Deszcze warszawskie. Wiatry, przelatujące nad Warszawą w listopadowe wieczory, gdy zapalały się neonowe reklamy. Stuk końskich kopyt na moście Kierbedzia, siwą smugę rzeki. Dzwonki sań podczas śnieżnych zim, twarze kobiet, wychylone z ciepłych kołnierzy futrzanych. Suche dni lata, gdy na miękkich asfaltach odznaczały się końskie podkowy i wężyki opon automobilów. Twarze fryzjerów, policjantów, przestępców, subiektów, weteranów, adwokatów, dorożkarzy, szwaczek, wojskowych, artystów i dzieci. Twarze diabłów i aniołów. Pamiętał wszystko, do najdrobniejszych szczegółów. Owocarnię, gdzie przy wejściu syczał saturator, a sprzedawca wynurzał się spoza kiści winogron, aby powitać klienta. Stuk maszyny do szycia firmy Singer, w zakładzie krawieckim Mitelmana na ulicy Bielańskiej. Wyroki, jakie ferował w imieniu Rzeczypospolitej, której ostoją miała być sprawiedliwość, a on traktował to poważnie i dlatego wciąż spierał się z Bogiem, prawami i własnym sumieniem, bo wiedział, że trzyma w rękach losy ludzkie. Deseń tapet w swym pokoju sypialnym i kształt

nożyków do owoców. Nieprzespane noce i długie nocne rozmowy, kiedy Bóg i diabeł odwiedzali go, by gawędzić o zbrodni i karze, zbawieniu i potępieniu dusz. Pamiętał prawdę. Każdy rok, miesiąc i godzinę. Każdego człowieka, z którym się był zetknął i znaczenie słów wypowiedzianych, czynów spełnionych, myśli pomyślanych. Pamiętał więc prawdę i to był jego pancerz, którego nie mogło przebić kłamstwo, aby przez tę szczelinę, przez wyrwę w pancerzu, wyzuć go z honoru. Mógłby to wszystko spisać i ogłosić na pohybel światu, który go osaczył. Lecz wiedział, że jedno prawdziwe świadectwo nie znaczy zbyt wiele, aczkolwiek znaczy więcej niż tysiąc świadectw fałszywych. Dlatego pamiętał wszystko, do najdrobniejszych szczegółów. Lot ptaków ówczesnych i kształt chmur na niebie. Myśli ludzi dawno umarłych, albo skazanych na zapomnienie. Strach i męstwo, oszczerstwa i ofiary, a także rzeczy nazwane fałszywie i słowa wyzbyte rzeczy. Listy, książki, przemowy, kazania, okrzyki, sztandary, modły, nagrobki i wiece. Ręce powstańców dobrej nowiny i ręce donosicieli. Głowy na cokółach i w pętli pod szubienicą. Pamiętał czasy, gdy zło i kłamstwo jawiły się wstydliwie, pokątnie, w kostiumie, masce lub mroku, bo ludzie chcieli udawać, że są dobrzy i oddani prawdzie, albo tacy nawet byli. To wszystko dokładnie pamiętał.

Umarł więc pogodnie, choć wiedział, że pozbawia świat wiarygodnego świadectwa. Wierzył jednak, że pozostaną inni, którym świadectwo swojej pamięci przekazał. Umarł w roku 1956, w małym mieście prowincjonalnym, u dalekich krewnych, którzy przyjęli go pod swój dach, gdy opuścił więzienie. Ludzie, co przygarniają skrzywdzonych, są w tym kraju zawsze obecni. Chory i pozbawiony sił, siadywał zwykle w swym pokoiku, przy otwartym oknie. Za oknem był sad, pachnący kwiatami jabłoni i grusz. Właśnie stamtąd przyszła do niego śmierć. Wychyliła się spoza jabłonek, jak szara, zwiewna chmurka. Wpłynęła przez otwarte okno do pokoju. Sędzia przyjął odwiedziny z wdzięcznością i ulgą. Działo się to wczesnym rankiem, w lipcu, przy ładnej, słonecznej pogodzie. Świt był dość chłodny, pnie jabłoni jeszcze otulone mgłą, ale słońce stało już na wschodniej stronie nieba i dzień zapowiadał się upalny. Brzęczały pierwsze owady, a ponad dachami szybowały jaskółki. Sędzia przyglądał się śmierci spokojnie i z godnością, ponieważ wszystko pamiętał. Pamięć, Anioł Stróż sędziego, była przy nim. W tym sensie pozostał uprzywilejowany.

Ale każdy może to mieć.

Umierając powiedział: — „Jestem!” — i uśmiechnął się łagodnie. Jego świeczka zgasła. Lecz słońce oświetlało twarz sę-

dziego przez długie godziny świtu, ranka i południa. Dopiero wtedy weszli do pokoju krewni i zobaczyli, że stary człowiek nie żyje.

Tamtego wieczora jednak, gdy siedząc na łożku w nocnej koszuli powiedział głośno „Jestem!”, jakby został wywołany i meldował się światu — żył jeszcze. Żył bardziej niżeli kiedykolwiek przedtem, bo oto wystawiał się na sztych zła, ościen losu, i odtąd miał się zmagać ze złem nie tylko w swoim sumieniu, myślach, dobrych uczynkach, ale również całym istnieniem. Tego pragnął od dawna. Aby życiem zaświadczyć pamięć, jeśli będzie trzeba. Bóg uczynił mu łaskę i pozwolił złożyć największą ofiarę. Nie był co prawda wyjątkiem, lecz należał do nielicznej mniejszości, która dokonywała takich wyborów. Była to szczęśliwa noc w życiu sędziogo.

Potem miało nadejść wiele takich nocy. Od tego jednak czasu sypiał dobrze i już nie cierpiał na bezsenność. Nie słyszał w płytkiej drzemce głosów świata, który istniał jakby bez jego udziału. Spał twardo i wcale się nie troszczył o tę swoją krótką nieobecność.

VIII

Kiedy doktor Adam Korda dowiedział się o kłopotcie kapitanowej Gostomskiej, siedział był właśnie przy oknie werandowym, czytając Lukiana. Młody mężczyzna o bandyckim wejrzaniu stojąc na progu oznajmił doktorowi, że zawiózł na gestapo niejaką panią Gostomską, podejrzaną o żydowskie pochodzenie.

— Taka elegancka osoba nie może być żadną Salcią — powiedział rikszarz, skinął na pożegnanie głową i odszedł. Doktor Korda zaś pozostał, z Lukianem w rękach i buntem w sercu.

Lecz jako filolog klasyczny wyrobił sobie przez lata zajęć umysłowych zmysł logicznej, skwapliwej obserwacji. Nie minęła więc nawet chwila, a już mógł sobie przypomnieć, że przecież oboje z panią kapitanową mają wspólnego znajomego, a mianowicie pana Pawełka, którego swego czasu spotkał był opuszczającego mieszkanie wdowy po oficerze artylerii. Wymienili wówczas nie tylko ukłony, lecz również kilka uwag o sprawach bieżących. Doktor Korda nie dziwił się, że Pawełek, sam będąc synem oficera, przebywającego w obozie jenieckim, odwiedza panią Gostomską, bądź co bądź wdowę po oficerze, a zatem najpewniej

znajomą rodziców pana Pawełka. Filolog klasyczny nie tracił czasu. Porzuciwszy Lukiana na okiennym parapecie, udał się zwawo do miasta. Powiadomił Pawełka o przykrości, jaka spotkała kapitanową. Pawełek przyjął rzecz spokojnie. Do tego stopnia, że filolog klasyczny wrócił do Lukiana nie przezuwając nawet, jaką udrękę zgotował młodemu człowiekowi.

Lecz Pawełek nie myślał poddawać się. Wykręcił numer na tarczy aparatu telefonicznego i poprosił pana Filipka. Słyszał po tamtej stronie przewodu dudnienie jakiejś maszyny.

— Filipek — odezwał się męski głos. — Co jest?

— Panie Filipek, tu Paweł — powiedział Pawełek — musimy się zaraz zobaczyć.

— Zaraz to nie. Po fajrancie. I gdzie?

— Na Miodowej, w cukierni, dobrze?

— Niech będzie w cukierni. Zjawię się o czwartej.

Pawełek czekał przy marmurowym stolczku, tuż obok wejścia z ulicy. Filipek był punktualny.

— Panie Filipek, pani Seidenmanowa wpadła — rzekł Pawełek.

— Nie mów takich rzeczy — mruknął Filipek. Miał na sobie kolejarski mundur, czapkę trzymał na kolanach.

— Pani Seidenmanowa jest na Szucha — powiedział Pawełek.

— Dlaczego zaraz na Szucha? — sprzeciwił się kolejarz, który nie chciał tracić złudzeń. — Nie wszystkich biorą na Szucha.

— Ale ją wzięli — rzekł Pawełek.

Opowiedział całe wydarzenie. Żyd na Kruczej, riksza, gestapo, doktor Korda, Pawełek.

— To wszystko, co wiem...

— Ona ma blond włosy — rzekł Filipek — i bardzo niebieskie oczy.

— Ale to był jakiś znajomy, chyba sprzed wojny. Jakiś Żyd sprzed wojny...

— Wszyscy Żydzi są przedwojenni — odrzekł kolejarz — my też jesteśmy przedwojenni. Jeśli ją rozpoznał jako panią Seidenman, to chyba jednak pojechała na Szucha.

— Niech pan coś wymyśli, panie Filipek — powiedział gwałtownie Pawełek.

— Przecież właśnie to robię. Czy uważasz, że zostawię na pastwę losu żonę pana doktora Seidenmana? On mi życie uratował! Miałbym ją zostawić? Ty mnie chyba nie znasz, Pawełku.

— Ja pana znam, dlatego zaraz zadzwoniłem. Przecież pamiętam, że pan nie mógł wcale chodzić...

— Chodziłem o kulach.

— A potem doktor Seidenman pana wyleczył. Pamiętam jak pana prowadziłem po schodach na drugie piętro i jak pan ciągnął za sobą obie nogi.

— On mnie wyleczył, wysłał do Truskawca, pożyczył pieniądze. Zresztą twój tatuś też mi pożyczył. Ale głównie doktor Seidenman. A pamiętasz Pawełku jego pogrzeb?

Pawełek nie pamiętał, ponieważ doktor Seidenman zmarł latem, kiedy młodzi ludzie przebywali na wakacjach, lecz skinął głową, żeby nie robić przykrości kolejarzowi.

— Myślałem, że umrę pierwszy, a tymczasem on się przejechał tak niespodziewanie. To był wyjątkowy pogrzeb. Za trumną szedł rabin, a trochę dalej ksiądz. I tłumy ludzi. Cała hurma Polaków i Żydów. On wszystkich dobrze leczył. Był wyjątkowym lekarzem. A doktorowa jest wyjątkową kobietą.

Pawełek skinął głową. Kolejarz wstał.

— Dobrze — rzekł. — Zmykaj, młody człowieku. Ja już coś wymyślę.

— Bardzo pana proszę, panie Filipek — rzekł Pawełek twardo, ale w oczach miał błaganie i lęk.

— Nie dla ciebie, ale dla niej. Ona jest tego warta. Zresztą, kto nie jest wart, żeby dla niego pomyśleć...

W godzinę później kolejarz Filipek zatelefonował do swego przyjaciela.

— Jasiu — rzekł — tutaj mówi Kazik Filipek. Mam do ciebie pilny interes.

— Wał do mnie — zawołał wesoło Jasio. — Wiesz, gdzie mieszkam.

— Wiem gdzie mieszkasz — odparł kolejarz. — Już idę.

I poszedł na ulicę Marii Konopnickiej do nowoczesnego domu, w którym mieszkali zamożni, wpływowi Niemcy. Zadzwonił do drzwi opatrzonych tabliczką z pięknie grawerowanym napisem: „Johann Müller. Dipl. Ing.” Otworzyła mu służąca, a kiedy podał swoje nazwisko, powiedziała, że dyrektor Müller czeka na niego w gabinecie.

Czekał w gabinecie. Był niewysoki, krępy, o białych włosach i rumianej cerze. Nazywał się Johann Müller. Był Niemcem, łodzianinem, bojowcem PPS, więźniem Pawiaka i zesłańcem. Strzelał kiedyś do szefa żandarmów w Radomiu. Chybił. Poszedł na katorgę. Wrócił i znów strzelał do agentów Ochrony. Wreszcie

wspólnie z Filipkiem trafili do Kraju Krasnojarskiego, gdzie karczowali tajgę, łowili ryby w olbrzymich rzekach, śpiewali pieśni i czekali na wielką wojnę narodów, która miała przynieść Polsce niepodległość. Doczekali się tej wojny i wzięli w niej udział.

Do Johanna Müllera wszyscy przyjaciele i towarzysze mówili „Jasiu” i szydzili z jego niemieckiego pochodzenia. „Jaki z ciebie Niemiec, Jasiu!?” — wołali. „Jestem Niemiec z ciała, Polak z duszy” — odpowiadał wesoło Johann Müller. I tak było w istocie. Ojciec Johanna Müllera, Johann Müller senior, był majstrem włókienniczym w Łodzi w czasach, kiedy Łódź rosła i potężniała. Stary Müller był niemieckim robotnikiem, a w tamtych czasach niemieccy robotnicy czytali Marksa i należeli do partii Ferdynanda Lassale’a. Ojciec wychował więc syna w duchu socjalistycznym. W Łodzi znacząco to wówczas tyle, że młody Müller rozpoczął walkę z caratem o niepodległość Polski. W dziewiętnastym wieku w ogóle wszystko było proste. Dopiero później świat się skomplikował.

— Jasiu — powiedział Filipek. — Ty przecież znałeś doktora Seidenmana.

— Znałem — odparł rumiany Niemiec.

— Pani Seidenmanowa jest na gestapo — powiedział Filipek. — I trzeba ją stamtąd wyciągnąć.

— Jezus Maria! — zawołał Müller. — Czy ja jestem biuro pośrednictwa między gestapo i warszawskimi Żydami?! Co ja dzisiaj mogę?

— Jasiu — rzekł kolejarz. — Dużo możesz. To jest łatwiejsze jak wydobyć z kozy Biernata.

— Kiedy to było! — zawołał Müller. — Ile już lat, jak Biernat w grobie leży.

— Trzeba wyciągnąć Seidenmanową — powiedział kolejarz.

— Właśnie ją, tak?! Innych nie? Jakby to była jakaś biedna Ryfka z Nowolipia, to nikt by palcem nie kiwnął! Popatrz, co się wokoło dzieje, Kaziu. Oni tam giną bez żadnej nadziei! Cały naród żydowski umiera, a ty mi przychodzisz w sprawie jednej Seidenmanowej.

— Nie możemy uratować wszystkich? — powiedział Filipek. — Ale możemy uratować Seidenmanową. I nie krzycz do mnie. To przecież wy tych biednych Żydów zabijacie...

— Jacy wy?! Niemcy! — wrzasnął Müller. Po czym dodał spokojniej, ze smutkiem: No, dobrze. Niemcy. Zapal papierosa.

Podsunął pudło z papierosami.

- Po coś ty się do nich zapisał, Jasiu? — rzekł kolejarz.
- Ja się nie zapisałem, wiesz o tym doskonale. Zawsze byłem Niemcem. Od sześćdziesięciu lat. I oni o tym wiedzieli.
- Więc po co ci ta swastyka w klapie?
- Właśnie po to, głupi człowieku. Wszyscy Niemcy należą. Jestem Niemiec, więc należę. Co by ci przyszło z Niemca, który nie należy?
- Wyciągnij Seidenmanową, Jasiu. To łatwiejsze niż sprawa Biernata.

Nagle obaj doznali wrażenia, że są o czterdzieści lat młodszy. W roku 1904 uwolnili z posterunku żandarmerii w Puławach towarzysza Biernata. Johann Müller przybył na posterunek w sianach, w mundurze lejtnanta, jako młody baron Ostern, który zabierze na przesłuchanie niebezpiecznego przestępcę. Kolejarz Filipek powoził. Miał na sobie szynel sołdacki, o kozioł sań opierał karabin z nasadzonym na sztorc bagnetem. Młody baron Ostern postawił na bacność komendanta posterunku. Okazał mu stosowne dokumenty. Mróz był siarczasty. Baron Ostern stał przy piecu kaflowym i palił grube cygaro. Ale komendant w Puławach, Ormiaszka jakiś, był cokolwiek podejrzliwy. Przebiegła sztuka. Lis kaukaski. Szczur z Azji dalekiej. Długo deliberował, na koniec przydzielił baronowi dwóch konwojentów, a Biernata zakuł w łańcuchy. Musieli konwojentów unieszkodliwić w lesie za Puławami, jednego z pistoletu, drugiego kolbą w łeb. Związanych zostawili na trakcie, w głębokim śniegu. Biernat dzwonił łańcuchami aż do Radomia. Dopiero tam, w kuźni przy rogatkach, rozkuli go. Potem jechali koleją do Warszawy. Gazowe światło lamp, milczenie i napięcie, żandarmi na peronie dworcowym, lęk okropny, czy uda się im przejść na miasto, czy nie poniosą klęski w ostatniej niemal chwili. Ale udało się. Dotarli na ulicę Smolną, gdzie ich oczekiwano.

— Straszny był wtedy ziąb — powiedział Müller — a ja się dusiłem przy tym piecu, kiedy oglądali papiery.

— Wyciągnij Seidenmanową — powiedział Filipek.

Müller milczał długą chwilę, wreszcie rzekł:

— Gdzie ona dokładnie jest?

— Pojęcia nie mam. Na Szucha. Musisz sam trafić.

— Nie znam baby! — mruknął Müller. — Nie znam baby!

— Maria Magdalena Gostomska, wdowa po oficerze.

— Jakieś szczegóły, Kaziu. Przecież tamci nie są zupełni idioci!

— Zupełni to nie — zgodził się skwapliwie Filipek.

IX

W czasach, o których mowa, Wiktor Suchowiak liczył lat trzydzieści trzy i powoli schodził na psy. Długie życie, które było mu przeznaczone, miało okazać się chybione, bowiem w młodości Suchowiak wybrał był karierę zawodowego bandyty, co w epoce wielkich totalizmów, które towarzyszyły mu do wieku sędziwego, musiało stać się opłakanym anachronizmem. Wielkie totalizmy same uprawiają bandytyzm w majestacie prawa, przy czym — ku zdumieniu indywidualnych zawodowców — niemal z reguły towarzyszy temu procederowi brak alternatywy, a bądź co bądź właśnie alternatywa była niegdyś filozoficznym fundamentem bandytyzmu. Wiktor Suchowiak zawsze pracował w myśl zasady „pieniądze albo życie!”, co dawało jego kontrahentom możliwość wyboru. Totalizmy miały dokonywać rabunku honoru, wolności, mienia, a nawet życia, nie pozostawiając żadnego wyboru ani ofiarom, ani nawet bandytom.

W czasach, o których mowa, szalał w Europie totalizm młodzińczy, niezwykle drapieżny i agresywny, który mordował bez litości całe narody, przy okazji grabiąc je w sposób bezprzykładny. Później świat miał się trochę usatkwować, bo nie było już wojny — przynajmniej w Europie — a zatem totalizmy uprawiały swój proceder bardziej dyskretnie, rzadko sięgając po życie ludzkie, o wiele zaś częściej po ludzką godność i wolność, nie gardząc oczywiście rabunkiem mienia, zdrowia, a przede wszystkim świadomości, która zawodowych, indywidualnych bandytów nigdy nie interesowała, bowiem nigdy nie była do spieniężenia. Wiktor Suchowiak miał dożyć czasów, kiedy totalizmy pod każdą szerokością geograficzną i pod rozmaitymi hasłami ideowymi, które zresztą odgrywały wyłącznie rolę kostiumu i dekoracji, uprawiały bandytyzm zupełnie jawnie, w biały dzień, przy akompaniamencie orkiestr dętych oraz deklamacji, czasem niepozabawionych liryzmu.

Wiktor Suchowiak zazwyczaj posługiwał się łomem, a w czasach kiedy działał pod szczęśliwszą gwiazdą — kastetem. Przemoc stosował tylko w okolicznościach wyjątkowych, gdy opór i odmowa przekraczały granice jego cierpliwości i zagrażały powodzeniu przedsięwzięcia. Nie mógł więc konkurować z dywizjami czołgów i batalionami uzbrojonych w broń maszynową żołnierzy, ani też — w czasach późniejszych — z takimi narzę-

dziami przemocy jak generatory wysokiego napięcia, zima polarna, napalm, szantaż całych grup społecznych, praca przymusowa, apartheid, podsłuchy telefoniczne, a nawet zwykłe pałki w rękach szalejących na ulicach policjantów, czy tajemnicze porwania niewygodnych ludzi, których zwłoki topiono następnie w gliniankach lub rzekach, albo uprowadzenia pasażerów linii lotniczych, których zabijano kolejno, aby wymusić okup lub ustępstwa polityczne na jednostkach, społeczeństwach i państwach.

W gruncie rzeczy pierwszy totalizm, z jakim Wiktor Suchowiak zetknął się z chwilą rozpetania wojny przez Hitlera, był wprawdzie najbardziej okrutny, krwawy i drapieżny, ale także najgłupszy i dość prymitywny, bo pozbawiony późniejszej finezji. Lecz tak zwykle bywa z każdym dziełem ludzkim. Zaczynamy od prostactwa, by następnie osiągnąć rzecz kunsztowną, bliską doskonałości.

Tak czy inaczej jednak Wiktor Suchowiak nie miał żadnych szans. Wybór, którego dokonał w wieku lat osiemnastu, kiedy obrabował swoją pierwszą ofiarę, był idiotyczny. Należało przewidzieć, że przyszłość bandytyzmu należy do czynników legalnych, w tym także do policji — i wstąpić w jej karne szeregi. Ale Wiktor Suchowiak nigdy tego nie uczynił. Także wówczas, gdy w późniejszym już wieku, jako więzień kryminalny, zachęcany był do udziału w budowie lepszej przyszłości po stronie ładu i porządku.

Wiktor Suchowiak na pewno nie był człowiekiem honoru. Osamotnienie i indywidualizm same przez się nie formują jeszcze ludzkiej godności, do tego trzeba czegoś więcej. Lecz bez wątpienia był człowiekiem zasad, które wynikały z jego rzemiosła. Nie interesowała go polityka i nie miał żadnych aspiracji intelektualnych. Moralność jego była prosta, podobnie jak wykształcenie, gusta oraz sposób bycia. Lubił pieniądze, kobiety, karuzele, wódkę, małe dzieci oraz zachody słońca. Nie lubił tłumy, słodyczy, policjantów, jesiennej pogody oraz przemocy, jeśli nie przynosiła mu korzyści. Już w pierwszym roku okupacji doszedł do przekonania, że świat zwariował. W tym czasie napadał niekiedy własnych rodaków, ale na ogół wolał Niemców, nie z przyczyn patriotycznych, ale z czystej kalkulacji. Rodacy bywali ubodzy. Rzecz jasna, Wiktor Suchowiak zdawał sobie sprawę z ryzyka, jakie pociągały za sobą napady na uzbrojonych Niemców. Zdarzali się jednak Niemcy pijani albo słabo rozgarnięci, szczególnie, kiedy znajdowali się w towarzystwie kobiet.

W pewnym jednak okresie Wiktor Suchowiak przekwalifi-

kował się. Miało to swoją dobrą stronę natury metafizycznej, bo Wiktor Suchowiak wierzył w Boga, a zatem również w niebo, czyściec i piekło. Za sowitą opłatą przemycił ludzi z getta do aryjskiej części miasta. W ten sposób zarabiał dobrze, spełniając szlachetne uczynki.

Jako człowiek doświadczony i rzetelny, któremu można było zaufać nawet w trudnych sytuacjach, posiadał dość liczną klientelę. Imię jego stało się głośne, zażywał poważania nawet wśród wachmanów, których dopuszczał do zysków. Pomiędzy Wiktorem Suchowiakiem a niektórymi wachmanami zawiązała się osobliwa nie solidarnej współpracy, której nawet najbardziej krwiożerczy Niemcy nie nadużywali, bo wiedzieli, z kim weszli w paragon i zdawali sobie sprawę, że próba wykończenia Wiktora Suchowiaka może ich kosztować życie. Bandyta był człowiekiem ogromnej siły fizycznej i wielkiej odwagi. Żaden inny przemytnik żywego towaru nie mógł się z nim równać. Targowali się z wachmanami zaciekle, zawsze jednak musieli ustąpić, brak im było bowiem siły ducha i determinacji. Wiktor Suchowiak nigdy do targów nie dopuszczał. Płacił tyle, ile uważał za właściwe, wszelkie skamlania i groźby wachmanów ucinął krótko. Nie bał się ich po prostu, a jeśli nawet, to oni bali się bardziej.

Wczesną wiosną roku 43 przemyt ludzi z getta przestał być intratnym zajęciem, ponieważ nie było kogo przemycać. Olbrzymia większość Żydów wyginęła. Ci, którzy jeszcze pozostali, byli nędzarzami, nie mieli czym opłacić przemytu, nie mieli też żadnych szans, by przetrwać po aryjskiej stronie z uwagi na swój wygląd, obyczaje i nieznaną języka. Garstka pozostałych w getcie Żydów miała niebawem umrzeć w walce, aby później przetrwać w legendzie.

Jednym z ostatnich żydowskich interesów Wiktora Suchowiaka była córeczka adwokata Jerzego Fichtelbauma, Joasia. Adwokat Jerzy Fichtelbaum był człowiekiem znanym przed wojną jako wybitny obrońca w procesach kryminalnych. Nie wszyscy jego klienci odznaczyli się niezłomnością zasad Wiktora Suchowiaka, Fichtelbaum nie mógł więc liczyć na przetrwanie po aryjskiej stronie. Wygląd jego był fatalny. Niewysoki brunet o ciemnym, gęstym zarostcie, cera oliwkowa, nos klasycznie żydowski, wargi pełne, w oczach sentyment pasterza trzód z ziemi Kanaan. Poza tym adwokat Jerzy Fichtelbaum miał już mało pieniędzy w kieszeni i dużo rozpacz w sercu. Żona jego zmarła przed rokiem na banalny nowotwór, we własnym łóżku, co było przedmiotem zazdrości całej kamienicy. Mecenas pozostał z córeczką Joasią, dzieckiem rozumnym i ładnym. Joasia

urodziła się tuż przed wybuchem wojny, była owocem późnego ojcostwa mecenasa, co jeszcze bardziej potęgowało jego miłość. Syn mecenasa, Henryczek, miał już lat bez mała dziewiętnaście, żył własnym życiem i miał umrzeć własną śmiercią, bez żadnego związku z dramatem swego narodu i rasy. Henryczek Fichtelbaum zbiegł z getta na początku jesieni roku 1942 i ukrywał się, bez kontaktu z ojcem i małą siostrzyczką. Tak więc mecenas Jerzy Fichtelbaum zdecydował, że musi ocalić Joasię, aby tym mężniej i spokojniej przygotować się na śmierć. Była to decyzja, którą każdy rozumny człowiek podjąłby na miejscu mecenasa i którą wielu rozumnych ludzi wówczas podejmowało.

Jak już wspomniano, hitlerowcy byli wprawdzie najbardziej okrutnymi totalistami w historii, ale ponieważ wysforowali się w tej mierze na czoło ludzkości i sięgali po palmę pierwszeństwa w świecie nowoczesnym, przeto byli jeszcze niedoświadczeni i popełniali przeoczenia. Tak na przykład telefony pomiędzy gettem i aryjską częścią Warszawy działały w sposób niezakłócony aż do ostatecznego zniszczenia dzielnicy żydowskiej, dzięki czemu mecenas Jerzy Fichtelbaum mógł drogą telefoniczną uzgodnić pewne szczegóły ocalenia Joasi. Hitlerowcy nie tylko nie przecięli połączeń, ale nawet nie zajmowali się podsłuchem, czego w latach późniejszych Wiktor Suchowiak — i zresztą nie tylko on — nie potrafił pojąć, w świetle normalnych doświadczeń drugiej połowy naszego wieku. Tak jednak było i dzięki temu Joasia Fichtelbaum mogła przeżyć do naszych dni.

Pewnego wiosennego wieczora Wiktor Suchowiak wziął za rączkę Joasię Fichtelbaum, pogładził ją po główce i rzekł:

— Teraz pójdziesz z wujaszkiem na spacer.

Mecenas Jerzy Fichtelbaum powiedział bardzo cicho:

— Tak, Joasiu. I musisz słuchać wujaszka.

Dziecko skinęło głową. Mecenas powiedział głosem nieco ochrypłym:

— Niech pan już idzie...

— Dobra — odpowiedział Wiktor Suchowiak. — Może pan być spokojny.

— I ani słowa dziecku — powiedział mecenas. — Nigdy, ani słowa...

— Ja to wszystko przekażę, niech pan się tym nie truże.

— Już! — krzyknął nagle mecenas i odwrócił się do ściany.

Wiktor Suchowiak ujął znowu rączkę Joasi i oboje wyszli z mieszkania. Mecenas Jerzy Fichtelbaum, z twarzą przy ścia-

nie, jęknął, ale bardzo cicho, bo nie chciał nikomu sprawiać przykrości, szczególnie zaś swojej córeczce.

— Wujaszek prosi, żebyś nie płakała — powiedział Wiktor Suchowiak do dziewczynki. — Najlepiej nic nie mów, tylko sobie oddychaj.

Dziecko znów skinęło głową.

Wyszli na pustą ulicę. Wiktor Suchowiak znał drogę. Wacha była opłacona według taryfy za niecelny strzał. Przeszli. Ale nawet strzału nie było. Tego wieczora wachmani czuli się rozleniwieni.

Nie wszyscy jednak zażywali *dolce far niente*. Nieopodal muru, po aryjskiej stronie, kręcił się pewien elegancki młodzieniec, znany w kręgach szmalcowników pod imieniem Piękny Lolo. Był smukły jak topola, jasny jak wiosenny poranek, szybki jak wiatr, bystry jak Dunajec. Miał też szczęśliwą rękę do Żydków, trafiał ich bezbłędnie na ulicach, a gdy raz pochwycił trop, szedł za nim uparcie. Nieraz zwierzyzna usiłowała kluczyć, Żydki niektórzy znali bowiem w mieście przejściowe bramy, łączone podwórza, sklepiki z tylnym wyjściem. Ale Piękny Lolo jeszcze lepiej znał miasto. Nie lubił, prawdę mówiąc, Żydków prowincjonalnych, zagubionych w Warszawie jak w obcym lesie, takich znękanych i przerażonych Żydków, co poddawali się natychmiast, ugodzeni pierwszym, celnym spojrzaniem Pięknego Lola. Zabierał im wszystko, co mieli przy sobie, czasem zgoła marny grosz. Lecz marny grosz wprawiał go w rozczarowanie i wówczas Piękny Lolo ujmował Żydka pod ramię, prowadził na posterunek, albo oddawał napotkanym żandarmom, a ostatnie jego słowa, do Żydka skierowane, brzmiały gorzko i melancholijnie:

— Na drugi raz, parchu, powinienes nosić przy sobie więcej gotówki. Ale drugiego razu już nie będzie. *Adieu!*

Mówiąc „*adieu!*” odczuwał coś na kształt solidarności z Europą, która była jego ojczyzną.

Lolo odnajdywał radość w polowaniu. Kiedy trafił Żydka bardziej godnego uwagi, przemykającego ulicami, spłoszonego, lecz przeciw pełnego determinacji, szedł za nim krok w krok, dając Żydkowi do zrozumienia, że już wpadł, jest śledzony, nie ujdzie daleko. Żydek starał się wtenczas kluczyć przebiegle, by oddalić się od kryjówki, gdzie przebywała jego rodzina. To się jednak nigdy nie mogło udać pod czujnym okiem Pięknego Lola. Bo na koniec Żydka dopadał, bez trudu nakłaniał do wspólnego spaceru i ujawnienia kryjówki. Potem dobijali interesu. Lolo zabierał pieniądze, biżuterię, nawet odzież nie gar-

dził. Wiedział, że natychmiast po jego odejściu Żydek zmieni kryjówkę, może nawet przycupnie w jakiejś piwnicy, albo po prostu próbę ucieczki z miasta. Lolo oskubywał też przy okazji aryjskich gospodarzy Żydka, którzy pod wpływem paniki ulegali jego żądaniom. Ale nie czynił tego często. Z aryjskimi rodakami nigdy nie był pewny interesu. Taki polski szabesgoj, który Żydków chował i karmił, mógł to czynić dla zarobku, ale również z przyczyn wzniosłych i ogólnoludzkich, a to zawsze napawało Pięknego Lolo niepokojem, bo jeden diabeł wiedział, czy ów Polak, z takiej szlachetnej gliny ulepiony, nie doniesie gdzieś do podziemia o wizycie Lolo, czy sam w podziemiu nie tkwi po uszy, czy na Pięknego Lolo nie sprowadzi kłopotów. Ten i ów szmalcownik ginął przecież czasem na ulicy warszawskiej od kul podziemia, nie należało więc ryzykować. Z tych też powodów Lolo rzadko pojawiał się w pobliżu getta, bo tam i konkurencja była spora, i niepowołane oko mogło się zatrzymać na jego ładnej buzi.

Tego wieczora zażywał przechadzki, weale nie myśląc o polowaniu. Przypadek zawiódł go w pobliże Placu Krasińskich i przypadek zetknął z Wiktorem Suchowiakiem, który dość śpiesznie zmierzał chodnikiem ulicy Miodowej, prowadząc za rękę żydowskie dziecko. Wiktor Suchowiak był człowiekiem smagłym, ciemnowłosym, o urodzie przepitego Cygana. Ujrawszy osobliwą parę Piękny Lolo odczuł łowiecki dreszczyk. Zbliżył się więc do Wiktora Suchowiaka i rzekł:

— Gdzie ty się tak śpieszysz, Mosiek?

— Panie szanowny, to pomyłka — powiedział Wiktor Suchowiak.

— Ciągniesz za sobą tę Salcię, że tchu nie może złapać — dodał Piękny Lolo tonem żartobliwym. — Więc zahamuj i wejdziemy do bramy...

— Panie szanowny, co pan właściwie uważa? — spytał Wiktor Suchowiak i rozejrzał się lękliwie wokoło. Ulica była pusta... Tylko w głębi Miodowej słychać było zgrzyt tramwaju. Ledwo widoczna, fioletowa smuga poruszała się w mroku. Piękny Lolo popchnął Wiktora w stronę najbliższej bramy.

— Pogadamy — rzekł poważnie.

— Panie szanowny, ja nie jestem Żyd — bronił się Wiktor Suchowiak.

— To się zobaczy — odparł Lolo — pokaż fujarę.

— Przecież dziecko — mruknął Wiktor Suchowiak.

— Ty mi dzieckiem głowy nie zwracaj! — krzyknął Lolo. — Pokaż fujarę!

— Joasiu — rzekł pogodnie Wiktor Suchowiak do dziewczynki — odwróć buzię do ściany i stój spokojnie!

Joasia milcząco posłuchała wujaszka. Wiktor Suchowiak rozpiął guziki płaszcza, lekko pochylił głowę, a następnie zgiętym łokciem gwałtownie uderzył Lola w szczękę. Lolo zachwiał się, krzyknął i oparł się o ścianę. Wiktor Suchowiak wyprowadził krótki cios w żołądek Lola, a gdy Lolo zgiął się nieco, wbił kolano w jego kroczę. Lolo jęknął, znów odebrał cios w szczękę, potem drugi w nasadę nosa. Krew buchnęła gwałtownie. Piękny Lolo osunął się na ziemię. Wiktor Suchowiak pochylił się, lecz uchwycił spojrzenie Joasi i zawołał:

— Odwróć się, wujaszek prosi!

Dziecko odwróciło się. Wiktor Suchowiak rzekł cicho do Lola:

— Gnoju, na drugi raz obedrę cię ze skóry! Teraz dawaj swój sierocy grosz.

Piękny Lolo krwawił obficie, czuł ból straszny, w głowie miał zamęt, w sercu gorycz i przerażenie

— Ja nic nie mam, panie — wymamrotał. Mocny kopniak przewrócił go twarzą ku ziemi. Pod policzkiem czuł chłód cementu, a na całym ciele zwinne ręce swego kata. Wiktor Suchowiak wymacał portfel i portmonetkę. Ruchy jego były spokojne. Starannie przeliczył banknoty.

— Kogoś ty dzisiaj obrobił? — spytał. — Ja tyle forsy zarabiam przez miesiąc.

Mówił nieprawdę, bo zarabiał więcej, ale nie widział powodu, by krwawiącego napastnika wprowadzać w swoje interesy. Portmonetkę rzucił obok głowy Lola.

— Masz na tramwaj — powiedział. — I omijaj mnie łukiem!

Ujął Joasię za rączkę, mówiąc:

— Ten pan zachorował, pomieszało mu się w głowie.

Wyszli z bramy. Piękny Lolo z trudem dźwignął się na nogi. Ale nie mógł jeszcze chodzić. Oparł się o ścianę i stał, dysząc ciężko. Krew ciągle płynęła mu z nosa. Był obolały, upokorzony i pełen nienawiści.

Ponownie ci dwaj ludzie mieli się z sobą spotkać za dwadzieścia lat. Wiktor Suchowiak wyszedł był właśnie z więzienia, jako człowiek przedwcześnie postarzały, wyrzutek i reakcjonista. Wszelako władze państwowe, ożywione misją naprawiania natury ludzkiej, nie położyły krzyżyka na tym nieszczęsnym produkcie kapitalizmu. Wiktor Suchowiak otrzymał skierowanie do pew-

nej fabryki materiałów budowlanych, gdzie miał podjąć pracę przy obsłudze betoniarki. Nigdy w życiu nie stykał się z betonem, poza posadzką celi więziennej, ale miał umysł bystry, charakter twardy, więc żywił nadzieję, że jakoś sobie poradzi. Ostatecznie niewiele już oczekiwał od życia. Zaopatrzony w skierowanie udał się zatem do kierownika personalnego zakładu. Kierownik przyjął go cierpko, jak zwykle to czynił wobec nowych pracowników o ciemnej, kryminalnej przeszłości. Przeczytał skierowanie, skrzywił wargi, odłożył papier na szklany blat biurka. Biurko było szerokie, odrobinę zniszczone. Kierownik też był cokolwiek zniszczony. Twarz miał obrzmiałą, a jego miękkie, jasne włosy trochę wyłysiały. W pokoju było słonecznie, dzień letni, niebo bezchmurne. Wiktor Suchowiak przyglądał się kierownikowi i milczał. Kierownik powiedział:

— Wyście kiedy robili przy betonach?

— Nie, panie kierowniku — odparł Wiktor Suchowiak. — Ale człowiek może się wszystkiego nauczyć.

Kierownik skinął głową. Dość sceptycznie.

— Za co była ta odsiadka? — spytał.

— Tam stoi napisane — odparł Suchowiak. — Napad i pobicie.

— I po co wam to było, Suchowiak. Czy nie lepiej uczciwie pracować dla kraju, dla społeczeństwa? Ja myślę, że się na was nie zawiodę, Suchowiak. Oni mi przysyłają takich jak wy, potem mam tylko kłopoty — ale wam z oczu dobrze patrzy, więc przyjmujemy was. Na okres próbny, rzecz jasna. Ten napad to był chyba pierwszy raz, co?

Wiktor Suchowiak uśmiechnął się i odparł:

— Nie, panie kierowniku. Drugi raz. Za pierwszym razem obrobiłem w czasie wojny szmalcownika na ulicy Miodowej w Warszawie.

Kierownik zbladł gwałtownie, wargi przygryzł, popatrzył czujnie w oczy Wiktora.

— O czym wy gadacie? — powiedział cicho.

— O nas — odparł Wiktor Suchowiak. — Dałem ci wtenczas manto, jak się patrzy!

— O czym wy gadacie! — krzyknął kierownik. Ręce mu drżały. — Z czym do gościa! Co wy sobie myślicie, Suchowiak? Że słowo kryminalisty coś tutaj znaczy? Że wasze oszczerstwa cokolwiek tutaj zmieniają?

— Ja sobie nie nie myślę, ale znam życie — odparł Wiktor Suchowiak. — Jak oni zaczną grzebać koło ciebie, gnoju jeden, to już nie wymkniesz. Czy mi uwierzą? Pewnie, że uwierzą.

W nich jest cholernie dużo tęsknoty do wymierzania sprawiedliwości. Żadna partia ci nie pomoże, żadne stanowisko.

— Nie tak głośno — warknął kierownik. — I co ci z tego, człowieku? Co ci z tego? Robotę u mnie masz, możesz tu żyć jak u Pana Boga za piecem. Ja się wybronię w razie czego... Zaprzeczę! Jak Bóg na niebie, zaprzeczę!

— Nie gadaj tyle, gnoju — przerwał Suchowiak — bo sam nie wiesz, co gadasz. Komu zaprzeczysz? Kacapom z bezpieki? Nie tacy jak ty tam pękają. Ale kto mówi, że do nich polecę? Czy ja to mówię?

— Siadaj — rzekł Piękny Lolo. — Siadaj, ty wszawa kurwo...

— Jeśli pan kierownik zaprasza, to czemu nie — odparł Wiktor Suchowiak, i usiadł na krześle przed biurkiem.

Rozmawiali długo. Nawet sekretarka poczuła niepokój. Dwa razy łączyła rozmowę z kierownikiem i dwa razy opryskliwie zawołała:

— Nie łączyć! — Zajęty jestem.

Rozstali się wreszcie. Kosztowało to Pięknego Lola ładny grosz. A na pożegnanie Wiktor Suchowiak poklepał go po policzku. Pieszczotliwie, lecz po męsku, bo zabołało. W sercu Lolo zabołało. Został w gabinecie, jak przed dwudziestu laty w bramie na Miodowej, z uczuciem beśsiły, poniżenia i strasznej nienawiści.

Wiktor Suchowiak z poręki Pięknego Lolo podjął lepiej płatną pracę w innym przedsiębiorstwie. Nigdy więcej już się nie widzieli.

Po kilku latach Wiktor Suchowiak został inwalidą pracy i pobierał skromną rentę. Cierpiał na gruźlicę kości, poruszał się z trudem. Mieszkał w dużym pokoiku na przedmieściu, w domu starym i wilgotnym. Jedyłą jego rozrywką było wyglądanie przez okno na ulicę. Ale nie była ruchliwa. Przypatrywał się młodym kobietom z dziećmi, mężczyznom, śpieszącym do pracy lub knajpy, kłótliwym, ciekawskim starszkom, które paplały na skwerku. Czasem i on wychodził na ten skwerek, siadał na ławeczce, gwarzył ze starymi ludźmi. Ale czuł się coraz gorzej i rzadko z domu wychodził.

Wieczorami, gdy długo nie mógł zasnąć, płakał cicho. Nie wiedział, dlaczego. Lecz płacz sprawiał mu ulgę. Kiedy zaś późno w nocy zasypiał, śniła mu się wojna i okupacja. Ludzie często śnią o najlepszych chwilach swego życia. Nie należał więc do wyjątków, chociaż żaden freudysta nie miałby z niego pożytku. Kiedy bowiem Wiktorowi śniła się szafa, to wcale nie znaczyło,

że miał ochotę przyrznać jakąś kobietkę, ale w tej szafie siedział Żyd i mówił do Wiktora Suchowiaka: „Ja panu bardzo dziękuję za taką wielką przysługę!”. A Wiktor odpowiadał z godnością: — „Ja tego nie zrobiłem z miłości dla pana, panie Pinkus, tylko zostałem dobrze zapłacony! A teraz siedź pan cicho, bo ta pani, co tutaj mieszka, jest strachliwa jak dupa Hitlera!”.

Któż w tym kraju nie chciałby mieć po latach takich słodkich snów? Ale miewał je tylko Wiktor Suchowiak i może jeszcze kilkadziesiąt innych osób. Takie sny zazwyczaj omijają dobrze odżywionych kombatantów. Mądry i wszystko wiedzący Morfeusz rozdziela je pomiędzy zabiedzone nauczycielki w małych miasteczkach, starych, emerytowanych sędziów, inżynierów, kolejarzy albo ogrodników, a czasem także pomiędzy straganiarki i przedwojennych rzeźmieszków. Lecz o tym, co niegdyś ci ludzie uczynili, można się tylko dowiedzieć słuchając czujnie ich słów, niekiedy wypowiedzianych przez sen.

X

Krawiec Apolinary Kujawski zajmował pięciopokojowe mieszkanie na drugim piętrze, z balkonem, od frontu, przy ulicy Marszałkowskiej. W pokojach były wysokie kaflowe piece, jeden zaś, w salonie, szczególnej piękności, zdobny w rozety oraz drzwiczki żeliwne w kształcie pałacowej bramy. Na parterze tego samego domu miał Kujawski swoje „atelier”, nieco ciemne, lecz obszerne, składające się z trzech pomieszczeń. W pierwszym przyjmował klientów, brał z nich miarę, a klienci przeglądali się w lustrze. W głębi „atelier” pracowali czeladnicy, trzy maszyny Singera terkotały od rana do wieczora. Para unosiła się gęstymi kłębami, gdy ciężkie, gorące żelazka przyciskały wilgotne płótno do prasowanej garderoby.

Krawiec Kujawski był człowiekiem uczciwym, niewysokiego wzrostu, łysawym, krótkowzrocznym, o duszy niepozabawionej romantycznych uniesień, umyśle prostym, stopie małej i kształtnej. Miał skłonność do wyszukanej elegancji, tak jak elegancję rozumiał człowiek wychowany przed Wielką Wojną, w miasteczku byłej guberni płockiej, pośród przeważającej liczby starozakonnych. Nosił zatem ciemne garnitury i sztywne kołnierzyki, wzorzyste krawaty, giemzowe buciki w odcieniu żółtawym, a także kolorowe kamizelki, zielone lub wiśniowe,

zależnie od nastroju, jaki panował w jego sercu. Na serdecznym palcu prawej dłoni miał sygnet z kamieniem, na palcu małym dłoni lewej — pierścionek z rubinem.

Kujawski był bowiem człowiekiem bardzo zamożnym, a wśród oficerów niemieckiego Wehrmachtu, a po części także niemieckich sił porządkowych, cieszył się sławą najlepszego spodniarza w Warszawie. Nawet oficerowie ze Lwowa przybywali do niego, by obstałować bryczesy albo spodnie wyjściowe.

Kujawski nie był człowiekiem wielkiej osobistej odwagi, więc nie usiłował swoich znajomości wśród tak wpływowej klienteli obracać na rzecz polskich interesów narodowych. Ponieważ jednak był patriotą, nie szczędził grosza, by dyskretnie wspierać ruch oporu. Popierał także artystów. Łożył spore sumy na zakup literackich rękopisów, które miały zostać opublikowane po wojnie. Kupował płótna mistrzów pędzla, gromadząc je w swym mieszkaniu, z głębokim postanowieniem, że w wolnej Polsce przekaze tę kolekcję do jakiegoś muzeum, rzecz jasna z zaznaczeniem nazwiska ofiarodawcy na stosownych tabliczkach, albo zgoła na frontonie gmachu.

Kujawski doszedł do fortuny dzięki niecodziennym okolicznościom i opinii człowieka rzetelnego. W dawniejszych latach, zaraz po Wielkiej Wojnie, kiedy ściągnął był do Warszawy w poszukiwaniu zajęcia, objął się zrazu po rozmaitych warsztatach krawieckich, nigdzie nie zagrzewając miejsca, bo był człowiekiem o poglądach radykalnie chrześcijańskich, u Żydów pracować nie chciał, a rzemiosło chrześcijańskie borykało się w jego fachu z wielkimi kłopotami, cierpiąc na nadmiar rąk do pracy. Mieszkał podówczas Kujawski w suterenie przy ulicy Miodowej, samotny, niewysoki i naznaczony gniewną dumą z powodu swego ubóstwa. Dorabiał prasowaniem garniturów dla panów, mieszkających w tej samej kamienicy, oraz reperacją odzieży miejscowej biedoty. Jednym z jego wpływowych klientów był w owych latach sędzia Romnicki, oryginał i mędrzec, który małego krawca polubił. Razu pewnego, gdy Kujawski odniósł sędziemu spodnie sztuczkowe do mieszkania na pierwszym piętrze, sędzia powiedział:

- Panie Kujawski, mam pracę stałą dla pana.
- Pan sędzia raczy sobie żartować — odparł krawiec.
- Ani mi w głowie. Słyszałeś pan o Mitelmanie?
- Mitelman? Ten z Bielańskiej?
- Ten z Bielańskiej. Ja u niego staluję od trzydziestu lat.

Wielki artysta nożyc i człowiek nieskazitelnego charakteru.

Gotów jest, z mojej poręki, zatrudnić pana, kochany panie Kujawski.

— Panie sędzio, ja jestem chrześcijański krawiec.

— Niechże pan głupstw nie gada, panie Kujawski. Czy po chrześcijańsku inaczej się fastryguje niż po żydowsku?

— Tego nie powiem, ale u nich inne są obyczaje, które...

— Panie Kujawski — przerwał sędzia — miałem pana za rozumnego człowieka. Mitelman gotów jest przyjąć pana do pracy. Na stałe zatrudnienie. U niego kilku krojczych pracuje, kilkunastu pomocników. Duża firma. Najlepsza klientela w Warszawie. Czego pan chcesz więcej? Za kilka lat, jak pan się będziesz przykładał, oszczędzał, możesz własny zakład założyć. No, i wreszcie ożeni się pan, panie Kujawski, bo to już najwyższy czas...

— Ja się nigdy nie ożenię, panie sędzio.

— To już pańska sprawa. No, więc, jak będzie?

Kujawski zrazu prosił o czas do namysłu, zapewniał, że pod wieczór przyniesie odpowiedź. Gryzł się bardzo boleśnie. Do Żydów nie żywił niechęci, ale przecież byli mu obcy. Wychował się pośród nich, lecz w pewnym oddaleniu. Wzbudzali w nim ciekawość i lęk, przez odmienność języka, obyczaju, wyglądu. W jego rodzinnym miasteczku Żydzi stanowili ogromną większość, lecz chrześcijanie uważali się za lepszych, może właśnie dlatego, że będąc w mniejszości, czuli się jednak faworyzowani przez świat. Był to świat zbudowany hierarchicznie i każdy tam znał swoje miejsce. Na tej drabinie Żydzi znajdowali się poniżej chrześcijan przez sam fakt swego żydostwa — i Kujawski nie wnikał, dlaczego tak się dzieje. Tak było od najdawniejszych czasów, pewnie od owego dnia, kiedy Żydzi ukrzyżowali Pana Jezusa. Sam Bóg ustanowił takie zwyczaje na ziemi, może po to, aby Żydów ukarać za ich niedowiarstwo, upór i zdradę, jakiej się wobec Niego dopuścili.

Kujawski był człowiekiem głęboko wierzącym, a wierzył tak, jak inni wokół niego. Modlił się, uczęszczał do kościoła, przyjmował Najświętszy Sakrament, oddawał w opiekę Matce Boskiej, kochał Polskę, która była prawdziwie katolicka i cierpiała na krzyżu niewoli jak nie przymierzając sam Pan Jezus, przeto miała prawo do imienia „Chrystusa Narodów”, nie szanował prawosławnych i występnych Moskali, luterzańskich i brutalnych Niemców, a także starozakonnych i hałaśliwych Żydów, ale rzecz jasna — inaczej nie szanował Moskali, bo byli jego prześladowcami, bo to był Sybir, knut, kibitka, inaczej znów Niemców, bo to byli wrogowie odwieczni, może i więcej nawet

potrafili, może i lepiej nawet pracowali, ale Kujawskim pogardzali jako Słowianinem, więc im odpłacał nieprzyjaźnią i szyderstwem, a znów całkiem inaczej Żydów nie szanował, bo ci z kolei byli niżej od niego, zawsze chcieli go przechytrzyć, wystrychnąć na dudka, gdy tymczasem on czuł się bardziej tutejszy od nich wszystkich, i bardziej niżeli oni na własnej grzędzie. Byli przybłędami, gdy on wyrastał z tych prapolskich korzeni, to były jego rzeki, pola, lasy i krajobrazy, w których oni pojawili się tylko jako wędrowcy. Więc drażniły Kujawskiego żydowskie geszefty, kamienice, warsztaty, bo zabierały jego własną przestrzeń, w której sam z wielkim trudem się mieścił. I musiał się czasem rozpychać, żeby u siebie w domu znaleźć kąt, gdzie by mógł złożyć utrudzoną głowę.

Kujawski gryzł się okrutnie przez kilka godzin, ale wieczorem poszedł na pierwsze piętro i oświadczył sędziemu, że przyjmuje pracę u Mitelmana na Bielańskiej.

— Już mnie zmęczyła bieda, panie sędzio — powiedział, jakby chciał się usprawiedliwić, że oto składa broń, odstawia polską kosę w kąt, i teraz weźmie się za żydowską igłę.

Sędzia Romnicki powiedział:

— No to chwala Bogu, że ma pan trochę oleju w głowie, panie Kujawski.

Kujawski był krawiec z talentem, a Mitelman mistrz nad mistrzami. Właścicielowi wziętej firmy na Bielańskiej przypadł do gustu nieduży i obrotny chrześcijański pracownik, tym więcej, że Mitelman miał swój interes, aby także przynajmniej jednego goja zatrudnić, bo to mu jednał klientelę bardziej wybredną. Do najlepszych domów posyłał Kujawskiego, ponieważ w najlepszych domach, nawet bardzo liberalnych, postępowych i wykwintnych, chrześcijański rzemieślnik nie zakłócał pewnego odwiecznego porządku moralnego, choć również nie satysfakcjonował jak należy europejskiego poglądu na świat. Kujawski zarabiał nieźle, ale fortuny nie zrobił. Pozostał w swej suterenie.

Lecz w roku 1940 Mitelman wybierał się do getta. Jesienią, pod wieczór, w dzień wietrzny i deszczowy, zjawił się w suterenie Kujawskiego i powiedział:

— Panie Poldek, ja idę do getta. U mnie jest magazyn najlepszego szewiotu w Warszawie, pan to wiesz. Mam sto dwieście pięć bel rapaportu bielskiego, mam też bele z firmy Jankowski, cośmy je razem wybierali tuż przed wojną. Mam warsztat taki, co już nie trzeba panu opisywać. Idę do getta.

Pan jesteś jedyny chrześcijanin w mojej firmie, pan mi to przechowasz do lepszych czasów.

— Panie Mitelman — zawołał krawiec Kujawski. — Gdzie ja to przechowam? W tej suterenie?

— Czy ja mówię, że w tej suterenie? To jest przecież majątek. Bierz pan z niego trochu, kup pan warsztat, zarabiaj pan, przechowuj pan, przynosź pan jakiś zysk do getta, bo ja panu wierzę, jak własnemu ojcu. A jak wojna się skończy, założymy wspólny interes, Mitelman i Kujawski, niech będzie nawet Kujawski i Mitelman, albo Kujawski i spółka, mnie już nie zależy, ale lepiej dla pana, żeby było jednak Kujawski i Mitelman, bo nazwisko się trochę liczy, mnie w mieście trochu znają.

Tak się też stało. Krawiec Kujawski wszedł w posiadanie majątku krawca Mitelmana. I spotykali się w gmachu Sądów na ulicy Leszno, jak długo to było możliwe, i Kujawski nosił pieniądze Mitelmanowi, a także nosił żywność, nosił dobre słowo, nosił swoje współczucie, przyjaźń, rady. Mitelman był coraz słabszy, Kujawski coraz mocniejszy, ale wcale go to nie cieszyło, ponieważ wiedział, że dzieje się straszna niesprawiedliwość, że Żydzi cierpią, umierają, giną, a to była kara za ich grzechy ponad wyobrażenia ludzkie, nawet jeśli srodze zgrzeszyli, nie dając wiary słowu Zbawiciela. Poza tym, jeśli grzeszyli Żydzi, to na pewno nie grzeszył zbyt wiele Mitelman, który był człowiekiem prawym, dobrym, hojnym, sprawiedliwym i pobożnym, aczkolwiek w sposób starozakonny, co nie jest godne zalecenia.

Kujawski nie był człowiekiem o wygórowanych ambicjach intelektualnych i odczuwał niekiedy pewną niechęć do własnego umysłu, wyrzucał mu niekiedy ograniczoność, mawiał niekiedy: „Ja jestem właściwie idiota, ale czy to jest moja wina, że jestem idiota, a jeśli sam wiem, że jestem idiota, to chyba nie jestem taki idiota!” — więc, krótko mówiąc, nie posiadał aspiracji filozoficznych, nie zgłębiał tajemnic egzystencji ludzkiej i nie wymierzał światu sprawiedliwości, ale jednak zdawał sobie sprawę, że wokoło rozpętało się piekło, zatriumfowało zło i trzeba mu się przeciwstawiać w sposób możliwie najbardziej skuteczny. Szył spodnie dla niemieckich oficerów, bo w jego spodniach, czy bez jego spodni — i tak robiliby to, co robili, ostatecznie z bryczesów nikt nie strzela, mogą mieć gołe tyłki i też będą zabijali tych biednych Żydów, mogą mieć gołe tyłki i też będą rozstrzeliwali Polaków, a co się tyczy rosyjskich mrozów, gdzieś pod Moskwą, to on, Kujawski, nie szyje kozuchów dla niemieckiej armii, w jego bryczesach tyłki im przemarzną

nie tylko pod Moskwą, ale nawet pod Rembertowem, nie miał zatem wyrzutów sumienia z przyczyny zarobkowania u Niemców, szczególnie, że ożywiła go romantyczna i patriotyczna ambicja niesienia pomocy ludziom potrzebującym, krzywdzonym i prześladowanym.

Nagle, wiosną roku 1942, stał się właścicielem wielkiego majątku, ponieważ krawiec Mitelman po prostu umarł w getcie, a jego jedyny syn, dentysta Mieczysław Mitelman, padł w kilka dni później zastrzelony na ulicy Rymarskiej. Tak więc krawiec Kujawski został z majątkiem, gromadzonym przez lata dzięki skrzętności i pracowitości żydowskiego krojczego oraz harówce jego czeladników. Dla Kujawskiego nie ulegało wątpliwości, że to jest tylko w części jego własny majątek, ale nie był wcale pewny, do kogo należy pozostała część. Na pewno nie do Niemców! Czy do Żydów? Ale gdzie byli Żydzi? I jacy Żydzi mieliby prawo do majątku krawca Mitelmana? Więc może majątek należał do narodu polskiego? Kujawski stał przed dylematem. Na razie jednak toczyła się wojna, Żydzi i Polacy ginęli, a majątek w rękach krawca Kujawskiego powiększał się, dzięki zapotrzebowaniu na bryczesy oraz spodnie wyjściowe dla oficerów Wehrmachtu.

Krawiec doszedł do wniosku, że jego zbiory dla przyszłego muzeum obrazów nosić będą imiona dwóch ofiarodawców, a mianowicie Apolinarego Kujawskiego i Benjamina Mitelmana, uznał także, iż ufunduje wydawnictwo poetyckie „Kujawski i Mitelman”. W sprawie tej zasięgał rady sędziego Romnickiego. Sędzia bywał od czasu do czasu jego klientem, ale nie w dawniejszym sensie. Sędzia już wcale nie stałował garniturów, lecz wyprzedawał dzieła sztuki, głównie obrazy, które nagromadził był przez minione dziesięciolecia.

Kujawski dawał też nieraz zarobić panu Pawełkowi, który pośredniczył w transakcjach, choć krawiec był świadomy, że pan Pawełek mniejsze ma pojęcie o kwestiach sztuki, niżeli on sam. Bo Kujawski miał wrodzony zmysł artystycznej wrażliwości, przez jego ręce przechodziło mnóstwo pięknych i cennych przedmiotów, nawet od głupich niemieckich oficerów kupował kruchą porcelanę, świeczniki, miniatury. Lubił tych Niemców oszwabić i chętnie to czynił, gdyż wiedział, że przedmioty, jakie mu oferowali do nabycia, niemal zawsze pochodziły z rabunku.

W gruncie rzeczy Kujawski odnajdywał jakąś harmonię w swym wojennym życiu. Przebywanie w otoczeniu dzieł sztuki sprawiało mu przyjemność. Pieniądze czyniły go pewnym siebie.

Teraz bywał w bardzo kulturalnych domach jako mile widziany gość. Eleganckie panie podawały mu rękę do pocałowania i traktowały z wyrozumiałą sympatią. Lecz wiedział, że nie powinien sobie na zbyt wiele pozwalać, bo pomimo wszystko pozostał krawcem, a ci wszyscy ludzie byli elitą narodu, byli wykształceni, czytani, swobodni, dumni, uprzejmi, nade wszystko bardzo delikatni, mądrzy i piękni, nawet w swym przykrym ubóstwie, nawet gdy sprzedawali ostatni bibelot, srebrną paterę albo starą książkę. Dlatego nie potrafił się z nimi targować. A oni, wbrew pozorom i temu wszystkiemu, co o nich przedtem i potem mówiono, mieli jakiś osobliwy zmysł, nie handlowy bynajmniej, nie kupiecki, lecz po prostu etyczny, dzięki któremu wiedzieli, że Kujawski nigdy ich nie oszuka i nigdy nie zdrwi z ich biedy, ponieważ wiąże ich z Kujawskim jakaś tajemnicza nie zależność, paradoksalna, a jednak doniosła, bo wywiedziona z prastarego kłębka polskości, polskiej historii i kultury, z tego niepowtarzalnego motka polskiej przędzy, nie zależność i wspólnoty, która krawcowi nakazywała szacunek i wdzięczność za to, że może ich wspomagać, aby przetrwali, bo jeśli oni nie przetrwają, to on także nie przetrwa, gdyż jest w nich coś, czego ani oni, ani on nie potrafili nazwać, a co pozwala jemu tak długo być Polakiem, jak długo oni w Polsce istnieją — i ani chwili dłużej!

Tak więc Kujawski odnajdywał w swym życiu błogosławioną harmonię. I tylko jedna sprawa sęczyła niepokój w jego serce. Że mianowicie Pan Bóg jak gdyby odwrócił się od Polski, wystawił ją na zbyt ciężką próbę. Czymże bowiem ta Polska zawiniła tak bardzo, gdy po stuleciu niewoli i cierpień odrodziła się po Wielkiej Wojnie i przetrwała zaledwie dwadzieścia lat? Na pewno nie wszystko było w Polsce w porządku, lecz czy gdzie indziej było w porządku? Czy było w porządku, jeśli potężna Francja broniła się zaledwie przez miesiąc i kapitulowała tak sromotnie, niemal na kolana padając przed Hitlerem? Czy było w porządku, jeżeli Sowiety, rozciągające się aż na skraj świata, pękły z trzaskiem pod naporem niemieckim w ciągu dwóch miesięcy? A przecież Sowiety dokonały wspólnie z Hitlerem rozbioru tej nieszczęsnej Polski. Za ten grzech Bóg słusznie ich pokarał, uciekali przed Niemcami aż do samej Moskwy i dopiero tam się jakoś opamiętali, skuteczniej stawili opór. Więc cóż takiego było w Polsce i Polakach, że znów muszą cierpieć, jak nigdy dotychczas? Dlaczego Bóg tak okrutnie Polskę i Polaków doświadcza?

Takie pytania gnębiły krawca Kujawskiego, któremu się

wydawało, jak zresztą wielu innym ludziom na tym świecie, że Bóg komenderuje historią ludzkości. Nie doczekał czasów, kiedy wszytkie bez wyjątku wydarzenia wyjaśniono przy pomocy naukowej metody dialektycznego materializmu, ale nawet gdyby doczekał, i tak nie uwierzyłby w tę metodę, był bowiem wedle niej drobnomieszczaninem, ślepcem z pogranicza klas, którego charakter, umysł i nawyki kształtowały krawieckie nożyce, maszyna Singera oraz szpule nici, a zatem nieświadomym, niedokończonym i spaprany przez bieg dziejów produktem socjologicznej wersji losu ludzkiego, gdy on sam, krawiec Kujawski, wiedział doskonale, że otrzymał duszę od Boga, że winien słuchać swojego sumienia, które jest tak samo jedyne i niepowtarzalne jak sumienie Benjamina Mitelmana, sędziego Romnickiego, pana Pawełka czy zgoła Niemca Geisslera, któremu szył bryczesy ze skórzaną wkładką na tyłku, że zatem winien słuchać sumienia, które stanowi jego jedyne oręż przeciw nieprawościom świata, a jeśli materializm dialektyczny nie zna tego słowa, lecz wyłącznie uwarunkowania społeczne, to sam musi się przyczynić — czy tego chce czy nie chce — do nieprawości, do znieprawienia świata, nawet jeśli pragnąłby świat zbawić, wbrew sumieniu krawca Kujawskiego i zamysłem Boga.

Ale nie doczekał czasów, które wtedy dopiero miały nadejść, kiedy jego szczątki już od lat leżały w masowym grobie, wśród wielu innych rozstrzelanych w ulicznej egzekucji jesienią roku 43, jego zbiory strawił pożar powstania i rozwiął wiatr. buszujący na zgłiszczach miasta, a jego dusza zażywała radości obcowania z Bogiem, a także z duszą Benjamina Mitelmana oraz z duszami tych miłych godnych osób, które wspierał zakupami dzieł sztuki, do końca, lub niemal do końca swych dni przekonany, że wniesie piękny dar dla muzeum w niepodległej Polsce.

Lecz ostatni dzień życia stał się jak gdyby odzwierciedleniem i skrótem całego jego losu, od chwili dzieciństwa poczynając. Bo jako chłopczyk był żwawy i krnąbrny, wieczorami podkradał gruszki z sadu miejscowej plebanii, nigdy nie mógł dłużej na jednym miejscu usiedzieć. Tak też było owego ranka, gdy się zbudził, pełen niepokoju i przygnębienia. Przebiegał swoje pokoje bez celu, wychodził na balkon, mimo słotnej pogody, znów wracał do salonu, aby po chwili zjawić się na parterze, w „atelier”, gdzie trwała zwykła, codzienna praca, znów wspinał się po schodach na drugie piętro, po pokojach biegał, nierozważny jakis, napęczniały wewnątrz, a przecież

wewnętrznie pusty, dziwnie spragniony świata i jego tajemnic, wciąż jeszcze zakrytych.

Około południa wszedł w swój wiek młodzieńczy. Pomaszewował sprężystym i zważym krokiem do Saskiego Ogrodu, co niektórym przechodniom wydawało się komiczne, bo spoglądali na małego człowieczka w ciemnym paltocie, żółtych bucikach, z laseczką, który wyglądał na śmiesznego eleganta z miasteczka w byłej płockiej guberni, miał baczki przydługie i skośnie przycięte, policzki nazbyt po goleniu upudrowane, pierścienie na palcach, krok zabawnie taneczny, zbyt długi dla nówek tak krótkich, które jednak chciały poruszać się bardzo po męsku, posuwicie, z pewną gracją, a zarazem pewnością, jaką daje mężczyźnie smukła i wysoka sylwetka. Szedł więc krawiec Kujawski, już nieco uspokojony, odwiedzić sędziego, wymienić z nim pogląd na sytuację, a może także nakłonić do sprzedaży przepięknej miniatury na drzewie, przedstawiającej sześćdziesiąt osiem postaci ludzi i zwierząt, zgromadzonych na wiejskim jarmarku flamandzkim w połowie siedemnastego stulecia.

Lecz nie doszedł, ponieważ na ulicy Niecałej żandarmi zagarnęli go do „budy”, a kiedy usiłował dowodzić, że szyje spodnie dla wyższych dowódców niemieckich, zdzielili go kolbą przez plecy tak boleśnie, że stracił oddech, zakręciło mu się w głowie i natychmiast umilkł. Tak wszedł w swój wiek dojrzwały. W celi zachował milczenie, a kiedy kilka razy się odezwał to tylko w nadziei, że pocieszy i uspokoi swych towarzyszy niedoli. Już wiedział, że przyjdzie mu umrzeć pod murem warszawskiej kamienicy. Znał ten proceder publicznych egzekucji, szalejący na mieście od pewnego czasu. Że bał się śmierci, to pewne, ale godność własna nie pozwoliła mu okazać lęku.

Noc przebył na modlitwie i rozmyślaniach o świecie. Tak zaczęła się starość, której, gdy był jeszcze krawcem na ulicy Marszałkowskiej, nie doświadczył, bo miał wtedy dopiero czterdzieści lat i duże nadzieje na przyszłość. Ale ostatniej nocy pożegnał wszystkie nadzieje. Świt powitał z pogodnym spokojem. Ten zwykły krawiec, człowiek najbanalniejszy pod słońcem, dość, prawdę mówiąc, zabawny i pyszałkowaty w swej taniej próżności, może nawet zgoła niemądry, który wciąż skrycie wierzył, że na reumatyzm najlepiej spać w łóżku z kotem, bo reumatyzm po pewnym czasie wejdzie w kota i bez reszty opuści zbolełe członki, otóż ten zwykły, prosty człowiek z byłej płockiej guberni, co w dzieciństwie powtarzał wierszyk — „Kto ty jesteś, Polak mały, jaki znak twój, orzeł biały!” — co niezbyt Żydów lubił, Moskali nie znosił, Niemcami gardził lękli-

wie, a o innych ludziach mało albo i zgoła nic nie wiedział, ten krawczyzna chrześcijański, który na belach żydowskiego szewcownika zrobił majątek, a potem marzył naiwnie o wzniosłej roli mecenasa artystów, dostąpił na kilka godzin przed śmiercią cudu wtajemniczenia. I oto rzeczy dotąd zakryte — zobaczył całkiem wyraźnie, w pełnej ich istocie, sensie i przemijaniu. Ale nawet ten cud był cokolwiek banalny, jak zresztą wszystko, co dotyczyło krawca Kujawskiego. Bo jest sprawą powszechnie wiadomą, iż wielka mądrość dana jest na koniec przyzwoitym ludziom, a odebrana szubrawcom. Bo czymże jest ta największa i najbardziej tajemna mądrość człowieka, jeśli nie nazywaniem dobrym tego co dobre, a złym, tego co złe? I właśnie w tej mierze zwykły krawiec, który miał wyborny sznyt nożyc, przewyższył wielu późniejszych filozofów i proroków. Lecz gdyby nawet nie miał tego sznytu wybornego, i tak byłby ich przewyższył, ponieważ nosił w sercu miarę sprawiedliwości, dobroci i miłości bliźniego. Więc umierając pod murem warszawskiej kamienicy, umierał bardzo godnie i pięknie, wybaczywszy uprzednio swoim mordercom, bo wiedział, że oni także umrą, a śmierć nie oczyści ich z hańby. Wybaczył wszystkim ludziom i całemu światu, który uznał za źle urządzone i sprzeciwiający się zamysłom Boga, ponieważ chciał świata, w którym każdy będzie wolnym człowiekiem, bez względu na swoją rasę, narodowość, światopogląd, kształt nosa, sposób bycia i numer obuwia. Nawet o tym numerze obuwia wtedy pomyślał, ponieważ nie operował kategoriami filozoficznymi, lecz bogactwem swoich banalnych i może nawet zgoła głupich obserwacji, dokonywanych z perspektywy krawca, który bierze miarę na parę spodni. I cóż z tego, skoro jednak okazał się przenikliwszy od owych profetycznych zbawców i naprawiaczy świata, którzy mieli przyjść po nim i znów liczyć ludziom kości, tropić ich pochodzenie, jeśli nie rasowe, to klasowe bez wątpienia, zakładać im obroże jak smorgońskim niedźwiedziami, by tak zawsze tańczyli, jak im zagra zwycięska garmoszka w rozpedzonej po Europie, potężnej i nie znającej żadnych cugli, gogolowskiej trojce.

Umarł pod ścianą kamienicy, a gdy oprawcy wrzucili jego ciało na platformę i odjechali, jakaś kobieta umoczyła chusteczkę w krwi krawca, krzepnącej na chodniku, i uniosła z sobą jak pieczęć ludzkiego męczeństwa.

Tak oto wszedł do panteonu bohaterów narodowych, choć wcale tego nie pragnął i nawet w ostatniej chwili nie przemknęła mu przez głowę myśl, że jest bohaterem. Wiedział, w tej ostat-

niej chwili, że jest porządnym człowiekiem, dobrze życzył światu, bliźnim, a także Polsce, którą na swój zaściankowy sposób kochał przez całe życie. Ale nie wiedział, że będzie bohaterem, a gdyby o tym wiedział, wyraziłby stanowcze życzenie, aby go skreślono. Potem było już za późno! Zaprzeczając jego ideałom wolności i wyszydzając jego proste, krawieckie życie, wyniesiono na ołtarze jego śmierć, jako przykład i wzór. Ale nigdy nie było wyjaśnione do końca, na czym mianowicie przykład ten polegał. Bądź co bądź wyszedł na miasto z zamiarem odbycia spaceru w Saskim Ogrodzie. Czy te spacery miały być przykładem? Czy może raczej sposób, w jaki prowadził nożyce? Albo jego umiłowanie fałszywych sygnetów herbowych? To nie zostało nigdy wyjaśnione. Tylko jego śmierć miała się liczyć, jakby śmierć w ogóle cokolwiek znaczyła, oddzielona od życia, które ją poprzedzało.

XI

— Drogi towarzyszu partyjny Stuckler, nie przychodziłbym do pana, żeby się spierać o jakąś Żydówkę.

— To jest rzetelny informator — odrzekł Stuckler. — Kręcił się wśród warszawskich Żydów przez kilka lat. Dobrze ich znał...

— Może i znał, towarzyszu partyjny Stuckler, lecz ta osoba należy do grona moich starych przyjaciół.

Stuckler przyglądał włosy na skroniach. Podniósł na Müllera spokojne, trochę senne oczy.

— A jeśli nawet to jest wdowa po oficerze? — rzekł miękko. — Chyba nie stanie się nic złego, jeśli ją zatrzymamy.

— Nie przychodzę w sprawie wdowy po oficerze polskim, ale w sprawie mojej dobrej znajomej — rzekł Müller z naciskiem. — Nic nie macie do tej kobiety. Trafiła tutaj przez pomyłkę.

— Nie wykluczam — powiedział Stuckler i podniósł słuchawkę.

Cichym głosem wydał polecenie, by przyprowadzono Marię Magdalenę Gostomską. Odłożył słuchawkę i zwrócił się do Müllera.

— Towarzyszu partyjny Müller — powiedział. — Podziam pana. Jestem w tym mieście zaledwie kilka miesięcy i już

czuję się zmęczony. Trzeba wyjątkowego charakteru, żeby przywyknąć do polskiego otoczenia.

— Tyle lat — odparł Müller. — Niemal całe życie tutaj przeżyłem. Nie są wcale najgorsi. Między nami mówiąc, to niektórzy są teraz trochę rozczarowani.

— Rozczarowani? — powtórzył przeciągle Stuckler.

Müller skinął głową z głębokim namysłem.

— Było tutaj wielu, którzy liczyli na nas przez dziesiątki lat. Czuli się bliżsi nam, niżeli Moskalom. Oni tutaj Rosjan często nazywają Moskalami. No cóż, ja jestem od polityki daleki, towarzyszu partyjny Stuckler, ale zbyt wielka wobec nich surowość nie wydaje mi się słuszną. Szczególnie teraz, w obliczu wydarzeń wojennych.

— To są Słowianie — rzekł Stuckler.

Müller chrząknął. Jak ona się zachowa? — myślał. — Czy jest dostatecznie bystra, żeby zrozumieć naszą wspólną grę? Poczuj wilgoć na karku. Gram o dużą stawkę, pomyślał. Ale ona o większą. Żeby tylko umiała zagrać, jak należy.

Stuckler uśmiechnął się blado.

— Okropne miasto — powiedział. — Dzikie miasto. Za tydzień jadę na urlop.

— Dokąd? — spytał Müller. Miał sztywny język.

— Do domu — odrzekł Stuckler. — Pochodzę z Saalfeld, w Turynгии.

— Bardzo piękne okolice — powiedział Müller.

Stuckler skinął głową i przymknął oczy.

Trzeba gwałtownie zerwać się z krzesła. Mówić dużo, głośno. Zbliżyć się do niej z okrzykiem zdumienia i radości. A jeśli nie zna niemieckiego? W tej sytuacji nie mogą odezwać się po polsku...

— Lubię konną jazdę — rzekł Stuckler. — Odbywam wycieczki w siodle. To bardzo uspokaja.

— Tutaj też?

— Niestety, bardzo rzadko. Nie mogę sobie pozwolić na zbyt wiele wolnych chwil, rozrywek.

— Służba — rzekł Müller z westchnieniem. — W gruncie rzeczy to jest nadal linia frontu.

— Tak. To jest linia frontu — potwierdził Stuckler.

Czy przyprowadzą ją razem z tłumaczem? Popełniłem błąd. Nie wyciągnąłem od niego, czy ona mówi po niemiecku. Jeśli odezwę się po polsku, wzbudzę podejrzenia. Za mało wiem o tej kobiecie.

— Ale teraz wypocznę — powiedział Stuckler. — Może

nawet trochę kąpieli leczniczych. Czy pan wie, towarzyszu partyjny Müller, że u nas w Saalfeld są liczne źródła mineralne?

— Nie słyszałem o tym — odparł Müller. — Czy działają na schorzenia żołądkowe?

Poderwę się z krzesła i zawołam, że czuję się dotknięty. Dlaczego pani nie powołała się na mnie, łaskawa pani?

— To także — odparł Stuckler — ale głównie wzmacniają organizm. Ostatnio czuję się wyczerpany. Może to nerwy?

— Trudno się dziwić, towarzyszu partyjny Stuckler.

Otworzyły się drzwi i Müller poczuł omdlewającą słabość. Do gabinetu weszła przystojna blondynka w szarym kostiumie spacerowym, elegancka, smukła, o bladej cerze i ogromnych, błękitnych oczach. Za nią pojawił się tęgawy esesman. Müller podniósł się z krzesła.

— Nie powołać się na starego Johanna Müllera, droga pani, to doprawdy trudne do pojęcia!

Jezu Chryste, modlił się, Jezu Chryste!

— Wiedziałam, że to pomyłka, panie Müller — odparła spokojnie i płynnie po niemiecku. — Nie chciałam pana niepokoić.

— Kochana pani Gostomska! — zawołał.

Nie widział jej oczu, patrzył nieco powyżej, nad jej głową, wciąż w obawie, że stanie się coś przerażającego.

Stuckler nieruchomo siedział za biurkiem. Nagle rzekł:

— Pani nazywa się Gostomska? Wdowa po polskim oficerze?

— Oczywiście — odparła.

— Pomyłki zdarzają się — rzekł Stuckler. — Ale prostujemy nasze pomyłki.

Na ulicy wziął ją pod ramię. Szli szybko, równym krokiem. Siwy, rumiany, niewysoki mężczyzna i wyższa od niego, smukła, ładna kobieta.

— Nic z tego nie rozumiem — powiedziała. — I jest mi trochę słabo.

— Możemy mówić po polsku — odparł. — Na Koszykowej jest cukiernia. Tam wejdziemy.

Wyglądali jak dziwna para na dziwnym, zbyt pośpiesznym spacerze. Opowiedział jej, w jaki sposób znalazł się u Stucklera.

— Mój Boże — westchnęła Irma Seidenmanowa. — Prawie nie pamiętam pana Filipka.

Wydało się jej, że idzie pod ramię z mężem, doktorem

Ignacym Seidenmanem, bo to on przecież wydobyl ją z klatki w gestapo. Müller poczuł dotyk jej dłoni na swym ręku.

— Dziękuję panu — powiedziała bardzo cicho, a on doznał uczucia słodocy. — Zawsze będę pamiętała ten dzień. I nigdy, nigdy w życiu nie wejdę w Aleję Szucha.

Może nie myliła się, gdy siedząc w klatce, rozważała swoje istnienie jako świat zapamiętany, tylko zapamiętany. Jeśli życie było tylko tym, co przeminęło, miała prawo przypuszczać że nigdy nie wejdzie w Aleję Szucha, a ten kwietniowy dzień już na zawsze pozostanie głęboko w jej świadomości. Lecz przecież życie jest także tym, co jeszcze niespełnione. Jest mozolnym ruchem naprzód, aż do kresu drogi. W ciągu następnych dwudziestu pięciu lat codziennie wchodziła w Aleję Szucha, a nawet do wnętrza gmachu, gdzie w podziemiu znajdowały się klatki. I niemal nigdy nie myślała o tamtym kwietniowym dniu, o owej nocy, spędzonej za kratą, kiedy czekała na śmierć z powodu idiotycznej papierośnicy z inicjałami I.S. Codziennie wchodziła do gmachu ministerstwa, zajmując tam ważne stanowisko i nawet nie pamiętała, że w tym gmachu mieści się muzeum martyrologii, a kiedy okoliczności przypominały jej o tym, odczuwała niechęć. Jej życie było tym, co spełnione, ale wcale nie wszystkim, co spełnione ostatecznie, lecz raczej tym, co jeszcze niespełnione do końca, co pozostawało w stadium spełniania się. O tym myślała. Tylko to skupiało na sobie jej uwagę. Miewała często sny męczące, lecz nie o wojnie i okupacji, nawet nie o doktorze Ignacym Seidenmanie, który gdzieś jeszcze egzystował w jej pamięci, w najdalszych zakamarkach wspomnień, ale już nie jako mąż, lecz raczej znak i symbol przeszłości, dawno pogrzebanej pod popiołami, znak czegoś dobrego i cennego, co kiedyś wypełniało jej życie, aby później usunąć się w cień, pod naporem tego wszystkiego, co się spełniało leniwie, w jakimś cierpieniu, oczekiwaniu, goryczy, lecz to cierpienie i oczekiwanie było sensem wszystkiego, wypełniało cały umysł Irmy Seidenmanowej, bo była kobietą czynną, ambitną, mądrą, chciała rzeczywistość formować własnymi rękami, wyczuwać koniuszkami palców jej chropowatości, a także jej gładkość, której wcale nie brakowało, szczególnie w chwilach, gdy coś się na koniec przecież spełniało, aby ustąpić miejsca rzeczom niespełnionym.

Czasem dziwiła się, że tkwi w niej jakiś osobliwy instrument, który niewłaściwie rezonuje, jak pęknięte skrzypce. Może, tak myślała po wielu latach, już jako bardzo stara kobieta, może te jej skrzypce pękły właśnie podczas wojny, owej

nocy, spędzonej w klatce na Szucha, albo jeszcze wcześniej, latem roku 1938, kiedy o świcie dowiedziała się przez telefon, że właśnie umarł jej mąż, doktor Ignacy Seidenman. Coś w tym instrumencie brzmiało fałszywie i Irma wiedziała o tym, bo miała w sobie bardzo muzykalny zmysł egzystencji. Kiedy czesała siwe, jakby nieco przybrudzone włosy, co często zdarza się na starość u jasnych blondynek, i przyglądała się swej pomarszczonej twarzy w lustrze, siedząc w ładnym, słonecznym pokoju przy alei de la Motte-Picquet, albo kiedy przeglądała gazety na tarasie kawiarni przy avenue Bosquet, gdzie niemal każdego dnia piła *citron pressé*, samotna, stara Żydówka na paryskim bruku, otóż gdy to się działo, po trzydziestu latach od owego dnia, kiedy Stuckler zezwolił jej opuścić gmach gestapo u boku starego Müllera, to wcale nie pamiętała Stucklera ani okratowanej klatki, lecz tylko nieduży gabinet z biurkiem koloru ciemnego miodu, dwoma telefonami, palmą w donicy pod oknem, dywanem, fotelami, obitymi skajem, nieduży gabinet pamiętała doskonale, twarz sekretarki, pani Stefy pamiętała, nade wszystko zaś twarze tych trzech mężczyzn, którzy zachowywali się gruboskórnie i szyderczo, wówczas, w kwietniu roku 1968, kiedy zjawili się w gabinecie, aby ją z niego usunąć. I jako stara kobieta na paryskim bruku nie pamiętała wcale, albo może nie chciała pamiętać, że w czasie wojny, w tym samym gmachu, powtarzała uparcie „Nazywam się Maria Magdalena Gostomska, nie żadna Seidenmanowa! Jestem wdową po oficerze, nie jestem Żydówką!” — wcale nie pamiętała tego zdarzenia, lecz zgoła inne zdarzenie, w tym samym gmachu, może nawet na tym samym piętrze, bo tego nie była w stanie sobie uprzytomnić, zgoła inne więc zdarzenie, kiedy powiedziała cierpko do tamtych trzech szyderczych i nieustępliwych, że wcale nie będzie z nimi rozmawiała, będzie rozmawiała ze swoimi przełożonymi, ludźmi, którzy są odpowiedzialni za ten kraj, a oni już zrozumieją na pewno jej sytuację, jej postawę, bez względu na idiotyczny fakt, że nazywa się Gostomska-Seidenman, Irma Gostomska-Seidenman. Tamci trzej kiwali głowami, jeden rzekł: „Dobra, dobra! Na co tracić czas...” Zabrała torebkę, ale kiedy sięgała po teczkę nieprzejrzanych jeszcze dokumentów, co zwykle czyniła, opuszczając swoje biuro, aby jeszcze w domu trochę popracować, wówczas jeden z mężczyzn rzekł z naciskiem, żeby akta zostawiła, nie ma potrzeby zabierać akt. „To się już nie wróci, kochana...” powiedział. I miał rację. Już nie wróciło. Ale później, po latach, była świadoma, że ten wewnętrzny

instrument jest zepsuty, słyszała w sobie fałszywą nutę, bo Stuckler zjawiał się jako ledwo uchwytny cień, Stuckler był to fantom, symbol, incydent, gdy tamci trzej, którzy wtedy przyszli i nie pozwolili jej zabrać teczek, a także pani Stefa, która odwróciła się twarzą do okna, kiedy Irma przechodziła w towarzystwie mężczyzn przez sekretariat, byli rzeczywistością, życiem spełnionym do końca, a przecież przeciętym gwałtownie. w ciągu jednej chwili, brutalnie i niegodziwie. I tylko to pamiętała. Nie pamiętała Stucklera, Müllera, pana Filipka i Pawełka, nie pamiętała doktora Adama Kordy, lecz tylko owych mężczyzn w gabinecie, sylwetkę pani Stefy na tle okna, a także nalane, obrzmiałe i niechętne twarze późniejszych swoich rozmówców, dłonie celników na jej bagażu, dokumentach, książkach i notesach, to tylko pamiętała patrząc w lustro w pokoju przy alei de la Motte-Picquet, jako stara kobieta, samotna Żydówka na paryskim bruku, która czuła w gardle Polskę jak tampon, jak knebel. Mówiła sobie nieraz: „Jestem niesprawiedliwa. To była moja ojczyzna, więc jestem niesprawiedliwa!”. Ale już po chwili, przełykając z trudem *citron pressé*, dodawała z ulgą: „Dlaczego mam być sprawiedliwa, skoro jestem starą, skrzywdzoną babą, której wszystko odebrano, tylko dlatego, że nazywa się Irma Seidenman?” I już nie chciała być sprawiedliwa. Ale każdy ma prawo być niesprawiedliwym, kiedy Bóg zesłał na niego nieszczęście.

Lecz gdy szła w kierunku ulicy Koszykowej, wsparta na ramieniu Johanna Müllera, nie wiedziała jeszcze, że w ciągu dwudziestu pięciu lat, które dopiero nadejdą, codziennie będzie przekraczała próg gmachu na Szucha, że potem ten gmach opuści w sposób paradoksalnie komiczny i żałosny, bo tam gdzie teraz jej żydostwo miało ją zatrzymać na zawsze, jej żydostwo stanie się przyczyną zwolnienia, tak jak jej obecna polskość stała się przyczyną zwolnienia, gdy później byłaby niechybnie powodem zatrzymania. Gdy szła wsparta na ramieniu Johanna Müllera, nie wiedziała jeszcze, że za trzydzieści lat, czesząc brudno-siwe włosy w pokoju przy alei de la Motte-Picquet, będzie postacią tragiczną, lecz całkiem inaczej tragiczną niżeli teraz, na rogu Koszykowej, gdy uchodzi cudem przed śmiercią z gmachu gestapo na ulicy Szucha. Nie wiedziała o tym wszystkim i nie znała jeszcze swych myśli, uczuć, snów, które miały nadejść potem, w całkiem innym świecie, pozbawionym wszelkich związków z rzeczywistością, otaczającą ich oboje — Irmę i Müllera — gdy przekraczali próg małej cukierni, zajmowali miejsca przy małym stolczku, zamawiali

po ciastku u wysokiej, śniadej kelnerki, do której Müller mówił „Szanowna pani!”, ponieważ jeszcze niedawno była żoną sławnego pisarza i głośną w Europie pianistką, a miała stać się niebawem zwłokami bezimiennej kobiety, zagrzebanymi pod gruzami.

— Niczego nie przełknę — powiedziała Irma Seidenman i odsunęła talerzyk z ciastkiem. — Dopiero teraz jest mi słabo.

— Ja jestem głupi człowiek — powiedział Müller. — Kar mię panią ciasteczkiem, a pani przecież nie w ustach nie miała od dwóch dni...

— Nie jestem głodna — odparła — Jestem jakaś... przepętiona. Nie umiem tego wyrazić.

— Nerwy — rzekł Müller. — Jutro będzie dobrze. Musi pani pójść do łóżka. Trzeba to przespać...

— Wykluczone, nie zasnę. Nie chcę być teraz sama...

— Może chciałyby się pani udać do przyjaciół, znajomych?

— Nie, nie... Zresztą nie wiem. Jestem zupełnie roztrzęsiona.

— Zawiadomię Filipka, że wszystko w porządku.

— Ja go tak mało znam, proszę pana. Ale oczywiście. Chcę mu podziękować z całego serca.

Nagle rozpląkała się. Pochyliła głowę, łzy ciekły po jej policzkach. Müller powiedział cicho:

— Niech pani płacze. Niech pani płacze.

Ciemnowłosa pianistka zbliżyła się, współczując pogładziła Irmę po głowie, jak dziewczynkę.

— Łzy są potrzebne — rzekła — ale przyniosę pani coś niezawodnego.

Irma Seidenmanowa podniosła błękitne, mokre oczy.

— Niezawodnego? — powiedziała. — Mój Boże!

Wydobyła chusteczkę i otarła twarz. Potem wysiąkała głośno nos, jakby wcale nie była elegancką i kulturalną wdową po lekarzu, lub nawet oficerze artylerii. Kelnerka postawiła przed Irmą szklaneczkę brunatnego płynu i powiedziała:

— Niech pani to wypije.

Irma Seidenman wypija.

— Strasznie mocne! — zawołała i uśmiechnęła się. Kelnerka skinęła głową.

— Widzi pani. To są moje „kropelki na gestapo”.

— Byłbym rad skosztować — powiedział Müller. — Mam nadzieję, że mi szanowna pani nie odmówi.

— To się rozumie — rzekła kelnerka.

Mijał czas. Müller zatelefonował do kolejarza Filipka. Zawia-

domił go, że pani Gostomska czuje się dobrze, a cała sprawa została uwieńczona powodzeniem. Wrócił do stolika. Wypił jeszcze jedną szklaneczkę „kropelek na gestapo”. Słuchał Irmy Seidenman, która opowiadała o swym pobycie w klatce na Szucha. Mijał czas. Już nie byli sobie obcy. Gdybym miał o dwadzieścia lat mniej i czasy były inne, to zakochałbym się w tej kobiecie, myślał Müller. Ale teraz wystarczy, że jest uratowana. Nagle roześmiał się głośno. Irma Seidenman spojrzała na niego ze zdziwieniem.

— Pomyślałem sobie — rzekł — że to wszystko jest bardzo wyjątkowe. Moje życie jest wyjątkowe. Czy nie denerwuje pani moja odznaka partyjna w klapie?

— Przecież wiem, kim pan jest — odparła.

— Ale to nie maskarada, łaskawa pani. To prawda. Ja jestem Niemiec, prawdziwy Johann Müller. Czy pani to rozumie?

— Rozumiem — odrzekła spokojnie. — Są przecież różni Niemcy. Każdy to wie, proszę pana...

— Dzisiaj każdy to wie, ale jeśli ta wojna potrwa, jeśli to całe świństwo potrwa, Polacy zapomną, że są różni Niemcy. I kim wtedy będę? Co wtedy ze mną?

— Nie mówi pan poważnie — odparła Irma Seidenman. — Znają pana tutaj setki ludzi. Proszę się nie lękać...

Müller leciutko zmarszczył brwi.

— Ja się nikogo nie lękam, łaskawa pani. Strach? Nie, to nie jest strach! Ja myślę o mojej, że tak powiem, przynależności. Gdzie przynależę? Tu czy tam? Nie chodzi o mnie, bo wiem, że przynależę tutaj. Ale czy ludzie po wojnie, w niepodległej Polsce, także uznają za oczywiste, że ja tutaj przynależę? Czy po tym wszystkim, co się teraz dzieje pomiędzy Niemcami i Polakami, Polacy uznają, że ja mimo wszystko przynależę tutaj?!

— Ależ oczywiście — rzekła Irma Seidenmanowa, choć nagle poczuła jakąś niepewność, czy raczej lęk wobec krzywdy, która może spotkać tego człowieka.

— Proszę pani — powiedział Müller — Marszałek nazywał mnie „Mój gruby Hansio”, a do mnie mówił „Hansio”. Czy pani wie, że ja Marszałka poznałem ponad czterdzieści lat temu, że ja jego bibułę wozilem z Łodzi do Warszawy? Marszałek mówił: „Niech jedzie Hansio. On każdego Moskala za nos wodzi...” Mój Boże, kiedyż to było!

— I wodził pan za nos Moskali? — spytała. — Tak jak dzisiaj Stucklera?

Przeciągnął dłonią po rumianej twarzy. Zasepił się trochę.

— Przez całą noc tylko o tym myślałem — rzekł — jak Stucklera podejść... Pani to się może wydawać dziwne, ale z nim poszło prościutko! Tak z Moskalami nie szło... Stuckler jest Niemiec. A o Niemcach mogę powiedzieć najwięcej w całej Warszawie. Przychodzi do niego towarzysz partyjny Müller, dyrektor dużych warsztatów naprawczych, funkcjonariusz Rüstungskommando. Przychodzi i powiada, że mu jakiś Żydek znajomą panią z ulicy sprzątnął, podejrzaną o semickie pochodzenie. Stuckler jest Niemiec, a Niemcy są prostolinijni. Łaskawa pani pozwoli, że powiem nawet więcej. Niemcy są płacy jak deska! Bez wyobraźni, bez obłudy, bez dwulicowości. Stucklerowi kazali Żydów tępić, to ich tępi. Każą mu Żydów szanować, to będzie łaskawą panią całował w rękę i traktował najlepszym, francuskim koniakiem. Dyscyplina, akuratność, rzetelność w każdej robocie. W zbójckiej robocie, niestety, także! Więc co sobie pomyślał, kiedy przychodzę i powiadam, że moja znajoma, kapitanowa Gostomska, i tak dalej i tak dalej? Pomyślał, że zaszała pomyłka, że trzeba puścić panią do domu, a tego konfidenta dobrze wyćwiczyć po pysku...

Irma Seidenman słuchała z lekko pochyloną głową, już spokojna, zajęta słowami Müllera, jak gdyby opowiadał o kimś innym, o ciekawej, lecz całkiem obcej sprawie, która Irmy Seidenman wcale nie dotyczy.

— Tak — ciągnął Müller. — Całą noc myślałem, jak z nim zagrać. Jednego byłem pewny, że trzeba grać z hałasem, bez żadnych wahań, bez chwili namysłu. Bałem się, czy pani to zrozumie i zachowa się, jak trzeba. Ale to Niemiec. Z Niemcem jakoś by się udało, nawet gdyby doszło do komplikacji. To nie Moskal, łaskawa pani, to nie Moskal. Gdybym miał z tamtym rozgrywać? To sprawa całkiem inna. Elegancki, wcięty w tali, jak panna na wydaniu, ulizany, grzeczny. Giętki. Szybki. Łagodny. „Jakże się cieszę, drogi Iwanie Iwanowiczu, że pan zechciał mnie odwiedzić!”. Taki początek, łaskawa pani. Koniak, a jakże. Powiadam, że to i owo. Słucha grzecznie. Uśmiecha się. Dłonie ma delikatne, kobiece. Porusza nimi na blacie biurka, a na biurku ani jednego papierka, ani jednego dokumentu, nic zgoła. Ja mówię, on słucha. Ja skończyłem, on milczy. Uśmiecha się i milczy. Co myśli Niemiec w takiej chwili, to ja dobrze wiem! On waha się, bo jednak sporządzono protokół w pani sprawie, jakaś teczka, jakieś akta już leżą na półce, ale z drugiej strony dyrektor Müller powiada, że zaszała pomyłka, pomyłkę trzeba naprawić, Niemcy nie popełniają pomyłek, to nie

jest w niemieckim stylu. Co myśli Niemiec, to ja dobrze wiem. Ale co tamten myśli — tego nie wiem. Nikt nie wie, drugi Moskał też nie wie. Więc milczenie. I znów zaczynam od początku. On słucha uprzejmie. Ogląda swoje paznokcie. „Drogi Iwanie Iwanowiczu, tak nam się miło gawędzi”. Wreszcie powiada do mnie: „Momencik, Iwanie Iwanowiczu, zaraz panu okażemy tę Zajdenmankę!”. I znów traktuje koniakiem. A potem zjawia się jakaś kobieta, może i blondynka nawet, może niebieskooka nawet, ale wcale nie pani, lecz całkiem inna osoba. A on się przygląda. Ja swoją scenkę odgrywam, on się uśmiecha. Potem powiada do tej kobiety: „Dziękuję, Niura. Niech pani wraca do siebie”. A do mnie zwraca się z miną smutną, troska w oczach, niemal na płacz mu się zbiera: „I po co nam, drogi Iwanie Iwanowiczu, taka wzajemna przykrość? O jedną jęwejkę? Niech pan to przemyśli, Iwanie Iwanowiczu, bo inaczej się pogniwamy...” A kiedy ja coś tam mamroczę, on nagle już wcale nie jest elegancki, kobiecy, miękki, ale wyłazi z niego pospołu bydlę i tygrys, już gdzieś z szuflady wydobył nahajkę, już tą nahajką trzaska nad moim karkiem, uderzy, albo i nie uderzy, ale wrzeszczy okrutnie, najwulgarniejsze wyrazy powtarza z lubością, kieliszkiem koniaku chlusnął mi w twarz, oczy ma ciemne, wąziutkie jak szpareczki, nahajką wciąż wywija, kibitką i Sybirem straszy, „w kajdany zakuję, taka twoja mać!”, „na zsyłce zdechniesz, taka twoja mać!”, a po pewnej chwili znów siedzi za biurkiem, uśmiech łagodny, ciepły, koniaczek nalał, dłoń moją pogładził: „Iwanie Iwanowiczu, puśćmy to w niepamięć, tylko proszę pana gorąco, już nigdy więcej, nigdy więcej...” A na koniec, gdy do drzwi odprowadził, powiada jeszcze z melancholijnym wyrazem twarzy: „Ja kocham ludzi, Iwanie Iwanowiczu, i moje serce krwawi, kiedy się im dzieje krzywda, niech pan mi wierzy. Ale to jest wyższy nakaz, wyższy nakaz. Ja poszukuję, że tak powiem, filozoficznych uzasadnień, i często, doprawdy, nie znajduję. Gdybyś pan zaszedł do mnie kiedy, to pogwarzyśmy o tych problematach, mnie trzeba duszy przyjaznej, towarzysztwa człowieka rozumnego, który niejedno przemyślał...”. No i tak właśnie, jeśli nie gorzej, skończyłaby się nasza sprawa z Moskalem, łaskawa pani...

Irma Seidenman słuchała tej opowieści z oddalenia. Teraz, gdy mijał czas, znów była bliżej klatki na ulicy Szucha, tej nocy wielkiego rachunku i oczekiwania. Dlatego zapewne, gdy Müller skończył, rzekła:

— A jednak tamci są inni, nie do porównania. Najbardziej boję się gestapo.

— Trudno zaprzeczyć, łaskawa pani — odparł Müller. Chciał jeszcze coś dodać, ale umilkł. Prąd przykrych myśli ogarnął go i porwał z sobą. Były to myśli bolesne, ponieważ odczuwał więz z Niemcami, swoją niemieckość, jak nigdy dotąd. Jej ciężar go przygniatał. Brak nam szczypty szaleństwa, myślał, jesteśmy tak bardzo trzeźwi. Może dlatego odszedłem tutaj, pomiędzy Polaków, bo zawsze była we mnie taka szczypta szaleństwa, jakiego galop wyobraźni, czego nie doświadcza prawdziwy Niemiec. Tknięty szaleństwem, przestaje być Niemcem, wyrzeka się swojej krwi i gleby. Być lepszym w każdej dziedzinie, być niedoścignionym — oto niemiecka ambicja. Najpiękniej komponować, najwydatniej pracować, najmądrzej filozofować, najwięcej posiadać, najsprawniej zabijać! No, tak — myślał z goryczą i bólem — ale przecież to właśnie jest najprawdziwsze szaleństwo. Nie jest żadnym szaleństwem swawola myśli i uczynków, życie jak taniec, albo jak śpiew. W trzeźwej ambicji, w nieznużonym staraniu o pierwszeństwo we wszystkim tkwi niemiecki szaleń. Ta kobieta ma rację. Nie istnieje nic bardziej okrutnego. Żadna moskiewska hipokryzja nie może się równać z tą prostolinijną, rzetelną pasją przewodzenia, która napiętnowała umysł niemiecki. Ona ma rację. Obłuda Moskala jest straszna i niszcząca, ale przecież nigdy nie jest doskonała, zawsze można tam znaleźć jakąś rysę, pęknięcie, przez które sączy się odrobina zwykłej, ludzkiej duszy. Jeśli historia nałoży kiedyś na Niemców obowiązek hipokryzji, staną się najdoskonalszymi hipokrytami pod słońcem. Panie Boże, ileż musi wycierpieć Niemiec taki jak ja, Niemiec niedokończony, całkiem nie po niemiecku ukształtowany, z jakimś felerem w sercu, który to wszystko widzi przez słowiańskie doświadczenie, taki Niemiec zarażony błogosławioną chorobą polskości, która w tym właśnie jest piękna, że niedoskonała, niedokończona, niespełniona, niepewna, poszukująca, rozwichrzona, kapryśna, nieokiełznana, całkiem jak wariat, prowadzony za rękę przez anioła.

— Zapewne ma pani rację — powiedział do Irmy Seidenman, która zresztą była myślami gdzie indziej i wcale nie słuchała jego głosu — zapewne ma pani rację, bo u Moskala brakuje perfekcji, zawsze mu czegoś nie dostaje, zawsze czegoś zaniedba, więc całe to staranie o niepodzielną władzę nad człowiekiem okaże się na koniec bezowocne. Ale najgorsze, że wy zawsze tutaj będziecie pomiędzy młotem i kowadłem.

Pochylony nad stolikiem, nagle dziwnie postarzały i mroczny, uprzytomnił sobie, że oddał wielki kawał życia sprawie, która nie ma szans. Nie trafił się własną przyszłością, ale przy-

szłością tego kraju, z którym związał wszystkie nadzieje młodości i wieku dojrzałego. Osobisty los wydał mu się nagle niegodny uwagi. I nie pomylił się. Opatrzność okazała się dla niego dość łaskawa. Jesienią roku 1944 znalazł się w ruinach miasta. Słyszał coraz donośniejsze dudnienie rosyjskich dział z drugiej strony Wisły i bał się nieopisanie spotkania z tymi, którzy znów, jak przed trzydziestu laty, powiedzą doń z obłudnym uśmiechem: „No cóż, Iwanie Iwanowiczu, oto wróciliśmy na stare śmiecie...” Ani przez chwilę nie wierzył w przeobrażenie rosyjskiej duszy, rosyjski komunizm, rewolucyjny kształt Rosji. Komunizm był mu obcy, a nawet odrażający, bo po pierwsze w jego socjalistycznym umyśle pozbawiony był wszelkich rozumnych związków z ruchem robotniczym, takim, jaki znał od młodości, kochał i szanował, a po drugie komunizm ten skażony był duchem rosyjskim, była to nade wszystko Rosja, tyrańska, mroczna i nieokiełznana, z jej azjatyckim stosunkiem do człowieka, rabskim stosunkiem do świata, tajemniczą melancholią i okrucieństwem.

Uszedł więc Müller z Warszawy i Polski, nie dlatego, że czuł się Niemcem, związanym z Rzeszą Niemiecką Adolfa Hitlera, ale powodowany ślepym lękiem przed Moskalami, Sybirem, knutem i niewolą. Wiele jeszcze przeżył i wycierpiał, już jako stary człowiek, odarty z wszystkich złudzeń, rozbitek bez ojczyzny, rzucony w obce krajobrazy. W Łodzi zostawił groby swych niemieckich rodziców, a także polskich i żydowskich towarzyszy. Był tym bardziej samotny, że nie znajdował wspólnoty z innymi Niemcami, którzy uchodząc w tej wędrowce ludów, w następstwie nowego podziału Europy, przesuwał się granicę państw jak się przesuwa meble w mieszkaniu, osiedli na koniec w Bawarii. Ci wszyscy, którzy uważali się za wypędzonych ze swych domowych pieleszy, czuli się nadal Niemcami, nade wszystko zaś Niemcami skrzywdzonymi, czego Müller do końca swych dni nie akceptował, bo sam czuł się tylko po trosze Niemcem, a po trosze nadal Polakiem. Swoim niemieckim ziomkom współczuł niekiedy, ale ich nie rozgrzeszał i nie uważał za ofiary biegu historii, lecz za ludzi współodpowiedzialnych za Hitlera i to całe nieszczęście, jakie w następstwie wojny spotkało Europę. Żył więc samotnie, po kilku latach biedy już bez trosk materialnych, lecz milczący i nierozumiany, wciąż z głową obróconą ku Polsce, której nowe cierpienia przejmowały go smutkiem. Czuł się bezradny i wyszydzony przez bieg wydarzeń, wrak, który osiadł na mieliznie, daleko od macierzystego portu: Polacy, z którymi się stykał po wojnie, nie znali go, nie byli więc wcale

wylewni, ani tym bardziej przyjaźni. Przychodziły noce, kiedy Müller gorąco pragnął wrócić do swej niemieckości, w niej odnaleźć pociechę i ukojenie. Gromadził wtedy skrętnie w wyobraźni wszystkie polskie niedostatki i przywary, polskie grzechy i głupstwa. Mógłby sporządzić długą ich listę, jak każdy człowiek, który tę Polskę głęboko pokochał. I właśnie dlatego tym mocniej — nawet wbrew woli — czuł się polskim patriotą, bo znał polskie słabości, te wszystkie polskie niedoróbki, cwaniactwa, idiotyzmy, rozwichrzenia, te polskie snobizmy i bałamuctwa, ksenofobię, urojenia, mity. Znał je nawet lepiej od najprawdziwszych Polaków, bo przecież zawsze oddzielała jego umysł od Polski cieniułka przegroda, ta pajęczna siateczka, utkana z genów niemieckiej tradycji jego ojca i dziada. Liczył więc polskie grzechy, aby — jak sądził — oddalić się od polskości, obrzydzić ją sobie, wykopać między sobą i Polską przepaść nie do przebycia, aby tym łatwiej odnaleźć się na gruncie genetycznej niemieczyny. Lecz rychło porzucił ten proceder, bo zdał sobie sprawę, że jest bezowocny. Im bardziej krytyczny stawał się Müller wobec Polski, tym mocniej za nią tęsknił, tym silniej ją kochał. Jego miłość potęgowała jeszcze myśl, że nie może — jak dawniej — uczestniczyć w doświadczeniach Polski, i gdy Polska cierpi, on odbywa beztroskie spacery pośród wspaniałych krajobrazów alpejskich, niczego mu nie brakuje, gasi pragnienie wybornym piwem, zaspokaja głód wybornymi potrawami, mieszka w miłym, wygodnym domu, a nade wszystko jest wolny, jest panem swoich czynów i myśli, co chce to czyni, nikt mu ani do garnka, ani tym bardziej do serca i głowy nie zagląda, bo oto nastały w Niemczech czasy demokracji, tak przyzwoitej, wszechstronnej, rzetelnej, jak tylko w Niemczech było to możliwe. Więc także i demokracja niemiecka nie dawała Müllerowi spokoju, bo znów odnajdywał w niej tyranję tej perfekcji, bez której Niemcy żyć nie potrafią. Jak przed laty, w cukierni na ulicy Koszykowej, znów nawiedziła go myśl, że niemieckość na tym właśnie polega, by wszystko doprowadzić do perfekcji, by we wszystkim okazywać jeśli nie doskonałość, to przynajmniej pragnienie doskonałości. Więc znów czuł się niedobrze, brak mu było tej niedokończoności, niejasności, niepewności rzeczy i myśli, przez które przeziara słabość natury ludzkiej, jej wieczne poszukiwanie czegoś, co nienazwane i niewyraźne.

Kiedy był już bardzo stary i schorowany, przesiadując na tarasie swego alpejskiego domu, myślał — nie bez zgryźliwej satysfakcji — że Niemcy znów są Niemcami całą gębą, na zachodzie doprowadzili do perfekcji swój amerykańizm, a na

wschodzie swoją sowieckość. I kiwał głową stary Müller nad własnym kalekim losem, a kiedy mu przyszło umierać — zobaczył miasto Łódź, ulicę Piotrkowską, na niej pochód socjalistyczny, a w pochodzie młodego Johanna Müllera pośród polskich, żydowskich i niemieckich towarzyszy, jak szli mężnie, z okrzykami „Niech żyje Polska!” wprost na konnych Kozaków, zgromadzonych u krańca ulicy, gotowych do szarży, z wzniesionymi ponad końskie karki szabłami i nahajkami.

XII

Rozległ się dzwonek u drzwi frontowych, Pawełek popatrzył na zegar. Dochodziła godzina dziewiąta. Matka Pawełka rzuciła spłoszone spojrzenie w kierunku syna, który siedział przy stole, z ręką na książce, wsłuchany w ciszę, jaka zapadła po umilknięciu dzwonka, ciszę wieczoru w pustym mieszkaniu, oddzielonym od świata zasłonami z czarnego, rolowanego kartonu i pąsowymi portierami. Teraz tylko zegar stojący, firmy Gustaw Becker, w którym za szkłem połyskiwały złożone ciężarki i łańcuszki, tykał niegłośno w rogu pokoju. Nad stołem jarzyła się niebieskawa lampa gazowa, oprawiona w metalową koronę. Palce Pawełka poruszyły się na książce, a jego oczy znów pobiegły w stronę zegara, który drgnął w głębi mechanizmu, by zacząć zaraz wybijać dziewięć miarowych uderzeń.

— To przecież godzina policyjna — powiedziała szeptem matka.

Oboje wstali i patrzyli na siebie.

— Ja otworzę — rzekła. Była ładną kobietą, rysy miała delikatne, wyraziste, jak na starej kamei. Teraz wzbierał w niej lęk, znany od kilku lat, który ją paraliżował, gdy rozlegały się dźwięki dzwonka, kroki na schodach, słowa wypowiedziane po niemiecku. Jej mąż, oficer kampanii wrześniowej, przebywał w obozie jenieckim. Każdego dnia przypatrywała się synowi i ogarniało ją przerażenie na widok jego coraz mężniejszej, wysmukłej sylwetki. Chciała, by pozostał dzieckiem, a ponieważ było to niemożliwe, życzyła mu jakiejś łagodnej, lecz widocznej ułomności, może krótkiej nogi, albo krzywych ramion, najbardziej zaś byłaby rada, gdyby na jakiś czas stał się karłem. Ale nie był karłem, lecz silnym i dobrze zbudowanym młodym mężczyzną. Niebawem miał skończyć dziewiętnaście lat. Niewiele z matką rozmawiał

i rzadko przebywał w domu. Zadawał się z wysokimi, dobrze zbudowanymi, młodymi mężczyznami — i była pewna, że ten jej Pawełek coś knuje, prowadzi przeciw niej jakąś grę, wystawia na sztych swoje życie, więc drżała z obawy, miłości i nienawiści. Wyrzucała sobie dawną nieoględność i gadulstwo, te wszystkie bajki i legendy polskie, które przed laty kładła do głowy swemu dziecku. Wyrzucała sobie te wierszyki i modlitwy, pieśni i wspomnienia, Mickiewicza i Grottgera, Piłsudskiego i księdza Skorupkę. Przeklinała te wszystkie Grunwaldy, Byczyny, Pskowy, rzeź Pragi i Napoleona, Olszynkę Grochowską i Małogoszcz, stoki Cytadeli, dziesięciu z Pawiaka, twierdzę magdeburgską, cud nad Wisłą, nade wszystko zaś źle myślała o swym mężu, który był od dawna nieobecny, przebywał za drutami oflagu, a jednak wciąż wałęsał się po domu, manipulował rękami Pawełka, gdy ten nakręcał zegar stojący, podciągając ciężarki na łańcuszkach, zdejmował z półek bibliotecznych książki, które Pawełek czytywał, i niewątpliwie przychodził do Pawełka w nocy, we śnie, aby mu nieustannie mówić o polskich obowiązkach. Ten mąż nieobecny także do niej przychodził po nocach, ale inaczej, bez munduru, szabli i rogatywki, najczęściej zupełnie nagi zresztą, trochę gwałtowny, pachnący tytoniem i wodą kolońską, jak przed dwudziestu laty, gdy po raz pierwszy poczuła na sobie jego kawalerski ciężar zaraz po zwycięskiej bitwie, młodzieńczy ciężar żołnierza, który wygrał wojnę i zdobył swoją kobietę. Nocami przyjmowała tego męża bezwstydnie i zachłannie, pragnęła przedłużyć jego obecność w marzeniach, ale we dnie wcale go nie lubiła, bała się tego ducha rozwichrzonego, który kusił Pawełka, przeciągał go na swoją stronę, na ten drugi, niebezpieczny brzeg, gdzie się gromadzili podobni do niego mężczyźni, gdy tymczasem ona drżała na swoim brzegu w samotności i lęku.

Pawełek wyszedł z pokoju, zniknął jej z oczu. Słyszała kroki w ciemnym korytarzu, a potem szczepek zasuwy, dzwonienie łańcuszka, wreszcie trzask otwieranych drzwi. To już koniec, pomyślała, to gestapo przyszło po Pawełka. Stała nieruchomo, ładna, dojrzała kobieta, o jasnych włosach nad czołem, szeroko otwartych błękitnych oczach, smukłych palcach, które splotła w geście trwogi. Słyszała pulsowanie krwi w skroniach i pomyślała, że tej próby nie przeżyje, Bóg nie powinien karać człowieka tak surowo i żądać od niego, by nadal pozostawał przy życiu.

Usłyszała w korytarzu obcy, męski głos, mówiący po polsku, wesoło i swobodnie. Na progu stanął Pawełek, za nim zaś pojawiła się mała dziewczynka, którą trzymał za rączkę wysoki, smagły mężczyzna o twarzy napiętnowanej występkiem. Jesteś

idiotką, Elżbieto — powiedziała sobie — jesteś głupią babą, Elżbieto! Dopiero teraz pojęła, że przecież zapewne dziś, a może jutro lub pojutrze, zjawić się miała w jej domu Joasia Fichtelbaum, siostrzyczka Henia Fichtelbauma, najlepszego przyjaciela Pawełka z ławy szkolnej, tego kapryśnego Henia, chłopca cokolwiek zbyt pewnego siebie, zarozumiiałego z powodu swych doskonałych stopni, którego jej nieobecny mąż nie lubił nigdy, bo nieobecny mąż w ogóle miał dość niechętny stosunek do Żydów, daleki był rzecz jasna od wszelkich metod gwałtownych, miał przecież za sobą przeszłość niepodległościową i europejskie wykształcenie, był prawdziwym dżentelmenem, z tą leciutką, dziewiętnastowieczną patyną postępu i liberalizmu, który miał przeobrazić świat w planetę powszechnego braterstwa, a zatem mąż daleki był od metod gwałtownych, lecz o Żydach wyrażał się z pewną dezynwolturą, wielkopańską wyrozumiałością, bez ciepła jednak, raczej kostycznie. A zatem to była siostrzyczka Henia, córeczka mecenasa Jerzego Fichtelbauma, znanego adwokata, człowieka dużego wdzięku i kultury. Chętnie z nim rozmawiała, gdy się spotykali przy okazji szkolnych wywiadówek. Kiedyś piła z nim kawę na tarasie w Łazienkach, spotkawszy go przypadkowo na niedzielnym spacerze. Chłopcy jeździli na kucykach, a ona wraz z mecenasem i jego żoną, której twarzy wcale nie pamiętała, bo była zbyt światową kobietą, żeby zapamiętywać żonę żydowskiego adwokata, spotkaną raz jeden na niedzielnym spacerze w Łazienkach, otóż ona piła kawę na tarasie i mówiła o przyjaźni Pawełka do Henia, która w jej oczach nieco Henia nobilitowała, czyniła go bardziej godnym. I jakże jej było radośnie, jak ciepło uczyniło się jej na sercu, gdy sędzia Romnicki, którego nazywała w myślach „naszym Markiem Aureliuszem z ulicy Miodowej”, bo znając z lat młodości łacinę oraz historię starożytną, miała sędziego za filozofa i obywatela o prawdziwie rzymskich cnotach, jakże więc była uradowana, gdy sędzia do niej właśnie się skierował ze sprawą delikatną i piękną, antyczną i nowoczesną zarazem, prosząc usilnie, by przyjęła na dzień lub dwa dziecko żydowskie, córeczkę znanego jej przecież mecenasa Jerzego Fichtelbauma. Przystała natychmiast, był to bowiem czyn chrześcijański, polski i ludzki w całej swej wszechstronnej okazałości, łączył się też z ryzykiem, nadając życiu jakiś uświęcający blask. Nie uczyniła tego z próżności, bo nikt dla próżności nie kładzie głowy pod topór, lecz z potrzeby serca, które było dobre, czułe i wrażliwe na krzywdę. W nocy pytała nieobecnego męża, czy postąpiła właściwie, a on odparł twierdząco, dodając iż żonie polskiego oficera, pozostającego w nie-

mieckiej niewoli, inaczej postępować nie wolno. Więc oto pojawiło się w jej progach to dziecko, wydobyte na suchy ląd z odmetów okrutnego morza przemocy i zbrodni. Była to ładna, czteroletnia dziewczynka o kręconych włoskach i dużych, ciemnych oczach. Stała w świetle gazowej lampy, zasłuchana w ostatnie uderzenia zegara, który wybił godzinę dziewiątą. Właśnie zamknięto bramy w całym mieście i kobieta, tknięta nagłą myślą, spojrzała z niepokojem na rosnącego przybysza. On zaś lekko skinął głową i powiedział:

— No to, proszę szanownej pani, dostawa jest załatwiona.

— Niechże pan wejdzie — zawołał Pawełek. — Pan ma chyba krew na płaszczu!

— To ceratowy płaszcz — odparł mężczyzna. — Plamy nie będzie.

Matka Pawełka ujęła Joasię za rączkę.

— Jaka ona drobniutka — rzekła. — Pewnie jest bardzo głodna.

— Tego nie wiem — odparł mężczyzna. — A jeśli można, to zapalę.

Wydobył ciężką, metalową papierośnicę, wyjął z niej papierosa, wsunął ustnik między wargi, zapalił.

— Mój Boże — rzekła — przecież już godzina policyjna...

— Mnie godzina policyjna nie przeszkadza — powiedział — ale zaraz pójdę.

— Ach, nie! — zawołała. — Niechże pan usiądzie.

Usiadł w płaszczu, czapkę złożył na kolanach.

— Może pan być o Joasię spokojny — rzekła. — Wszystkiego dopilnuję.

— To do mnie już nie należy — rzekł mężczyzna. — Co dalej z tą małą, to nie wiem. Ja swoje zrobiłem...

— Ależ oczywiście — odparła z nadmiarem skwapliwości, który natychmiast wydał się jej niestosowny. Patrzyła w twarz tego człowieka i chciała ją zapamiętać, lecz towarzyszył temu jakiś niesmak, lęk i zawstyżenie. Mówiła sobie, że trzeba tę twarz zapamiętać, bo należy do człowieka odważnego, który niejedno ryzykuje, aby nieść pomoc prześladowanym, ale jednocześnie czuła potrzebę utrwalenia wizerunku mężczyzny, który znalazł się w tym domu pustym, gdzie oddychała samotnością i tęsknotą. Pawełek nie był przecież mężczyzną, nigdy nie miał nim być, na zawsze pozostanie dzieckiem, dużym dzieckiem, które będzie miało kiedyś własne dzieci, ale nadal pozostanie dzieckiem.

Twarz mężczyzny wydała się jej niebieskawa, może z powodu ciemnego zarostu na policzkach i światła lampy gazowej. Podniósł głowę, spojrzeli sobie w oczy. „Nie powinienam mu się przyglądać”, pomyślała słoszona i zwróciła się do dziecka:

— Joasiu, zaraz przygotowuję coś do zjedzenia.

Joasia kiwnęła głową. Pawełek rzekł:

— Ona jest trochę podobna do Henia, prawda?

— Ale Henio nie był taki ładny — odparła matka.

— Mamo, nie używaj czasu przeszłego! — zawołał.

Westchnęła ze smutkiem.

— Przecież już tyle miesięcy nie dał znaku życia...

— Jeśli chodzi o brata tej małej — rzekł mężczyzna — to jego nie ma z tamtej strony muru.

— Ukrywa się gdzieś na wsi — zawołał Pawełek. — On jest silny, inteligentny. Zresztą...

Urwał, bo był pełen niepokoju. Już dawno nie myślał o Heniu. Henio zniknął nagle, późną jesienią. Rozstali się pewnego dnia na Koszykowej, przed gmachem biblioteki publicznej. Pawełek przyniósł Heniowi trochę pieniędzy. Henio był wesoły, powiedział:

— Postanowiłem dziś pohulać!

— Nie rób głupstw — odrzekł Pawełek. — Wracaj do Flisowskiego. Nic gorszego, jak kręcić się bez celu po mieście.

— Dlaczego bez celu?! — zawołał Henio Fichtelbaum. — Pójdę do cukierni, może poznam jakąś piękną pannę, która mnie do siebie zabierze, a po wojnie się z nią ożenię i pojedziemy do Wenezueli...

— Proszę cię, Heniu — rzekł Pawełek z odrobiną złości. — Jesteś przecież dorosłym człowiekiem. U Flisowskiego masz jakie takie warunki...

— Daj mi spokój — krzyknął Henio. — Łatwo ci mówić. Jakie warunki, do diabła! Siedzę na strychu jak nietoperz, stary przychodzi dwa razy na dzień, zostawia żarcie, jest głuchy jak pień, nawet słowa z nim zamienić nie można. Czy ty sobie w ogóle wyobrażasz takie zamknięcie na strychu, takie małe okienko, przez które widać tylko skrawek nieba, zawsze ten sam?! Ani jednej gałązki, ani jednej twarzy... Tam myszy skrobią po nocach, Pawełku. Tylko myszy. I chodzić wcale nie mogą. Trzy kroki w lewo, zwrot, trzy kroki w prawo, zwrot! I cicho, na palcach, żeby nikt nie usłyszał...

— Heniu! — rzekł Pawełek z naciskiem, jakby mówił do małego dziecka — tam jesteś bezpieczny. Czy wiesz, ile wysiłku kosztowało znalezienie takiej pysznej kryjówki? Flisowskiemu

borowałem dziurę w brzuchu, żeby cię przyjął na jakiś czas... Ja zresztą teraz szukam...

— Ach, nie mów tyle! — przerwał gniewnie Henio, a jego kapryśne wargi przybrały wyraz niechęci i wzgardy. — Wiem, że robisz, co możesz. Ale przecież chodzisz po mieście, stykasz się z ludźmi, jeździsz tramwajem, rikszą, sam albo z jakąś panną i trzymasz rękę na jej kolanie. Ja mam tego dość, do diabła!

— Nie trzymam ręki na kolanie! — krzyknął Pawełek, ponieważ Henio dotknął jątrzącej w jego sercu rany. — A to, że siedzisz u Flisowskiego nie jest moją winą. Tydzień temu polazłeś do fryzjera. Po co łązisz do fryzjera? Przecież to jest...

— Czy ja jestem jakiś goryl? — rzekł Henio, pełen gniewu i urazy. — Czy mam wyglądać jak owłosiona mała, tylko dlatego, że mnie zamknąłeś na tym strychu?

— Ja ciebie zamknąłem? Ja?

Henio Fichtelbaum machnął ręką.

— Zgoda, nie ty! Ale przecież muszę od czasu do czasu ruszyć się gdzieś, odetchnąć, zobaczyć ludzi. Ty tego nie rozumiesz, Pawełku, ale to jest rozkosz, powiadam ci, prawdziwa rozkosz, tak sobie łązić po Koszykowej, bez celu, po prostu łązić.

— Tego ci robić nie wolno — powiedział twardo Pawełek.

— Wiem! Przecież jestem potulny jak trusia. Nigdy mną tak nie komenderowałeś, wodzu! Będę posłuszny. Ale co jakiś czas, powiedzmy dwa, trzy razy w miesiącu, muszę zejść z tego przeklętego strychu.

— Pod warunkiem, że ze mną...

— Oszalałeś?! Nie będę ciebie narażał!

— To się rozumie — odparł Pawełek. — Ale ustalmy, że kiedy wychodzisz, idę za tobą w pewnej odległości, obserwuję...

— Nie bądź lord Lister, Pawełku! Chcesz mnie śledzić? W jakim celu? Przecież i tak mi nie pomożesz...

— Ale będę wiedział, co z tobą, gdzie jesteś... Może wówczas uda się coś załatwić.

— Nie mamy już forsy na wykup, Pawełku.

— Forsę zawsze można jakoś zdobyć. I pamiętaj, nigdy więcej do fryzjera! Tam przychodzą różni ludzie, jesteś w zamknięciu, unieruchomiony, z tym cholernym prześcieradłem pod brodą...

— Wiesz, ten fryzjer opowiadał żydowskie dowcipy. Ryczałem ze śmiechu.

— Robisz na mnie wrażenie, jakbyś nie zdawał sobie sprawy z powagi sytuacji!

— Prawdopodobnie — odparł Henio. — Ale to jest jednak moja sytuacja, weź to łaskawie pod uwagę.

Pawełek nie chciał dopuścić do nowego spięcia, więc roześmiał się z przymusem.

— Dobrze, Heniu. Proszę cię, wracaj teraz do Flisowskiego. Wpadnę pojutrze. Wtedy omówimy szczegóły twoich spacerów.

Podali sobie dłonie. Pawełek wszedł do gmachu biblioteki, Henio zawrócił w stronę Marszałkowskiej. Wtedy Pawełek widział go po raz ostatni. Gdy bowiem w umówionym terminie przyszedł do starego Flisowskiego, okazało się, że Henio Fichtelbaum wcale nie wrócił na strych. Stary zegarmistrz Flisowski był bardzo zadowolony z takiego obrotu sprawy.

— Panie Kryński — rzekł do Pawełka — powiedz pan kole-dze, żeby tu się już więcej nie pokazywał. Ja mam dosyć własnych zmartwień i chęć dożyć końca wojny, jaki by nie był ten koniec.

— Panie Flisowski — zawołał Pawełek — przecież to niemożliwe! Umówiliśmy się!

— Gadaj pan zdrow! — przerwał stary zegarmistrz. — Powiedziałem i basta! Jak pan będziesz miał jakiegoś starszego człowieka, spokojnego starszego człowieka, który siedzi cicho, nie gwizdże tango-milonga, nie puka w mój sufit, żeby go wypuścić do ustępu dziesięć razy dziennie, nie wrzeszczy mi do ucha, że ma brzydkie widoczki z okna, jak pan będziesz miał takiego statecznego, starszego pana, to ja mogę go nawet przyjąć na jakiś czas. Ale tego pańskiego koleżkę to już nigdy, jak Bóg na niebie!

Od tamtego dnia późnej jesieni Henio Fichtelbaum zniknął, i Pawełek obcował tylko z pamięcią o nim, z cieniami swego przyjaciela, o którym sądził, że został zabity, choć przecież w najskrytszym kąciку serca żywił nadzieję, że Henio gdzieś ukrywa się bezpiecznie i myśli o swym przyjacielu Pawełku. Ale w ciągu długiej zimy nadzieja stawała się coraz słabsza, a wiosną całkiem stopniała. Gdy jednak teraz matka oświadczyła, że Henio nie był taki ładny jak jego mała siostrzyczka, Pawełek zaprotestował. Henio jest, pomyślał, Henio żyje. W ten sposób odpędził od siebie demony.

Za kilka dni w tym pokoju zadzwonił telefon. Pawełek podniesie słuchawkę, spoglądając na złotą tarczę zegara i pomyśli, że jest godzina siódma, zaczyna się ładny, kwietniowy dzień.

— Hallo! — powie, patrząc na ciemne wskazówki zegara.

— To ja — usłyszy cichy, daleki głos.

— Heniu! Rany boskie! Co się z tobą dzieje?

Łzy spływać będą po twarzy Pawełka, jakby nie miał dzie-

więtnastu lat, lecz był małym chłopcem w aksamitnym ubranku, z koronkowym kołnierzykiem pod szyją.

— Chciałbym się z tobą zobaczyć — usłyszysz daleki głos.

— Oczywiście Heniu! Słuchaj, to bardzo ważne. Joasia jest zdrowa, u niej wszystko w porządku, przesyła ci pozdrowienia.

Będzie słyszał przez długą chwilę monotony szum przewodów. Zawoła więc z niepokojem:

— Heniu! Słyszysz mnie?

— Słyszę. Ja też ją pozdrawiam. Chcę się z tobą zobaczyć.

— Gdzie jesteś?

— W mieście.

Znów długa cisza ich oddzieli, a potem Henio powie:

— Ja tam wracam!

— Gdzie teraz jesteś? Musimy się zobaczyć.

— Tak. O dziewiątej na rogu Księżęcej i Placu Trzech Krzyży, dobrze?

W tym momencie Pawełek usłyszysz trzask i połączenie zostanie przerwane. Zawoła jeszcze niecierpliwie: „Heniu, słyszysz mnie?! Heniu!” — ale już nie będzie odpowiedzi.

To się jednak stanie za kilka dni. Zadzwoni telefon, siódma na zegarze, za oknem jasny ranek. To jest zapisane w gwiazdach. Tak jak było zapisane, by Pawełek powiedział do mężczyzny w ceratowym płaszczu:

— Niech pan wypocznie, a my zrobimy coś do zjedzenia.

— Nie ma potrzeby — odrzekł. — Dajcie dzieciakowi. Ja nie jestem głodny, proszę pana. Zaraz sobie pójdę.

— To niebezpieczne — powiedziała matka. — Strzelają bez ostrzeżenia.

— Niech pani w to nie wierzy, szanowna pani. Mogliby własnych ludzi powystrelać. Zawsze sprawdzają dokumenty.

— A czy pan posiada przepustkę? — spytała.

— Posiadam wszystko, co trzeba — odpowiedział i roześmiał się. Nigdy nie słyszała takiego śmiechu. Brzmiało w nim okrucieństwo i groźba. Znów spojrzała w oczy mężczyzny. I pomyślała, że odczytuje jej myśli. Poczowała ciepło na policzkach, teraz bała się ich obu, mężczyzny i Pawełka. Bała się, że Pawełek zauważy jej dziwny stan, to szczególnie podniecenie i lęk. Lecz Pawełek ujął dziecko za rączkę i rzekł:

— Pójdziemy z Joasią do kuchni, będziemy tam robili pyszne rzeczy do zjedzenia...

— Ach, dlaczego — powiedziała kobieta bez sensu i nagle

usiadła przy stole, naprzeciw rosnącego przybysza. Nie miała sił uciec od jego spojrzenia. Wyciągnął rękę z papierośnicą.

— Zapali pani?

Zaprzeczyła ruchem głowy. Teraz rozejrzał się po pokoju. Przyglądał się kredensowi, konsolce, porcelanie za szkłem, fotografiom w ramach, a potem obejrzał pąsowe portierey w oknach, obicia krzeseł, adamaszkowy obrus na stole. Oczy miał puste i bez ciekawości, a jej się wydawało, że kiedy przypatrywał się ozdobnym kafłom pieca i gipsowym stiukom na suficie, czynił to jakby ją rozbierał, jakby oglądał jej piersi, brzuch i nagie ramiona. Co się z tobą dzieje, Elżbieto, pomyślała, przecież to potwór, brutalny i gwałtowny! Wcale się nie myliła. Był brutalny i gwałtowny, niektórzy uważali go za potwora. Ale przecież właśnie takiego chciała, na takiego czekała, sama sobą zgorziona i przerażona. Milczeli. Nawet gdyby został przy niej na długie lata życia, też nie mieliby sobie nic do powiedzenia. Byliby mężczyzną i kobietą, mężczyzną i kobietą w każdej chwili — i niczym więcej! Ale nie został. Miał do załatwienia swoje mroczne sprawy na samym krańcu świata, gdzie już nie było ludzi, lecz tylko bestie i duchy. Zdusił papierosa, wstał z krzesła, rosły, potężny, z plamą krwi na ceratowym płaszczu.

— Już pójdę — rzekł i skrzywił wargi w uśmiechu. — Niech szanowna pani pożegna dzieciaczka. I syna proszę pozdrowić.

— Ale może jednak... — powiedziała.

Zaprzeczył ruchem głowy.

— Mało czasu, szanowna pani. Zawsze mało czasu!

Włożył czapkę na głowę, daszek wcisnął głęboko na czoło. Twarz mu się zmieniła, teraz wyglądał łagodniej, jakby cień daszka osłaniał jego występki.

Odprowadziła go do drzwi. Na progu rzekła:

— Nie ma światła na schodach, proszę pana.

— Dam sobie radę — odparł.

Podawała mu rękę. Podniósł ją do ust i pocałował. Zatrzasnęła za nim drzwi, oparła się o framugę, oddychała szybko i gwałtownie. Czuła wilgoć jego warg na dłoni i to napawało ją drżeniem. Słyszała oddalające się kroki na schodach. Nienawidzę go, pomyślała. Potwór! Jestem upokorzona...

Jeszcze po trzydziestu latach, jako stara kobieta, nie wyzbyła się tej nienawiści. Nie pamiętała twarzy mężczyzny, ale pamiętała siebie. I po trzydziestu latach wciąż czuła upokorzenie. Ilekroć spotykała później takich zwalistych, prostych w obejściu mężczyzn, którzy zachowywali się z pewnością siebie, wynikającą z siły fizycznej, wpływów, sprytu albo najbanalniejszej

głupoty, ilekroć spotykała później takich plebejuszy, którzy okazywali jej obojętną wyższość, albo wobec których sama czuła się niepewnie z przyczyny swojej kruchości, kobiecości, słabości, z przyczyny historii, która ją zepchnęła na bok, do rowu, z nasypu, gdy oni szli środkiem, w tych swoich płaszczach ceratowych, skórzanych, ortalionowych, w czapkach z daszkiem, w kapeluszach albo z gołą głową, gdy widziała ich twarze, sękatę jakieś, źle ociosane, gdy patrzyła jak palili papierosy, trzymając je pomiędzy kciukiem i palcem wskazującym z ognikiem obróconym ku wnętrzu dłoni, ilekroć słyszała ich kroki, rozkołysane ciężarem dużych ciał, albo czuła zapach ich skóry, przenikliwy i ostry, ten zapach potu, tytoniu i nieprawości, zawsze przypominała sobie wieczór, kiedy przyjęła pod swój dach córeczkę mecenasa Fichtelbauma. I czuła wówczas upokorzenie. Przecież przyjęcie żydowskiego dziecka pod własny dach, wtedy, wiosną roku 1943, było czynem pięknym i zasługującym na uznanie. Dlaczego więc czuła się upokorzona? Co takiego stało się tamtego wieczora, że po wielu latach powracał do niej tak gorzko i obrzydliwie?

Siedziała przy stole, patrzyła na wskazówki zegara, słuchała jak Pawełek mówi coś do dziecka w kuchni — i starała się myśleć o swym nieobecny mężu, przebywającym od ponad trzech lat w niemieckiej niewoli, pośród setek podobnych mu oficerów, którzy opuścili żony, żeby bronić tego kraju, kraju nie do obrony, wydanego na łup ponizenia, zbrodni i zagłady. Dlaczego, myślała, za jakie winy?

Położyła dłoń na piersi. Czuła pod suknią ten dobrze znany kształt, który zawsze wydawał się jej obcy i niemiły, nie należał właściwie do niej, lecz do mężczyzny. Była osierocona. Była po trosze martwa. Dlaczego jestem martwa, myślała, przecież nie uczyniłam nic złego?

Ta myśl otrzeźwiła nieco jej religijną duszę. Nie bądź śmieszna, Elżbietko, rzekła do siebie, śmierć nie jest karą za grzechy, ale nagrodą, przejściem do żywota wiecznego. Nie bądź śmieszna!

To sprawiło jej ulgę. Ale nie chciała uznać się za śmieszną. Była raczej smutna i zawiedziona. Siedziała jeszcze jakiś czas, przyglądając się zegarowi. Przemknęło jej przez głowę, że ten mężczyzna może wpaść na ulicy w łapy Niemców i wygadać się, gdzie odprowadził żydowskie dziecko. Znów chwycił ją strach, ale trwało to tylko chwilę, bo wiedziała, że ten człowiek nie wpadnie w niemieckie łapy, tacy jak on nie wpadają w niemieck-

kie łapy, a jeśli nawet, to przecież nie powie ani słowa. Ufała mu, nienawidziła go i była upokorzona.

A potem wstała od stołu, poszła do kuchni i ku swemu zdumieniu odnalazła radość i spokój. Rozebrała z czułością małe dziecko żydowskie i wykąpała je, nucąc pogodnie melodie swej młodości.

XIII

O piątej rano, jeszcze o szarówce, we mgle i chłodzie wiosennym, jechał tramwajem przez most Kierbedzia. Tramwaj dudnił. Ludzie stali stłoczeni, niewyspani, oświali. Nad nimi unosił się ostry, przenikliwy zapach lęku i beznadziejności. Tylko ten zapach pozostał. W trolejbusach, tramwajach, autokarach marki Chausson, Berliet, Ikarus, San, a także w przedziałach kolejowych, pozostał ten zapach przenikliwy. Inny był już ludzki strach, inna beznadziejność, zmęczenie, sny, tęsknoty, ale zapach pozostał.

Tramwaj dudnił po moście. W dole płynęła rzeka. Na piaszczystych łachach prawego brzegu szedł samotny człowiek z wędką w ręku, ku kamiennej grobli. Ostatni, który nie wyzbył się nadziei.

Kolejarz Filipek miał daleko do pracy. Mieszkał na Woli, dojeżdżał do parowozowni na Pradze. Dwa razy dziennie przecinał miasto. Rano i po południu, albo po południu i późnym wieczorem. Nie lubił pracować na drugiej zmianie. Powroty zawsze go niepokoiły. Miał przepustkę, rzecz jasna, lecz odnosił się do niej z rezerwą. Filipek wiedział, co warte są dokumenty. Jako młody człowiek, jeszcze w roku 1905, pracował w technice Frakcji Rewolucyjnej. Potrafił podrobić najbardziej finezyjne papiery, które otwierały bramy Cytadeli i Pawiaka. Były to jednak czasy sielankowe, wiek XX dopiero się zaczynał i ludzie nie słyszeli jego rytmu. Musiało wiele wody upłynąć w rzekach świata, by oczy przejrzały, uszy usłyszały, usta przemówiły. Ale w roku 1943 kolejarz Filipek nie ufał już dokumentom, nawet jeśli nosiły pieczęć z napisem „Ostbahn”. Żandarm obracał w rękach przepustkę z wyrazem nieufności. Był jednak niemieckim żandarmem. Znak swastyki budził w nim respekt i uczucie umiarkowanej wielkoduszności. Ale jednym niebacznym ruchem można było zburzyć harmonię jego duszy, obudzić w niej gwałtowne namiętności. Można było powiedzieć jakieś słowo, nawet

całkiem niewinne, które jednak w uszach żandarma brzmiało jak wyzwanie. Wtedy przepustka przestawała istnieć. W chwilę potem nie istniał także człowiek.

Wody w rzekach płynęły nadal, pojawili się policjanci nowego typu. Ci nie chcieli dokumentów. Trzymali dokumenty w dwóch palcach, niechętnie, szyderczo, niekiedy z obrzydzeniem, i wcale nie musieli ich czytać. Wiedzieli wszystko naprzód, bez dokumentów. Przejścia nie ma, proszę się rozejść, pan nie wyjdzie, pani nie wejdzie, co napisane, to napisane, a co powiedziane, to powiedziane! Policjanci nowego typu nie musieli czytać dokumentów. Tylko instrukcje czytali uważnie, w skupieniu. Praca ich mózgow była wtedy mozolna, pot ściekał po twarzach, nawet najbardziej nieczuły człowiek wzruszał się na widok tego zdyscyplinowania, tej dobrej woli policjantów nowego typu, którzy pokonywali wysoką barierę słowa pisanego, wodzili palcem po wierszach druku, pomagali sobie wargami, nawet końcem języka, w nieopisanym trudzie wspinali się na intelektualne Himalaje instrukcji, by przyswoić sobie jej głęboką treść polityczną, społeczną, kulturalną, obyczajową, by ją sobie przyswoić na wieki wieków, aż do następnego dnia, kiedy pojawi się nowa instrukcja, ten nowy Mount Everest urzędniczej skwapliwości i woli przekształcania świata, a zatem znów podejmowali mozół, wbijali sobie do głów wiedzę tajemną i niedostępną profanom, walić się pięścią w czoło, aby potem walić pałą bliźniego, zresztą oględnie i metodycznie, bez złej woli, bez krwiożerczości, w sposób, by tak rzec, administracyjny i wychowawczy, nie w celu pozbawienia życia, lecz dla obudzenia rozsądku, w najszerszym rozumianym interesie państwa, zgodnie z brzmieniem instrukcji, zapamiętanej onegdaj, zapamiętanej pomiędzy plastikową tarczą ochronną i kolorowym telewizorem, w blasku płomyka piezoelektrycznej zapalniczki, w zielonkawej poświacie, emanującej z elektronicznego zegarka, podobnej do tej, która w XIX wieku emanowała ze świeżych mogił.

Nie żywiąc zatem zaufania do najpewniejszych przepustek, czym wybiegał naprzód w historię, kolejarz Filipek starał się pracować po pierwszej zmianie. Miał w tym również ukryty cel, wniosły i świadczący o jego odwadze. Filipek siedział po uszy w konspiracji, wieczorami pracował w tajnej drukarni, bo świetnie znał się na rozmaitych typach maszyn i urządzeń drukarskich, potrafił z wyzmaczki domowej wykonać zdumiewający sprzęt, który służył z pożytkiem podziemnej organizacji niepodległościowej.

W wiele lat później różni ludzie usiłovali naśladować umie-

jętności kolejarza Filipka. Trzydziestoletnie dziewczyny, które chodziły po warszawskich ulicach w strojach peruwiańskich chłopek, oraz trzydziestoletni chłopcy w dżinsach, z brodami starców i wyobraźnią małych dzieci. Naśladowali kolejarza Filipka patetycznie, lecz nieudolnie, a czasem zgoła śmiesznie, bo żeby z wyżymaczki zrobić drukarnię, trzeba nie tylko prawidłowo wkręcać śrubki, ale także rozumieć, czym jest prawdziwa niewola, poznać moskiewski knut i lochy Szlisselburga, niemieckie klatki na ulicy Szucha i baraki kacetów, Sybir, zsyłki, etapy, Pawiak, Oświęcim, uliczne egzekucje, Katyń, śniegi Workuty i kazachskie stepy, Moabit i forty w Poznaniu, Montelupich, Dachau, Sachsenhausen, brzegi Jeniseju i Irtyżu, mury warszawskiego getta, Palmiry, Treblinkę, trzeba to wszystko poznać ciałem i duszą, mieć na własnej skórze zapisane, w kosciach nosić, w sercu dźwigać, trzeba posmakować, jak kolejarz Filipek smakował, całe lata czujnych, nieprzespanych nocy, kiedy każdy szmer zdaje się być stąpieniem śmierci, szelest każdy — wiatrem za oknem więziennej celi, a każdy szept — modlitwą zesłańca lub pożegnaniem u progu komory gazowej. Żeby z wyżymaczki uczynić drukarnię, nie wystarczy cierpieć z powodu poniżeń, obłudy, kłamstwa, pałek, aresztów, pomówień, groźby banicji, bezkarności silnych i bezbronności słabych, pychy państwa i upokorzenia obywatela. Tego za mało, by z wyżymaczki uczynić drukarnię prawdziwie wolnego człowieka. Na takiej wyżymaczce można krzyczeć, pomstować, żądać, grozić, szlochąć i kpić, ale nie sposób spokojnie mówić o świecie i godności ludzkiej. Gdy się nie wypełnia do końca miara cierpienia, marzenia pozostają niespełnione.

Kolejarz Filipek jechał więc do pracy, jak co dzień od wielu lat, lecz tego ranka był w bardzo dobrym humorze. Nocą udała mu się jeszcze jedna wyżymaczka, a poprzedniego popołudnia otrzymał był wiadomość od Jasia Müllera, że pani Seidenmanowa została uratowana. Jaś Müller, jak zawsze, okazał się niezawodny. Filipek spojrział przez okno tramwaju, zobaczył kopułę cerkwi przy ulicy Zygmuntowskiej i rozculił się, bo nawiedziły go wspomnienia dawnych czasów, gdy walczył z jarzmem caratu. Ale na chodniku przed cerkwią stali żandarmi w ceratowych płaszczach, hełmach ze swastyką, w pasach skórzanych na brzuchach, ze srebrnymi klamrami, ozdobionymi napisem *Gott mit uns!*

Czy rzeczywiście Bóg jest z nimi? — spytał w duszy Filipek. Stracił dobry humor. Gdzie jest Matka Boska z Jasnej Góry, Ostrej Bramy, Piekar, Kobrynia, z miast bliskich i dalekich,

jeżeli w ciągu życia jednego człowieka, na rogu Zygmuntońskiej i Targowej, w stolicy kraju, który sięgał niegdyś od morza do morza, władał Gdańskiem i Kudakiem, Głogowem i Smoleńskiem, jeżeli na oczach jednego tylko człowieka, wąsatego, chudego kolejarza o spracowanych rękach i otwartej głowie, za życia tego jednego człowieka, za jego żywej pamięci, w jego bezsilnej i pełnej rozpaczliwego poniżenia obecności, na rogu tych dwóch ulic stał konny Kozak stepowy, pruski oficer z monoklem w oku i Krzyżem Żelaznym na piersi, opasły żandarm ze swastyką, czujny czerwonooarmista w luźnej bluzie i z pepeszą na ramieniu, jeżeli na tym miejscu zwyczajnym, a przecież świętym, bo jedynym i niepowtarzalnym, na oczach jednego tylko człowieka, za jego życia, w ciągu trzydziestu lat, zmieniali tutaj wartość Kozak i Prusak, hitlerowiec i krasnoarmiejec, to gdzie była Matka Boska z miast dalekich i bliskich, królowa tego narodu?! A może naród zawinił? Może nie był dojrzały do Europy, do Azji, do siebie samego?

Czy ten kraj był tylko terenem przemarszu obcych wojsk, zapleczem frontów, przedpolem? Ostatni okop łańciskiej Europy, czołem zwrócony ku stepom, lecz jednocześnie szaniec obronny w obliczu germańskiej nawały. Rubież wolnego świata, wciśnięta pomiędzy tyranie. Wąskie pasemko nadziei, oddzielające pruską pychę od ruskiej ciemnoty. Rzeczka odrębna pomiędzy okrucieństwem i obłudą, bestialstwem i podstępem, pogardą i zazdrością, butą i pochlebstwem, wrzaskiem i pomrukiem. Miedza graniczna, oddzielająca bezwstyd jawnego zbrodni od cynizmu zbrodni utajonej. Czy tylko pasemko, miedza, rubież? I nie więcej?

Pawełku, pomyślał kolejarz Filipek, zazdroszczę ci. Dożyjesz innych czasów. Nie będzie Polska jak gwóźdź w obcęgach. Będzie znów niepodległa, a przecież lepsza od tamtej, niedawnej, bo bez granatowej policji, sanacji i tromtadracji, bez tej małostkowości, zarozumiałstwa, chłopskiej biedy, robotniczych buntów, mocarstwowych aspiracji, getta ławkowego, strajków rzeszowskich, zabitych z Semperitu, biedaszybów, bez głodnych inteligentów i rozpanoszonych pułkowników, bez zaściankowego kleru, Brześcia i Berezy, antysemityzmu, ukraińskich ruchawek, zapachu kiszzonej kapusty, śledzia w cholewie, bezdomnych włóczków, pyszałkowatych kamieniczników, bez kurnych chat i zabitych deskami wiosek, bez zbankrutowanych teatrów, drogich książek, tanich prostytutek, dygnitarskich limuzyn i Obozu Zjednoczenia Narodowego. Zazdroszczę ci, Pawełku! Będziesz miał Polskę szklanych domów, naszą Polskę pepesiacką, robotni-

czo-chłopską, bez żadnej dyktatury, bo dyktatura to jest bolszewizm, okrucieństwo, ateizm i koniec demokracji, będziesz miał nareszcie, Pawełku kochany, Polskę wolną, sprawiedliwą i demokratyczną, dla wszystkich Polaków, Żydów, Ukraińców, nawet dla Niemców, szlag by ich strafił, nawet dla nich także. Ja nie dożyję, Pawełku, bo mnie w końcu pochwyć! Jak długo można kluczyć, konspirować, figle płatać tym draniom, co podeptali polską ziemię? Opowiadałem ci nieraz, Pawełku, że figle płątałem przez całe życie. Za Mikołaszki płątałem, za Stołypina płątałem, potem za Beselera, a jakże, płątałem również! Zgadnij, Pawełku, kiedy nie siedziałem w kozie? Na Pawiaku siedziałem jeszcze przed rewolucją piątego roku. W Kraju Krasnojarskim karczowałem tajgę. Czemużby nie! Za cesarza Wilhelma trafiłem w Częstochowie do tego samego cyrkułu, gdzie siedział pod Moskałem. Już jestem taki dziwoląg polski, pepesiacki. Więc, rzecz jasna, w ojczyźnie wolnej siedziałem także. Czemużby nie? Na Daniłowiczowskiej w areście śledczym siedziałem sobie, bom w czasie manifestacji w dniu 1 Maja bronił komunistów. Komunistów zwalczać należy, Pawełku, to gawiedź niebezpieczna, podstępna, ale nigdy pałką, nigdy pałką! Więc, kiedy ich pałkami policja uczyła miłości ojczyzny, tom się hardo postawił. I zamknęli, rzecz jasna, na przeciąg pewnego czasu. W roku 38-ym także siedział. Czemużby nie!? Za pepesiacką agitację przeciwko wyborom, które sobie panowie pułkownicy chcieli zafundować na robotniczym tyłku. Siedziałem więc, a jakże... Sam, Pawełku, przyznać musisz, że takiego życia nie kończy się w łóżku. Maluczko, a szkopy chwycą mnie za kołnierz. Z nimi żartów nie ma. Pod ścianę albo do obozu, na pewną śmierć... Więc wolnej, sprawiedliwej Polski nie doczekam, Pawełku. Ale ty na pewno doczekasz, bo...

Filipek przerwał swój wewnętrzny monolog, ponieważ znalazł się przed parowozownią, a był to człowiek szczególnego pokroju, socjaldemokrata proweniencji dawniejszej, więc oddzielał politykę i walkę o interesy robotnicze od pracy zawodowej, przy parowozach myślał tylko o parowozach, przy kotłach o kotłach, do głowy by mu nie przyszło, że można rzucić byle gdzie spawarkę i wiecować na rzecz zasiewów kukurydzy, albo ku czci jakiejś panienci, która położyła się na torach kolejowych, manifestując w ten sposób pacyfistyczne skłonności. Dla Filipka agitator partyjny, który nie umiał regulować klucza francuskiego, był przede wszystkim partaczem, a partaczy nie słuchał i lekceważył, bo obrażali godność człowieka pracy. Jeśli kolejarz Filipek nienawidził czegoś na świecie całą duszą, to chy-

ba partactwa, tandety, taniochy, a zatem również tych małych pyskaczy i demagogów, którzy robotnikiem pogardzali, pracę robotnika mieli za nic, trud robotniczy postponowali, strojąc się nieustannie w piórka rzeczników robotniczej sprawy. To właśnie najmocniej Filipka zniechęcało do komunistów. Przerazał go los niektórych, wstrętem napawały spory ideologiczne, kończące się wyrokami śmierci, bo przywykł do innych obyczajów i miar. Jego towarzysze szanowali się wzajemnie, łączyła ich nie tylko walka, lecz przyjaźń osobista. Gdy się spierali, to słów ostrych i wyrzutów nie szczędzili, ale żadnemu do głowy nie przyszło, by na przeciwnika politycznego nasyłać zbirów. Lecz nie takie sprawy odgrywały najważniejszą rolę w opiniach kolejarza Filipka. Jak każdy robotnik, który głęboko odczuwa przynależność do swojej klasy i dumny jest z godności robotniczej, Filipek myślał praktycznie. Nade wszystko był rzetelnym człowiekiem pracy. Tylko praca decydowała o szacunku, jaki żywił do ludzi. Fachowość, akuratność, przywoitość roboty. Mądry, uczciwy duch, który poruszał ręką robotnika, jego palcami, siłą mięśni. Honor ręki, etyka ręki. To decydowało o sądach Filipka. A komuniści przed wojną wcale nie byli pracownikami, lecz komwojazerami rewolucji socjalnej. Nie byli z zawodu robotnikami, bo zawodem ich był komunizm, partyjność, agitacja, podpalanie lontów buntu. Filipek nie widział komunisty przy maszynie. zajętego robotą, z rękami uwalanymi smarem lub oliwą. To nie byli robotnicy, bo jedynym obszarem ich zainteresowania była świadomość ludzka, ludzkie gniewy, iluzje i strachy. To nie byli robotnicy, ale zaklinacze duchów, bez reszty oddani magii słów, gestów, okrzyków. Nie lubił ich za to, nie szanował, choć przyznawał, że ten i ów był odważny, gotów dla swej idei ponosić wielkie ofiary.

Kiedy Filipek znalazł się w parowozowni, myślał już tylko o robocie. Przez wszystkie godziny, aż do obiadu, pracował najlepiej, jak potrafił. Wiedział, że parowóz, który remontuje, powiezie być może broń i amunicję niemiecką na front, i wtedy byłoby pięknie, żeby kocioł wyleciał w powietrze albo szlag trafił pompy, ale może się przecież zdarzyć, że parowóz pociągnie skład wagonów, zapchanych tysiącami ludzi niewinnych i drogiego sercu kolejarzy Filipka, więc każdy drobiazg musi być wykonany solidnie, każda śruba przykręcona należyście.

W kilka lat później, łomem, a kilofem, w pocie czoła, jak jaskiniowiec, o misce zupy i kawałku chleba, z gorączką w oczach i nadzieją w sercu, przebijał się Filipek przez gruzy Warszawy. Nie zgładzili go Niemcy, choć dorwali Filipka tuż przed

Powstaniem i przeszedł piekło kacetu. Już w maju roku 1945 był znowu w rodzinnym mieście. Wychudły, stary człowiek w pasiaku. Nie sypiał po nocach. Kaszel go męczył. Cierpiał na zawroty głowy. Słyszał coraz gorzej. Ale już na jesieni wziął do ręki łopatę, potem kilof. Nigdy w życiu nie pracował tak ciężko i ofiarnie. Komuniści, nie komuniści, Stalin, nie Stalin, grunt, że Polska wróciła. Tak mówił. W roku 1946 wziął udział w 1-majowym pochodzie i płakał, widząc czerwone i biało-czerwone sztandary. W jego słabym ciele biło wtedy szczęśliwe serce. Nazajutrz spotkał Pawełka w wózku ruiny na ulicy Kruczej i padli sobie w objęcia.

— Mamy Polskę, Pawełku! — zawołał kolejarz Filipiek.

— Mamy Polskę — odparł Pawełek.

Wspominali wtedy swoich umarłych. Więcej ich było, niż żywych.

— To panna Monisia zginęła w Powstaniu — mruzczał Filipiek. — Taka słiczna dziewczuszka z niej była... Młodyś, Pawełku, więc przejdzie jakiś czas i pokochasz inną panienkę. Nie gniewaj się na starego, że takie rzeczy mówi, ale życiem poznał, wiem widział, będzie, jak mówię...

Wpadł w nastrój profetyczny i wieszczęł o szklanych domach. Pawełek słuchał z szacunkiem, bo starego Filipka poważał, ale bez szczególnego entuzjazmu słuchał, ponieważ duch pepesiacki nie był jego duchem, od polityki stronił, przejmowała go rodzajem obrzydzenia, a widział w Warszawie i Polsce rzeczy osobliwe, które nie wróżyły ani szklanych domów, ani pepesiackiej szczęśliwości. Milczał jednak. Cóż pozostało temu spracowanemu robociarzowi poza iluzjami?

Pozostał mu zdrowy rozsądek. Słuch miał słaby, ale wzrok diabło wyostrzony. Wykruszał się jego entuzjazm. Znow agitowali. Nic, tylko agitowali. Wszędzie agitowali. Usiłowali przekonać Filipka, że wczoraj zlaźł z drzewa, że świat wyłania się z nicości, a historia liczy się od dzisiaj. Historia jest starsza od was, odpowiadał, ja także byłem tutaj przed wami...

Kiedy w trzy lata później, zimą roku 48, Pawełek odwiedził schorowanego Filipka, kolejarz nie wspominał już o szklanych domach. Leżał w pościeli błady i wychudły, palił taniutki papierosy w drewnianej lufce, popijał kompot śliwkowy ze słoiczka i mówił:

— Świństwo, Pawełku. Ja żem nigdy nie mówił o polskich sprawach, że w świństwie upaprane, a teraz mówię. Wszystko ześwinione, Pawełku. Nawet własnego Gomułkę opluli. Co za

ludzie, co za ludzie. Jak komuna czego dotknie, zaraz ześwini. Tegom nie myślał dawniej. Nie byli nigdy, jak należy, tom wiedział, ale żeby takie rzeczy, takie rzeczy...

Paweł milczał. Spoglądał na wychudzoną twarz starego Filipka i znowu żegnał świat odchodzący, który już nigdy nie miał powrócić. To był chyba ostatni człowiek tamtego świata, rozbitek kilku wojen i rewolucji, więzień cesarzy i despotów, ofiara strasznych figlów historii, albo może szyderczej anegdoty, opowiadanej światu przez Boga, której na imię Polska.

— Za trumną kolejarza Filipka szło niewiele osób. Niedobitki jego dalszej rodziny, Pawełek z matką, piękna pani Gostomska i trzech starych robociarzy. Może tylko tyłu ich zostało w tej robotniczej Polsce? Filipek leżał w trumnie i o niczym nie wiedział. Może jednak dopiero wtedy wiedział wszystko, lecz jemu przez całe życie się zdawało, że po śmierci już o niczym wiedzieć nie będzie, bo nie wierzył w Boga, natomiast w socjalizm jak najbardziej, i aż do końca żarliwie.

Tego jednak dnia kwietniowego, gdy wracał do domu tramwajem przez most Kierbedzia, daleko mu było do śmierci. Miał wtedy jeszcze przed sobą garść cierpień i szczyptę złudzenia.

XIV

Adwokat Fichtelbaum usłyszał hałas na dziedzińcu i zrozumiał, że nadeszła chwila oczekiwana. Zdumiał się, że nie odczuwa lęku ani przygnębienia. Stan jego ducha był całkiem inny, niżeli to sobie wyobrażał w ciągu wszystkich minionych miesięcy. Wtedy, ilekroć zamykał oczy i wsłuchiwał się w tę chwilę, która miała niechybnie nadejść, doznawał bardzo przykrego uczucia jakiegoś spadania w głąb, w ciemność, i nieopisany chłód. Jak gdyby zanurzał się w nieskończony wszechświat, o którym wiedział, jako człowiek wykształcony i odcytany, że pozabawiony jest światła i ciepła. Lodowata sztolnia bez końca, a w niej coraz szybciej i szybciej opadający ku nieskończoności adwokat Jerzy Fichtelbaum, który szybuje zupełnie samotnie, jak bezskrzydły ptak, albo owad, siłą ciężenia, coraz dalej i coraz szybciej, aż do utraty tchu, w gęstniejącej nieustannie ciemności, chłodzie i pustce. To było bardzo przykre uczucie i pragnął, aby nie trwało długo, lecz trwało z każdym dniem coraz dłużej, aby

wreszcie stać się okropną udręką, która nie opuszczała mecenasa nawet we śnie.

Lecz oto nagle okazało się, że kiedy rozległy się hałasy na dole, zwiastujące bez wątpienia zbliżanie się tego ciemnego wszechświata na drugie piętro kamienicy, gdzie w pustym pokoju czekał mecenas Fichtelbaum, to on sam przyjął wszystko bardzo naturalnie i spokojnie. Nie odczuwał żadnej udręki, stało się z nim coś tak osobliwego, że niechybnie musiało przynikać z zewnątrz, nie pochodziło od niego, lecz raczej właśnie od tego hałasu, który zwolna przesuwiał się schodami ku górze, nie pochodziło od niego, lecz od tego zwolna stąpającego po schodach wszechświata, który głośno otwierał i zamykał drzwi opustoszałych mieszkań, przewracał krzesła, przetrząsał szafy, przesuwiał stołki. Mecenas słuchał uważnie i odnajdywał w tym jakiś rytm, cykanie ogromnego zegara, który odmierzał jego własny czas, jak nigdy dotąd żaden inny zegar.

Trzeba zamknąć drzwi — pomyślał mecenas Fichtelbaum, ale zaraz sobie przypomniał, że przecież zamek jest od dawna zepsuty, klucz zgubił się, a skobel odpadł. Drzwi na klatkę schodową były więc uchylone, mecenas stojąc na środku pokoju widział smugę światła padającą przez szparę na posadzkę, właśnie przez tę szparę dobiegał odgłos ociężałego wszechświata.

No dobrze — pomyślał mecenas. — Więc najpierw zobaczę buty.

Postanowił usiąść. Wziął drewniane krzeselko stojące pod ścianą, przestawił je w pobliże lekko uchylonych drzwi i usiadł. Krzeselko zaskrzypiało i mecenas przeraził się. Ale rychło znów był spokojny. Już nie muszę się bać — pomyślał. — To już jest za mną.

Siedział nieruchomo, bo jednak nie chciał, aby krzeselko skrzypiało. Słyszał hałas piętro niżej. Wiedział, że to już niedługo potrwa, bo w mieszkaniu na dole od kilku dni nie było nikogo.

Siedział więc nieruchomo.

— Włóż kapelusz — odezwał się głos.

Mecenas Fichtelbaum drgnął.

— Włóż kapelusz. Pobożny Żyd ma na głowie kapelusz — powiedział głos.

Coś mi się w głowie pomieszało — pomyślał mecenas. — Co to za głos? Czy ja słyszę głos Boga?

Ale to nie był jeszcze Bóg, lecz tata mecenasa Fichtelbauma, pan Maurycy Fichtelbaum, który umarł na początku dwudzie-

stego wieku. Teraz mówił z wieku dziewiętnastego, kiedy jeszcze pozostawał przy życiu. Mecenas Fichtelbaum zobaczył swojego tatę w ładnym, przestronnym pokoju, którego okna wychodziły na ogród. Za ogrodem ciągnęły się pola jęczmienia, a na horyzoncie widać było ciemną linię lasu. Maurycy Fichtelbaum stał nieopodal okna, z piękną, czarną brodą, spływającą na piersi i w popielatym kapeluszu na głowie. Był to bardzo przystojny mężczyzna, miał na sobie surdut z ciemnego sukna i ciemne spodnie. Gruba, srebrna dewizka zegarka błyszczała na wysokości talii Maurycego Fichtelbauma, a tuż pod brodą dyndały na łańcuszku okulary.

— Włóż kapelusz — powiedział Maurycy Fichtelbaum do syna. — Przynajmniej to możesz dla mnie zrobić przed śmiercią.

I zdjął z głowy swój kapelusz, a następnie podał go synowi.

— A ty, tato? — spytał mecenas Fichtelbaum bardzo cicho.
— Teraz jesteś bez kapelusza.

— Mnie już nie jest potrzebny — odparł ojciec.

Mecenas Fichtelbaum przypomniał sobie, że jego tata kupił ten kapelusz w dziewiętnastym wieku, w Wiedniu, kiedy się tam udał wraz z rabinem Majzelsem na konferencję żydowskich towarzystw dobroczynności. Powróciwszy do domu Maurycy Fichtelbaum pokazał kapelusz synkowi i mecenas doskonale pamiętał, że na skórkowej wypustce znajdował się znak pewnej słynnej firmy kapeluszniczej przy Kärtnerstrasse. Nie mógł sobie jednak przypomnieć nazwy tej firmy, lecz widział z wielkiej odległości, jaka go dzieliła od wieku dziewiętnastego, owalny napis na wypustce, który głosił „*K. und K. Hoflieferanten*”.

Mecenas Jerzy Fichtelbaum wzruszył ramionami.

Jakie oni kapelusze dostarczali cesarzowi — pomyślał sceptycznie — skoro cesarz zawsze chodził w uniformie wojskowym. On chyba nawet kładł się spać w uniformie.

W tym właśnie momencie szpara rozszerzyła się i na progu drzwi ukazał się but. I w tym momencie przydarzył się nieduży, ale pożyteczny cud. Mecenas Jerzy Fichtelbaum podniósł oczy i na lufie pistoletu zobaczył miły, pogodny blask słońca, padającego do dużego pokoju przez okna wyglądające na ogród, pole jęczmienia i odległy las. Przy oknie stał tata mecenasa, z brodą, w kapeluszu cesarskich dostawców dworu, z dewizą zegarka na wysokości talii i okularami, dyndającymi na łańcuszku pod rozłożystą, ciemną brodą. Tata trzymał mecenasa za rączkę, a mecenas też był w kapeluszu na głowie i też miał czarną, piękną brodę, spływającą na piersi, chociaż był jeszcze małym chłopczykiem.

Stał przy oknie werandowym i czujnie spoglądał na ulicę. Był niewysoki, łysawy, drobny. Sylwetka kontrastowała z rysami twarzy, które wyrzeźbione były mocnymi uderzeniami dłuta, jakby Bóg pracował gniewnie i niecierpliwie. Była to chłopska twarz z dawnych płócien Kotsisa albo Chełmońskiego, gdzie siła splata się z gapiostwem. Stał tedy przy oknie werandowym, spoglądał czujnie na ulicę przed domem i czuł ból serca. Tak długo, niewiarygodnie długo udawało mu się trwać z dala od nurtu wydarzeń, na suchym brzegu. Wcale nie był tehórzliwy, był po prostu mniej zainteresowany. Dopiero po latach miało się okazać, że wszyscy bez wyjątku byli zainteresowani. W rzeczywistości należał do tej gromady ludzi, którzy z żalem przyjęli utratę niepodległości, ze wstrętem spoglądali na okupantów, trwogą przejmowało ich rozszalałe okrucieństwo świata, ale własne istnienie lokowali na uboczu, zajęci troskami dnia codziennego albo — jak on właśnie — życiem wewnętrznym, swoją duchowością oddaloną od rzeczy zwyczajnych, tym bardziej oddaloną, im bardziej rzeczy zwyczajne stawały się złe i nie-ludzkie. Przez wszystkie poprzednie lata żył pośród cieniów, w przyjaźni i pojednaniu. Był filologiem klasycznym nie tylko z wykształcenia i zamiłowania. Łacina i greka uczyniły go człowiekiem nieobecnym w świecie. W tamtych czasach było to jeszcze możliwe. Żył samotnie, otoczony miłym, kulturalnym towarzystwem klasyków. Odbywał spacer, trzymając pod ramię Tukidydesa, Tacyta albo Ksenofonta. Jadał z Sofoklesem i Seneką. Ludzi żywych rozpoznawał z trudem, kontakty z nimi traktował zdawkowo, bo byli wprawdzie konieczni do życia, ale nieciekawi i hałaśliwi. Miał opinię dystrakta. Krążyły o nim anegdotki, których wcale nie znał, bo był dla otoczenia nie partnerem, lecz tylko przedmiotem rozmowy.

Pochodził ze wsi pod Kielcami, gdzie rodzice i dziadowie najmowali się do pracy za dach nad głową i kawałek chleba. Matki wcale nie pamiętał, ojca wspominał bez miłości, człowieka strasznych gniewów, którego złość pochodziła z nieszczęścia. Porzucił ojca i rodzeństwo jako chłopiec dziesięcioletni i poszedł w świat samotnej biedy. Ale miał w duszy nienawiść do nędzy i poniżenia, do wsi sielskiej, wierzby i leszczyny, skib ziemi ornej, dymów nad ogniskami, chłopstwa, wyzwick, wspólnych urągań. Z takich jak on wyrastali buntownicy, albo jed-

nostki samotne, wewnętrznie skupione. Miał do wyboru rewolucję socjalną lub ucieczkę poza niedobrze urządzony świat. O takich jak on poeci pozytywistyczni pisali swoje poematy. I Żeromski też o takich pisał. Pracował przy budowach, przy studniach, przy koniach. Głodował. Cierpiał. I uczył się z zaciętością chłopską. Po stancjach w komórkach mieszkał za rąbanie drzewa, noszenie wody. Po garkuchniach jadał za mycie naczyń i podłóg. Ukończył gimnazjum klasyczne z wyróżnieniem, dostał się na bezpłatne studia. Jego Golgota trwała dwadzieścia lat, bo na domiar wszystkiego musiał przebiedować Wielką Wojnę i rok 1920. Dopiero później stanął na nogi, ale zawsze żył w biedzie, dumny i samotny, doktor filozofii, filolog klasyczny, syn parobków bez ziemi, co własną pracą, determinacją, siłą charakteru wydzwignął się nie tylko ponad swój stan, ale ponad miliony innych ludzi, pod szczęśliwszą gwiazdą urodzonych. Wszystko zawdzięczał sobie i niczego od świata nie potrzebował. Zadowalał się skromną egzystencją, środki czerpał z dorywczego nauczania łaciny i greki, imał się także innych zajęć, bo żadnej pracy się nie bał, bo już wszystkiego zaznał w młodości. Nie lubił świata, który był mu dany. Opuścił więc świat ludzi i rzeczy widzialnych, przeniósł się do ciepłych, słonecznych krajów antyku.

Kiedy wybuchła wojna, nie lękał się przyszłości. Ludzie samotni, którzy żyją w świecie wyobraźni, nie znają powszednich lęków swych bliźnich. Wojna i okupacja nie zubożyły doktora Adama Kordy, nie odebrały mu też przywileju spacerów z Ciceronem. Wcale nie był zimnym i bezlitosnym fantastą. Cierpienia innych napawały go współczuciem. Lecz wszystko, co się wokoło działo, nie było przecież jego sprawą. Nie studiował, jak wielu innych, kierunku pancernych zagonów Hitlera, bo zajęty był bardziej kwestią Anabazis i Wojny Galijskiej. Może nawet w czasach okupacji czuł się nieco pewniej w świecie ułudy i nierzeczywistości, bo wszystko wokoło było przecież nierzeczywiste i dalekie od przyjętej normy.

Mówiono o jego przerażających i śmiesznych zarazem przygodach. Znalazł się w łapance i nie zauważył jej. Legitymowany przez żandarma, długo nie mógł pojąć, czego ten człowiek właściwie chce, aż wreszcie żandarm, zapewne znudzony lub o miękkiem sercu, machnął ręką i kazał mu odejść.

— Jak pan doktor wyszedł z tej łapanki? — pytał znajomy, który był świadkiem zdarzenia.

— Z jakiej łapanki? Ach, tak, w rzeczy samej. Nie wiem, doprawdy. Byłem zamysłony.

Stronił od ludzi, więc siłą rzeczy także od wojny, którą rozpełtali. Interesowały go wojny antyku, hieratyczne, dumne i bez plam krwi, wyrzeźbione w białym kamieniu. Odnajdywał w nich jakiś porządek moralny, którego wcale w życiu realnym nie było. Nie dbał więc o życie realne.

Polubił sąsiadkę zza ściany. Bardzo piękna, spokojna pani, wdowa po oficerze. Pod Lublinem miał dalekich krewnych, odwiedzał ich czasem, przywoził słoiki konfitury i buteleczki soków owocowych. Pozwolił sobie raz i drugi zaofiarować słoik konfitury pani Gostomskiej. Dziękowała z ujmującym uśmiechem, odwzajemniła się paczuszką herbaty, co było gestem nielada. Czasem przychodził do pani Gostomskiej, miała wielki czar kobiecy, interesowała się starożytnością. Nigdy dotąd nie spotkał takiej cichej, małomównej, skupionej osoby. Żywił wdzięczność do losu, że zetknął go z panią Gostomską. Nagle okazało się, że popadła w tarapaty. Posądzona o żydowskie pochodzenie, została zatrzymana przez gestapo. Groziła jej śmierć.

Po raz pierwszy doktor Korda zetknął się tak blisko z grozą śmierci. Jeszcze wczoraj pani Gostomska odpowiedziała z uśmiechem na powitanie, a jutro nie będzie żyła, zamęczona przez gestapo. Nie sama śmierć wydawała się przerażająca, lecz czekanie na nią, bezradne godziny czekania. Pani Gostomska liczyła na pomoc doktora Kordy. Przekazała wiadomość. Nie pozostał bezczynny. Natychmiast podjął działanie. Lecz nie żywił zbyt wielkich nadziei. Cóż mógł uczynić młody człowiek, pan Paweł Kryński, jedyny wspólny znajomy? Cóż mógł uczynić, jeśli było prawdą to wszystko, co ludzie opowiadali o gestapo i ulicy Szucha? A przecież nie opowiadali historyjek wyssanych z palca, bo toczyła się okrutna wojna, doktor Korda słyszał o torturach, egzekucjach, obozach koncentracyjnych. Czyż jego znajomy, filolog klasyczny doktor Antoni Kamiński, nie przebywał w Oświęcimiu? Doktor Korda regularnie wysyłał do obozu paczki z żywnością. Odmawiał sobie wielu rzeczy, by wysłać paczki dla filologa klasycznego Kamińskiego. Cóż może uczynić młody człowiek dla uratowania pani Gostomskiej? Doktor Korda gorączkowo szukał w pamięci ludzi, którzy mogliby okazać się pomocni. Lecz miał niewielu znajomych, żadnych przyjaciół. Po raz pierwszy w życiu ciążyła mu samotność, tryb życia odludka. Tak wiele przecież zależało od innych ludzi, bez których czynności i starań pani Gostomska niechybnie będzie zgubiona. Bez wątplenia nie jest Żydówką. Podejrzenia zgoła śmieszne. Gdyby nie bardzo jasne włosy, pani Gostomska wyglądałaby jak Diana. Czy to ma jednak znaczenie dla ludzi

z ulicy Szucha? Żydówka czy nie Żydówka? Przecież nie idzie tylko o Żydów!

Stał w oknie werandowym i wyglądał czujnie na ulicę. Był to dobry punkt obserwacyjny. Jeśli pani Gostomska wróci, na pewno ją zauważy. Stał w pumpach i sznurowanych bucikach, nieduży, łysawy, nieruchomy, z bolesnym niepokojem w sercu. Czuł się bezradny i słaby. Nie myślał o wojnie galijskiej, lecz tej za oknami. Kiedy zapadł wieczór, nie zapalił światła. Przynęsał krzesło blisko okna, usiadł i patrzył w ciemność. Dopiero o północy pojął, że powrót pani Gostomskiej nie jest o tej porze możliwy. Wtedy zasłonił okno rolką zaciemniającą i firankami. Położył się do łóżka. Zasnął nad ranem, ale niemal natychmiast przebudził się i znów zajął posterunek przy oknie. Miał przed sobą cały dzień czekania. I ogromną samotność, bo opuściły go duchy antyczne. Chwilami drzemał, oparty czołem o parapet. Budził się zdrętwiały. Może przeoczył powrót pani Gostomskiej? Słuchał czujnie odgłosów za ścianą. Panowała tam cisza.

Godziny przechodziły na palcach za jego plecami. Dzień był wiosenny, pełen słońca i ptasich okrzyków. Wczesnym popołudniem doktor Korda poczuł, że musi coś uczynić, nie może dłużej trwać w bezruchu. Nie jadł od wielu godzin, ale zawsze jadał mało, nie przywiązywał wagi do posiłków, więc nie odczuwał głodu. „Jedzenie to rzecz barbarzyńska!”, mawiał często. W tym wcale nie był antyczny, pozostawał potomkiem bezrolnych chłopów świętokrzyskich, którzy zadawali się byle czym, ziemniakiem, miską cienkiej zupy.

Opuścił punkt obserwacyjny i wyszedł na ulicę. Dreptał po chodniku przed domem, bo cóż więcej mógłby uczynić? Była w nim jakaś nieznaną dotąd jałowość, napęczniała pustka. Nagle postanowił zapalić papierosa. Niebywałe, pomyślał gorączkowo, niebywałe. Ale już zmierzał w stronę budki, przycupniętej na rogu, pod murem kamienicy.

— Poproszę pudełko papierosów — powiedział.

— Jakich? — spytał sprzedawca.

— Ja tego nie wiem. Proszę o papierosy niedrogie.

Były to papierosy „Haudegen”. Otworzył pudełko, powąchał, wsunął ustnik między wargi. Wtedy przypomniał sobie, że nie ma zapalek. Wrócił do sprzedawcy. Wreszcie zapalił papierosa. Wchłonął dym. Chwycił go kaszel. Niebywałe, pomyślał, niebywałe. Ale palił dalej. Przechadzał się chodnikiem, mały człowiek w pumpach, marynarce z wyłożonym kołnierzem koszuli, w sznurowanych bucikach do kostki, i dymił jak paro-

statek na Wiśle. Już nie odczuwał brzemienia pustki w pier-
siach, lecz ostry, kłujący ból. Teraz męczył go kaszel. Wrócił
do mieszkania. Niedopałek papierosa rzucił do klozetu i spuścił
wodę. Znów stanął przy oknie. Dzień przygasał. Już nie żyje,
pomyślał Korda. Była to straszna myśl. Ale z każdą chwilą
nabierał pewności, że pani Gostomska nie żyje. Wreszcie zre-
zygnował. Odszedł w głąb pokoju i usiadł przy stole. Co się
ze mną dzieje, myślał, to tylko jeden człowiek. Tylko jeden
człowiek. Po wielu latach w całkiem innym świecie, przeobra-
żonym, niedojrzałym i umiarkowanie okrutnym, nadal szamo-
tał się w tym gąszczu. Z antyku zostały gruzy, dopiero wtedy
antyk był ostatecznie zburzony. Tylko jeden człowiek, myślał
wówczas, tylko jeden. Przerazał go świat, który pojawił się
nagle, wyskoczył jak Minerwa z głowy Jowisza, ogromny i
wszechobecny, na pustyni ruin i zgliszcz. Nagle ujrzał się obra-
bowanym i wystrychniętym na dudka. Ten świat ofiarował
łatwość, jaka doktorowi Kordzie nigdy nie była ofiarowana.
Wszystko, co zdobywał w nieopisanym trudzie, wyrzeczeniach
opiewanych przez poetów, naraz znalazło się w zasięgu każdej
ręki. Pastuch i barbarzyńca szturmowali akropole, na które
doktor Korda wspinał się samotnie, w pocie czoła, poniżeniu,
ogromnym wysiłkiem woli. Nie odczuwał zazdrości, lecz rozcza-
rowanie i lęk. Bał się wielości. Cóż wart był świat, nieokupiony
ofiara samotnego człowieka, w którym każdy ma wszystko lub
nic, równo i tak samo, bez oddzielności... Tylko jeden człowiek,
powtarzał, tylko jeden. Gdzie świecą te same dla wszystkich
gwiazdy? — spytał siebie. — Gdzież beze mnie więcej moje
wiatry? Kto poza mną spojrzy w oczy mojej śmierci? Kto wi-
dział moich bogów, przeżył moje lęki, prześnił sny, doświadczył
mojego głodu, śmiał się moim śmiechem i płakał moimi łzami?

Dopiero wtedy antyk runął w gruzy. Jeden człowiek. Tylko
jeden człowiek.

Więc pierwszy ładunek dynamitu odpalono pod dorycką
kolumną w owej chwili, gdy doktor Korda siedł przy stole
i pomyślał, że pani Gostomska z całą pewnością nie żyje. Czło-
wiek został zabity. Już tylko ludzkość pozostała. Czy to moż-
liwe, zadawał sobie pytanie. Nie chciał się pogodzić ze śmier-
cią osoby. Wstał i znów podszedł do okna. Nie opuścili go wów-
czas bogowie, bo właśnie wtedy, w zapadającej szarawce, w
scedzonym blasku ostatków słońca, dymiącej za dachami,
ujrzał znajomą sylwetkę. Pani Gostomska szła chodnikiem.
Wydawała się nieco znużona, ale jak zawsze elegancka i piękna.
Chciał natychmiast wybiec na jej spotkanie, lecz namysł go

powstrzymał. To nie byłoby grzeczne, powiedział sobie, pani Gostomska potrzebuje samotności, skupienia. Będę czuwał za ścianą. Opanowała go wesołość. Podśpiewywał cichutko. Nagle poczuł głód. Poszedł do kuchenki i jadł chleb, pił mleko. Potem odkrył w kieszeni pudełko papierosów i wyrzucił je do śmieci.

XVI

— Wracam, Pawle — powiedział Henio.

Po raz pierwszy nie powiedział „Pawełku”, lecz „Pawle”. A Paweł odrzekł z pewnym chłodem:

— Dokąd wracasz, Henryku?

— Tam.

Henryk wskazał ciemną chmurę, unoszącą się nad ruinami getta. Odbijała się w jego oczach.

Stali pod murem kamienicy na Księżęcej, przed nimi widać było obudowany niskimi domami plac, pękaty kościół i perspektywę Alej. W Alejach zieleniły się drzewa. Pachniało wioną i pogorzelskiem.

Obaj zrozumieli, że stali się nagle dorośli. Już nie byli chłopcami. I nie odczuwali zdziwienia. Bądź co bądź jeden z nich miał niebawem umrzeć. W pobliżu śmierci nawet małe dzieci szybko się starzeją.

— Nie ma sensu, żebyś tam wracał — rzekł Pawełek. — To pewna śmierć.

— Prawdopodobnie — odparł Henryk. Nigdy nie był niczego pewny. Zbyt dobrze się uczył, był prymusem w przedmiotach ścisłych.

— Prawdopodobnie — powtórzył i lekko wzruszył ramionami.

Paweł doszedł do wniosku, że już nie warto tracić słów. Henryk wróci tam. Jego postanowienie jest niezłomne. Czy na jego miejscu wróciłbym? — pomyślał Paweł. I odpowiedział sobie, że prawdopodobnie tak. Ale nie mogli już teraz porównywać swojej kondycji. Już doszli do rozstajów. Stali tuż obok siebie, byli najlepszymi przyjaciółmi, przeżyli wspólnie ponad dziesięć bogatych lat dzieciństwa i młodości, a jednak w tej chwili obaj zrozumieli, że coś ich oddziela. Byli po przeciwnych stronach, między nimi wyrastał wysoki mur. Takie mury

padają tylko od głosu trąb jerychońskich, ale trąby jerychońskie milcząły.

— Widzimy się chyba po raz ostatni — rzekł Henryk i znów lekko poruszył ramionami.

Paweł milczał.

Nie mogę go zatrzymać — myślał. — Więc odejdzie. Już nie jesteśmy sobie tacy bliscy, jak dawniej. Henryk coś mi zabiera. Nie mogę zatrzymać tego, co zabierze ze sobą, gdy odejdzie. I to, co jest w nim ze mnie, zginie po tamtej stronie muru. Teraz będzie mniej Pawełka. Może już wcale nie będzie tamtego Pawełka, którego lubiłem tak bardzo, bo był zabawnym, krnąbrnym chłopakiem i nigdy się z nim nie nudziłem. Henryk zabiera mi Pawełka i obaj pójdą do piekła. Byłoby dobrze zatrzymać dla siebie Henia. Tego Henia, który gdzieś teraz umknął, schował się do bramy kamienicy na Książęcej i czeka tam, żeby Henryk odszedł. Zachować Henia, to jedyne, co mogę uczynić.

Przyjrzał się twarzy Henryka. Jeszcze był na niej ślad rysów Henia. Coraz słabszy, bledszy. Nie było już tego śladu w spojrzeniu Henryka, ale pozostał na rumianych policzkach, w kapryśnych, lekko wywiniętych wargach, w ciemnych, gęstych włosach nad czołem. To trzeba zachować.

Utrwalić każdy, najdrobniejszy szczegół. Ten płaszcz dwurzędowy, w jodełkę, długi, z szerokimi, wutowanymi ramionami, ze środkowym guzikiem po prawej stronie obluzowanym, wiszącym na przecierającej się nitce. Ten guzik odpadnie, nim Henryk dotrze do getta, ale dla Pawła nigdy nie przetrze się do końca, nawet za pięćdziesiąt lat. Buty Henia. Czarne trzewiki, starannie zasnurowane, nieco podniszczone. Czapka granatowa, narciarskiego kroju, z wyświeconym daszkiem. Włóczkowy, czarny szalik, ściągnięty węzłem pod szyją. Ręce Henia. Małe, dziewczęce, o bladych, smukłych palcach. Uszy Henia. Jego nos, brwi, czoło. Rumiane, jakby nieco wydęte policzki. Wargi trochę zbyt łakome, które musiałyby Henia zgubić, tak czy inaczej.

Zapamiętać Henia. Także jego cień ledwo widoczny na białym murze kamienicy. I gołębia na okiennym parapecie nad głową Henia. Zabiorę go — pomyślał Paweł — ocalę go.

Tak pomyślał z triumfem i goryczą.

I w jakim celu zapamiętywał? Żeby nieść tego chłopca przez długi, mroczny tunel przyszłych lat? Po co zapamiętywał, skoro nie mieli już nigdy mówić tym samym językiem?

Co wart jest człowiek milczący, nie znający słów, który nie potrafi nazywać rzeczy ani wymierzać sprawiedliwości?

Paweł zapamiętywał tego Henia w dwurzędowej jesionce i podniszczonych bucikach, aby z nim potem nieustannie się spierać, aby się do niego odwoływać, zarzucać go pytaniami, na które Henio nie odpowiadał wcale, zawsze milczący, kapryśny młokos żydowski o czerwonych, łakomych ustach, z którym Paweł szedł ramię w ramię po czterdziestu latach na ulicę Stawki, kwiaty w jego rękach, mściwy łomot krwi w jego skroniach, milicjanci w niebieskich uniformach u wylotu ulicy, zupełnie obcy świat, bez żadnego związku z Heniem, świat w którym nie ma już ani jednego kamienia, ani jednego atomu powietrza, ani jednej kropli wilgoci z tego świata ulicy Książęcej, na której Paweł żegna Henryka, na której Paweł zapamiętuje Henia, aby go jak święty Krzysztof owe tajemnicze dzieciątko przenieść na plecach przez huczący, groźny potok. Ale święty Krzysztof uczynił kilka kroków i już był na drugim, bezpieczniejszym brzegu, gdy Paweł będzie dźwigał ten swój ciężar, tego milczącego, żydowskiego wyrostka przez całe dziesięciolecie, przez wszystkie dni dzikości, obłudy, głupstwa i zakłamanej wzniosłości, jakie go jeszcze czekają.

I cóż pozostanie z tej przygody u kresu podróży? Stary człowiek przyjdzie pod dom na ulicy Książęcej, zatrzyma się pod białym murem, pokiwa głową. Przyjrzy się Heniowi. Henio będzie rumianym chłopcem w dwurzędowej jesionce i narciarskiej czapce na głowie. Ani jednej zmarszczki, ani śladu siwizny. Umarli się nie starzejają. „I po co brałem ciebie w to całe nieszczęście, Henryczku?!” — powie stary Paweł. Henio wzruszy ramionami. Może jeszcze powie tylko to jedno słowo, które zna. Powie — „Prawdopodobnie...”

— Żegnaj, Pawle — powiedział Henryk i wyciągnął rękę.

— Żegnaj, Henryku — powiedział Paweł.

Nie będę lubił tej sceny — pomyślał z nagłą wściekłością. — Jeżeli obaj przeżyjemy, okaże się śmieszna.

Ale groziło im wszystko, tylko nie śmieszność. Różni ludzie czynili potem ogromne wysiłki, aby ten gest okazał się śmieszny na taśmie filmowej i ekranach telewizorów, i rzeczywiście bywał śmieszny przez ten swój heroizm nie z tego świata, w którym musiał się urzeczywistniać jako skrót artystyczny. W nadgniłym świecie wytartych haseł, hipokryzji, małych handeleków nieboszczykami i nieustannej gadaniny o przyszłości, taki gest był doprawdy anachroniczny, a zatem śmieszny, jak nie przymierzając Juliusz Cezar na rowerze.

Ale przecież tego nie mogli przewidzieć, stojąc pod murem kamienicy przy Książęcej, dwaj młodzieńcy, którzy kochali Komendanta, często rozmawiali o Romualdzie Traugucie, marzyli o szarzy pod Rokitną. Oni dopiero stawiali pierwsze, niepewne kroki na bagiennym gruncie totalizmów i obaj gotowi byli raczej umrzeć, niżeli ugrzęznąć w nim po szyję.

— Pójdę już — powiedział Henryk.

Paweł milczał. Jeszcze poderwał się gołąb. Jeszcze w głębi bramy zamajaczyła postać kobiety w chustce zielonej na ramionach. Dzwonek tramwaju na Nowym Świecie, jego czerwony kształt, wychylający się zza rogu, jak blaszany smok, zabawka dla małych chłopców, dla Henryczka i Pawełka.

Odszedł. I zaraz zniknął. Paweł spojrział w niebo. Było bardzo niebieskie, kwietniowe. Tylko gdzieś na skraju, ponad dachami, przesuwała się powoli brudna smuga zagłady.

Czy to możliwe, że już wtedy doznał wrażenia jakiegoś początku, nie końca? Czy to możliwe, by właśnie w chwili, gdy sylwetka Henryka znikła mu z oczu, zrozumiał, że oto rozpoczyna się nowy rozdział, który trwać będzie już bez końca, przez całe życie? Później był o tym przekonany. Właśnie tamtego dnia, myślał później wielokrotnie, zrozumiałem, że zaczyna się czas rozstań, pożegnań i wiecznych trwóg. Lecz nie tylko o rozstania chodziło. To prawda, że odejście Henryka było dla Pawła pierwszym pożegnaniem. Potem zdarzyło się ich wiele. Może nawet bardziej rozdzierających, choć nie tak mocno przeżytych, bo już nigdy potem nie miał dziewiętnastu lat, kiedy każdy odchodzący człowiek zabiera z sobą niemal cały świat, pozostawiając tylko bezwartościowe okruchy. Nauczył się później lepić własne życie nawet z rozbitych skorup, za które nikt rozsądny nie dałby szeląga. Nie on jeden tego się nauczył. Jednakże nie tylko o rozstanie chodziło. Na pewno Henryk był jego pierwszym przyjacielem, a odchodząc zabrał z sobą dzieciństwo i najlepsze chwile młodości. Czemu jednak później, po latach, pamiętał nie tylko postać chłopca w dwurzędowej jesionce, znikającą za rogiem ulicy, by już nigdy więcej nie zjawić się w świecie żywym, lecz również tę brudną smugę dymu na niebie, jak rdzawą szmatę rozwieszoną ponad dachami warszawskich domów? Dlaczego niebo nad jego głową miało od tamtej chwili już zawsze wydawać się brudne, spłowiałe, nawet jeśli rozświetlała je czasem jakaś heroiczna pożoga?

W kilkanaście miesięcy później, gdy Henryk od dawna już nie żył, całe niebo nad miastem, od krańca do krańca, zasnuwane było smugami dymów i blaskiem pożarów. Paweł nie

pamiętał wtedy o rozstaniu z Henrykiem, nie pamiętał nawet wczorajszego dnia ani poprzedniej godziny. Żył w walce, na barykadzie powstańczej. Myślał o karabinie, który był częścią jego istnienia. Najważniejszą częścią, od której wszystko zależało. A jednak także wtedy towarzyszyło mu uczucie beznadziejności, znów się rozstawał i żegnał. Odchodziły od niego domy i ulice, parki i skwery, pomniki i ludzie. Z każdą godziną powstania było go mniej, kurczył się i malał, zapadał w głąb i nikał, jak to miasto. Potem nazwano to zdradą, jeszcze później pięknym szaleństwem, na koniec tragedią, w którą Paweł został wplątany bez winy i prawa wyboru. On jednak nigdy nie czuł się zdrajcą, szaleńcem ani tym bardziej statystą w niewłasnym dramacie. Nie miał sobie zbyt wiele do wyrzucenia, bo przecież usiłował sprostać obowiązkom. Co się tyczy innych, to nigdy nie osiągnął pewności, czy obowiązkom sprościli i czy naprawdę chcieli je wypełnić. Ale nie pragnął być sędzią swych bliźnich, nawet jeśli oni bywali jego sędziami.

Niebo wydawało mu się zawsze brudne i pozbawione wyrozumiałości. Może z tej przyczyny, że przez jakiś czas wątpił w Boga. Lecz także później, kiedy odzyskał już wiarę, nie odzyskał nadziei. Zawsze prześladowało go uczucie, że w czasie wojny coś wielkiego utracił. Później śniły mu się miasta Europy, których nie znał i nigdy nie widział. Śniły mu się katedry, zamki, mosty i ulice. Były to sny, w których czuł się dobrze, aby po przebudzeniu znów doznawać jakiejś utraty. Potem podróżował do Europy. Obecny przybysz z dalekich stron. I postradał swoje sny. Te katedry, zamki i mosty wprawdzie istniały, lecz nie były jego własnością, nie umiał się tam odnaleźć. Moja europejska świadomość już nie istniała, mówił sobie z żalem, może nawet nigdy nie istniała, może była tylko urojeniem, pragnieniem tożsamości, która nigdy nie była nam dana? Odnajdywał w sobie jakiś barbarzyński tragizm, może niedostatek, albo nadmiar, z którym nie potrafił już się pomieścić w katedrach europejskich i na mostach ponad rzekami Europy. Zresztą niebo nad Europą też nie było lepsze. Wracał stamtąd z ulgą, by znów tęsknić. Odnajdywał w tym śmieszność, która była mu jakimś pocieszeniem. Bo jeśli nie odczuwałby śmieszności, pozostawało już tylko kalectwo. Ostatecznie lepiej mieć odstające uszy niż krótszą nogę.

Czy to Henryk właśnie zabrał mu wszelką nadzieję? Paweł zdawał sobie sprawę z bezsensu takich oskarżeń. Henryk żywy nie byłby zapewne zbyt różny od Pawła. Obaj zostali okradzeni w jednakowym stopniu. Henryk był w lepszym położe-

niu, bo o tym nie wiedział. Umierając, mógł sądzić, że kiedyś będzie inaczej. I w rzeczy samej, było cokolwiek inaczej. Po pewnym czasie już nie zabijano ludzi, przynajmniej w Europie, a nawet na jej peryferiach. Był to ogromny postęp i Paweł błogosławił dzień, w którym wojna się skończyła. Tylko szaleńcy nie błogosławili tego dnia. Tylko głupcy nie dostrzegali różnicy, zaślepieni swoją pryncypialnością. Jeśli Polska nie była całkiem taka, jakiej pragnęli, nawet jeśli zupełnie taka nie była, to przecież dla ocalonych sam fakt ocalenia stanowił różnicę na tyle wystarczającą, by ją błogosławili. Bądź co bądź Paweł żył, a Henryk był martwy. I Paweł zdawał sobie sprawę z odmienności tego stanu rzeczy. Wszelako po dziesięciu latach odczuł znużenie, a po dwudziestu obezwładniającą nudę. Jak długo można świętować fakt, że człowiek nie został zabity? — zadawał sobie pytanie. Było ono szczególnie na czasie, ponieważ wokoło ludzie umierali z powodu starości, chorób oraz wypadków losowych. Dla tych zaś, którzy pomarli, było dość obojętne, w jaki sposób przekroczyli próg wieczności. Nie istniała szczególna różnica między starcem, zastrzelonym na ulicy okupowanej Warszawy, a jego rówieśnikiem, który zmarł na raka w kilkanaście lat później. Być może zastrzelony mniej cierpiał i krócej się lękał. Nie było też widomej różnicy pomiędzy dzieckiem spalonym w pożarach wojny i tym, które przejechał pijany kierowca, gdy biegło do szkoły w czasach trwałego pokoju. Matki płakały podobnie. To, co wydawało się cudowne w roku 1945, w kilka lat później było już tylko oczywiste, a jeszcze za jakiś czas stało się nudne i banalne. I już nie wojna była straszna, lecz pokój. Dla tych zaś, którzy wojny w ogóle nie zaznali, bo przyszli na świat po jej zakończeniu, ten banalny pokój, czyli najzwyczajniejsze życie na ziemi, stawał się nie do zniesienia. Paweł starzał się, pamiętał przeszłość i dzięki temu był w nieco lepszym położeniu. Zawsze mógł przecież przypomnieć sobie piekło doskonałe. Nie było to jednak pocieszeniem na tyle trwałym i mocnym, by żyć w nadziei. W gruncie rzeczy Pawłowi dolegało poczucie godności. Było jak pryszcz w nosie. Ani wachać, skąd wiatr wieje, ani pokazać się w miejscu publicznym z wysoko uniesionym czołem.

Świat nie był już na szczęście okrutny jak niegdyś, za młodych lat Pawła, lecz stawał się nieznośnie trywialny. Był to świat niedostatku, pozornego ładu i bezpieczeństwa publicznego. Klomby pielęgnowane, ale śmietniki cuchnące, prawdziwa wolność, ale przęście wzbronione.

Co dolegało Pawłowi? Czyżby Henryk odebrał mu prawo do wolności?

Pewnego wieczora rozmawiał o tym z Gruszeckim. Zaofiarował się podwieźć Pawła swoim samochodem. Spotkali się całkiem przypadkowo u siostry Weroniki. Gruszecki już zbierał się do wyjścia, gdy zjawił się Paweł, rzadki gość, dawno nie widziany. Z siostrą Weroniką łączył Pawła kontakt niepewny i zwodniczy, zawisły od kapryśnej korespondencji. Oboje otrzymywali czasem listy z Izraela. „Proszę przekazać pozdrowienia dla siostry Weroniki”. „Kochana moja, jak zobaczysz pana P., pozdrów go ode mnie”. Paweł otrzymał był właśnie zdawkową pocztówkę, w niej słowa „Ukłonny dla kochanej W”. Przyszedł więc, aby złożyć ukłon starej zakonnicy, dziwny ukłon, którego błądy cień padał przez kontynenty, od kibucu na Zachodnim Brzegu aż do warszawskiego Powiśla. Zabawił krótko, znalazł siostrę Weronikę zgaszoną i słabą. Zbliżyła się do osiemdziesiątki. Całując jej rękę doznał wrażenia, że dotyka wargami zeschniętego listka.

W samochodzie Paweł powiedział:

— Pamiętam ją jako wysoką, tęgą kobietę. Zrobiła się taka malutka. Czy pan nie ma czasem wrażenia, że wszystko się kurczy? Jakby życie nas nieustannie pomniejszało.

Gruszecki patrzył przed siebie. Blask szybkościomierza oświetlał jego szczupłą, anglosaską i piastowską twarz. Trzymał fajkę w zębach. Mileczał. Wzruszył ramionami.

— Ma już blisko osiemdziesiąt lat — powiedział wreszcie, wyjmując fajkę lewą dłonią, z prawą na kierownicy. — Tak to jest, że się starzejemy.

— Pan ma jeszcze sporo czasu — rzekł Paweł. — Ze mną inaczej. Coraz mniej czasu. To przykra świadomość. Coś ucieka i już nie wraca. Wieczne utraty.

— Nie byłbym taki pesymistyczny. Co się tyczy wieku, nie ma między nami różnicy. Kiedyś, tak. Dzisiaj bez znaczenia. Rzecz polega, jak myślę, na ocenie rzeczywistości. Pan ma cokolwiek romantyczne poglądy, tak bym to ujął.

— Romantyczne? — powtórzył Paweł. — Nigdy nie przyszło mi to do głowy. Zawsze twardo chodziłem po ziemi.

— No, no — rzekł Gruszecki i nagle zjechał na bok, otarł kołami chodnik, zatrzymał samochód i wyłączył silnik. — Nie powiedziałbym, drogi panie... Coś niecoś słyszałem o pana przygodach w ostatnim czasie... Cóż to było, jeśli nie romantyczne mrzonki?

Ton jego głosu miał brzmienie cokolwiek oskarżycielskie. Znów ssał fajkę. Paweł roześmiał się. Gruszecki wydał mu się zabawny.

— Pan się śmieje? Można i tak. Ale przecież nie idzie o pana, pańskie sprawy, może nawet życie. Z tym możecie robić, co się wam podoba. Ale wystawiacie ten kraj na sztych! Bez sensu, bez najmniejszej szansy.

— A gdzie jest sens i szansa, panie inżynierze? Siedzimy w bagnie po uszy, a kiedy ktoś chce się z bagna wydostać, powiada pan, że to jest bez sensu?!

Gruszecki skinął głową.

— Tak. Bez sensu. Można się utopić, można pójść na dno.

— Więc siedzieć i nie ruszać się? Żadnego gestu, tak?

— Żadnego gestu! Wszelki ruch jest niebezpieczny. Ostatecznie, jeśli już pan sobie życzy takich niezbyt szczęśliwych porównań, to siedzimy w tym bagnie po szyję, ale głowa bądź co bądź jeszcze na wierzchu. Jak zaczniemy wierzgać, już po nas! A to było wierzganie, po prostu wierzganie! I stało się. Czy pan tego nie zauważył? Siedzieliśmy w bagnie po szyję, ale teraz już tylko nosem możemy oddychać. Jeszcze jeden niebezpieczny ruch i koniec!

Zapałał fajkę. Płomyk zapałki oświetlał zagniewaną twarz.

— Kwestia podejścia — rzekł zimno Paweł. — Ostatecznie tak było tutaj zawsze... Od dwustu lat, albo i dłużej. Naród istnieje dzięki temu, że jednak nieustannie wierzgał. Gdyby nie wierzgał, już by go wcale nie było...

— Skąd pan wie? Skąd ta pewność, że nasze wariactwa były fundamentem przetrwania? Że tożsamość trzeba koniecznie okupywać takimi ofiarami? A może należało właśnie całym inaczey?

— Panie inżynierze, ja myślę, że w historii nie istnieje tryb warunkowy — powiedział Paweł. — Było to, co było. Liczy się to, co było... Polacy są tacy, jacy są, bo działo się to, co się działo. Czy pan uważa to za romantyzm? Przecież trzeba myśleć historycznie, myśleć pamięcią narodu. Uczyć się od przeszłości. Bądź co bądź był tutaj kiedyś Wysocki. I Mochnecki. I Mickiewicz. Traugutt, Okrzeja, Piłsudski, Grot, Anielewicz, ci ludzie z Powstania. Oni wszyscy byli, panie inżynierze. Nie umiem powiedzieć, co by się stało, gdyby ich nie było. I nie interesuje mnie to. Na tym polega mój realizm. Byli. Tego się nie przekreśli, nie wymaże. I jesteśmy tacy, jacy jesteśmy bo tamci byli!

I co z tego, że byli? — powiedział Gruszecki. — Czy każde

pokolenie musi być dziesiątkowane? Mrzonka. Niech pan spojrzy na Czechów. Ile rozumu, przenikliwości. Od czasów Białej Góry ani razu nie wystrzelili. Czterysta lat niemczyzny przetrwali w spokoju i godności. Bez jednego strzału. I są, jak pan widzi. Są bardziej obecni na świecie, niż my!

— Inne czasy, inne metody, inna władza. Te czterysta habsburskich lat poczyniło mniej spustoszeń niż czterdzieści lat sowieckiego panowania. O czym pan mówi, panie inżynierze?! Stary Kraków do dzisiaj z sentymentem wspomina cesarza. Austria, mój Boże! O czym pan w ogóle mówi...

— Pod Habsburgiem nie było Czechom tak wesoło. Nam też nie! Dopiero ostatnie dziesięciolecia... To jest kwestia opcji. Albo, albo. Jak pan sobie wyobraża nasze istnienie bez ochronnego parasola Rosji? Jak pan to sobie wyobraża? Komunizm? Nie jestem zachwycony. Ale chyba czas najwyższy zrozumieć, że nie jesteśmy Zachodem. Jesteśmy katolickim Wschodem!

Paweł znów się roześmiał.

— Nie rozumiem. Jakiś przedziwny wynalazek. Katolicki Wschód? Jaskółka, albo orzeł na dnie oceanu. Stwórz nie do życia.

— Dlaczego jaskółka w oceanie? Może być na przykład skrzydlaty koń. Coś bardzo pięknego!

— Upiór, proszę pana! Trzeba sobie najpierw odpowiedzieć na pytanie kim jest człowiek? Jaki sens jego życia na tej ziemi? Co na to pański katolicyzm, pańskie przywiązanie do godności osoby ludzkiej, jej niepowtarzalności i suwerenności wobec świata? Jak pan to może łączyć z cywilizacją kolektywną, panie inżynierze?

Gruszecki wzruszył ramionami.

— Rosja też jest dziełem bożym — odparł. — Bóg nigdy Rosji nie porzucił, ona nigdy nie porzuciła Boga. Niech pan nie przymierza Rosji do chwili bieżącej.

— Ale jest taka, jaka jest — zawołał Paweł. — Czy pan tego nie widzi? Zresztą nie idzie o Rosję. Nikt tutaj nie miał aspiracji, żeby zbawić cały świat. Wywalczyć kawałek autentyczności, szczyptę własnej prawdy. Tylko o to chodziło!

Nagle doznał uczucia straszliwej beznadziejności, przejmującego smutku. Za późno, pomyślał. On ma rację, ten Gruszecki. Coś skończyło się raz na zawsze, dawno temu, na moich oczach, przy moim udziale. Wtedy się skończyło. I nigdy nie wróci. Gdzie szukać autentyczności, jeśli nie ma już Kruczej i Marszałkowskiej, Mariensztatu i Krochmalnej. Jaka własna prawda może ożywić to miasto, które podniesiono z ruin jak

dekorację teatralną, skoro nie ma już ludzi, ani jednego człowieka nie ma na Kercelaku, Długiej, Koszykowej. Nawet kamienie, które przetrwały, znajdują się teraz gdzie indziej. Ani jednej kropli tamtej wody w Wiśle, ani jednego liścia z tamtych kasztanów w ogrodzie Krasińskich, ani jednego spojrzenia, okrzyku, uśmiechu. On to powinien wiedzieć, właśnie on! Mały Hirschfeld powinien to wiedzieć. Coś skończyło się nieodwołalnie, bo przecięta została nić, która dawniej łączyła historię ze współczesnością. Kiedyś pokolenia przekazywały sobie płonąca pochodnię. Gdzie jest pochodnia, którą trzymałem w rękach, pewny, że to ta sama, zapalona przed stuleciami? Gdzie się podziała pochodnia miejskiego pachółka, co oświetlał drogę przed Wazą i Poniatowskim, ta sama, która się paliła w warsztacie Kilińskiego, nad głową Nabelaka, w celi Traugutta, na placu Zamkowym, gdy Dziadek w trumnie jechał do Krakowa, w okopach Września, w bunkrze na Gęsiej, na barykadzie przy Mostowej? Gdzie jest ta zgasła pochodnia prawdy i autentyczności, którą niedawno znów chcieli zapalić stocznio-wcy Gdańska? Czy tym razem przegraliśmy ostatecznie i na zawsze? Czy te bez mała czterdzieści lat to już jest nowa jakość, przejście do stanu nieodwracalnego upośledzenia naszej duszy? Przecież po raz pierwszy, pierwszy, pierwszy sama Polska Polskę zhańbiła i wdeptała w błoto!

— O czym pan myśli? — spytał cicho Gruszecki.

— O swoim internowaniu — odparł Paweł. — Krótka, trywialna historia. A jednak w sensie duchowym to było gorsze od kacetu. Kiedy patrzyłem na mazowieckie i małopolskie twarze chłopaków w milicyjnych panterkach, spadałem w przepaść.

— Nie byli przecież dla pana brutalni — mruknął Gruszecki.

— Nie byli brutalni, ale po prostu byli. Z orzełkami na czapkach. Na rozstawionych szeroko nogach. I przy konfesjonale także. Bo razem z nami chodzili na niedzielne msze, kiedy przyjeżdżał kapelan.

— No, właśnie — mruknął Gruszecki — więc jednak...

— Wolne żarty, inżynierze. Nie idzie o tych chłopaków, którzy pewnie mieli swoje czarne sny. Idzie o jakiś nowy kształt Polski, przerażający i beznadziejny, bo przecież...

Urwał. Bez sensu, pomyślał. On tego nie chce zrozumieć. Biedny polonus, potomek Rzeczypospolitej Obojga Narodów. On tego nie chce zrozumieć, bo mu się świat zawali na głowę. A czy ja zrozumiałem, o co właściwie idzie? Na czym polega ten

mój spiszek przeciwko historii? Panie Boże, to przecież nieprawda, że zawsze była jedna pochodnia, wspólny cel, solidarność! To przecież nieprawda, wieczne polskie kłamstwo. On ma chyba rację, że mam duszę romantyczną. Inaczej, niż sądzi, ale jednak romantyczną. Śmieszny jestem! Ta ostatnia próba była potrzebna. Nieodzowna. Błogosławiona. Nareszcie zdechł mit o naszej wyjątkowości, o tym polskim cierpieniu, które zawsze było czyste, prawe i szlachetne. Czyż pochodnia nie oświecała twarzy powieszonych zdrajców? Czy nie umykali przed jej blaskiem szpicle Konstantego? Kto wydał Traugutta? Kto opłacał kozackie sotnie przeciw robotnikom w piątym roku, w Łodzi, Sosnowcu, Warszawie? Kto bił w Berezie i katował w Brześciu? Kto przepędzał Henia Fichtelbauma na warszawskich ulicach? Kto wydał Irmę w łapy Niemców? Kto ją z Polski wygnał? Święta Polska, cierpiąca i mężna. Polskość święta, zapita, skurwiona, sprzedajna, z gębą wypchaną frazesem, antysemicka, antyniemiecka, antyrosyjska, antyludzka. Pod obrazkiem Najświętszej Pani. Pod stopami młodych oenerowców i starych pułkowników. Pod dachem Belwederu. Pod mostem. Święta polskość pod knajpą i kasą. Tępe pyski granatowych policjantów. Lisie mordy szmalcowników. Okrutne twarze stalinowców. Chamskie gęby Marca. Przerażone gęby Sierpnia. Pyszałkowate gęby Grudnia. Święta polskość bluźniercza, która się ośmieliła nazywać Polskę Chrystusem Narodów, a hodowała szpiclów i donosicieli, karierowiczów i ciemniaków, oprawców i łapowników, ksenofobię podniosła do rangi patriotyzmu, u obcych klamek się wieszała, składa wierнопoddające pocałunki na dłoniach tyranów. Ta ostatnia próba była potrzebna! Nieodzowna. Błogosławiona. Może wreszcie teraz Polska zrozumie, że łajdactwo i świętość w jednym stoją domku, także i tutaj, nad Wisłą, jak wszędzie na całym bożym świecie!

Spojrzał w bok, na profil Gruszeckiego. Nie powiem mu tego, myślał, bo jest jeszcze w moim sercu szczypta miłosierdzia. Dość własnych nieszczęść dźwiga na karku ten mój Hirschfeld — podkanclerzy koronny. Bóg dał schronienie jego skołataną duszę. Nie będę zakłócał spokoju, okupionego cierpieniem pokoleń. Lubię go. Ostatni, co tak pięknie poloneza wodzi! A z profilu odrobinę przypomina Henia. Może jednak wcale profilu Henia nie pamiętam? Tak chciałem zapamiętać, tak żarliwie zapamiętywałem wtedy, na rogu Książęcej, a przecież nie pamiętam! Jaki nos miał Henio? Jaki kształt podbródka? Kiedy przychodzi w snach, zawsze widzę go *en face*. W czapce

narciarskiej na głowie. W tym płaszczu zniszczonym, z naderwanym guzikiem. Ale profilu nie pamiętam. Czy miał nos wydatny? Żydowski? Jak ten tutaj, który milczy strapiony, pyka fajkę i myśli zapewne, że jestem jednym z nielicznych ludzi na świecie, którzy znają jego święte tajemnice?

Gdzie się podziała nasza wolność, jeśli nie możemy być sobą? Gdzie się podziałem, kiedy się zawieruszyłem?

XVII

Świat kłamał. Każde spojrzenie było złajdaczone, gest podły, krok nikczemny. Bóg powstrzymywał jeszcze próbę najcięższą, jarzmo języka. Nie spuścił jeszcze z łańcuchów sfory niezmordowanych, okrytych pianą obłudy słów. Słowa ujadały tu i ówdzie, lecz były jeszcze słabe, wciąż na uwięzi. Nie słowa wtedy zabijały, dopiero później miała z nich wyrosnąć banda morderców. Jarzmo słów jeszcze nie nadeszło, gdy Broniek Blutman znalazł się przed obliczem Stucklera. Stuckler stał w jasnym prostokącie okna. Za oknem poruszała się na wietrze zazieleniona gałązka.

— Kłamała — powiedział Blutman. — Znam ją sprzed wojny.

Stuckler pokiwał głową.

— Żyd nie może poddawać w wątpliwość słów Niemca — rzekł spokojnie. — Nie idzie o pomyłkę, choć nie powinny się zdarzać, ale o upór i pewność siebie.

— Panie Sturmführerze, mnie pamięć nie myli. Przed przyjściem tutaj wcale nie udawała, że...

Stuckler uderzył go w twarz. Broniek Blutman cofnął się, opuścił głowę i zamilkł. Świat kłamał. Jego fundamenty były przeżarte kłamstwem, podstępem i nikczemnością. Dwuznaczność kłamstwa, jego wieloznaczność i zwielokrotnienie, przyprowadziły o zawrót głowy. Wielość zdrad i poniżeń. Rozmaitość sposobów, metod i ucieleśnień zdrady. Zdradziłem tę Żydówkę, ale i ona mnie zdradziła. Tego nawet Chrystus nie przewidział. Był nazbyt prostolinijny. Do Judasza mówił „Przyjacielu!”, do Piotra wołał — „Precz, szatanie!”. Może miał takie poczucie humoru?

Stuckler znów uderzył i Broniek Blutman znów się cofnął. Skłamanym świat. Wszystko na opak. Nawet Chrystus wypowia-

dał zdania, które były rodzajem zdrady i kłamstwa. Powiedział do jawno grzesznicy — „Idź, i nie grzesz więcej!”. Jakże mogła nie grzeszyć, skoro była jawno grzesznicą, a nie rozkazał jej przecież, by porzuciła nierząd i stała się opiekunką udęczonych.

Przecież pamiętam ją sprzed wojny, tę Żydówkę! Żaden Niemiec, żaden Polak nie posiada nawet setnej części mojego instynktu, noszę w sobie żydowską busolę, o jakiej tamci nie mają wyobrażenia. Żyd zawsze pozna Żyda. Ten głupi, ciemny bandyta powinien to wiedzieć. Można mi zaufać. Dlaczego? Jeśli zdradziłem tamtych, jego mogę zdradzić także! Wszystkich mogę zdradzić, bo sam zostałem zdradzony.

Stuckler wymierzył trzeci policzek. Dłoń Stucklera była trochę spocona, ciepła. Bronek Blutman już się cofnął. Uderzenie było lżejsze. Teraz mnie zabije, pomyślał.

— A więc? — rzekł Stuckler. — Jednak pomyłka, nieprawdaz?

Dlaczego chce mnie poniżyć nawet tutaj, gdzie poruszam się stokroć pewniej od niego, od nich wszystkich razem wziętych?! Zaglądał jej do ucha, szukał znaków, których nigdy nie było. Może to żydowskie ucho, jak muszla wydobyta z oceanu, szumi dla niego szelestem piachów Judei? Nie ucho, Stuckler, ale spojrzenie! Ja to widzę, Stuckler, mnie żaden Żyd nie oszukał! W promieniu światła, który się odbija w żydowskiej źrenicy, widzę starego Mojżesza, święto paschy i święto namiotów, Arkę Przymierza widzę wyraźnie, twarze wszystkich dwunastu plemion Izraela, i Garizim widzę, i Sychem, i Betel, i Hebron, wszystko widzę w jednym żydowskim spojrzeniu, od Idumei, przez Karmel, aż do Taboru i jeziora Genezaret, a nawet dalej, bo widzę Dan, i dalej jeszcze widzę, aż po górę Hermon. Dlaczego chce mnie poniżyć na mojej własnej ziemi? Nie było pomyłki, to on wpadł w sidła zdrady, nie trzeba było budować świata zdrady, Stuckler, teraz świat zdrady pochłonął ciebie bez reszty, ale ja nie pomyliłem się, jestem władcą na mojej ziemi, nikt na tej ziemi nie będzie silniejszy ode mnie.

— Panie Sturmführerze — powiedział Bronek Blutman. — Pomyłki zdarzają się każdemu. To się więcej nigdy nie powtórzy.

Niepotrzebnie mówię. I tak zostanę zabity. Wszystko jest skłamanie, zhańbione i wdeptane w ziemię. Dlaczego miałbym wyrastać ponad poziom? Więc mówię — pomyłka. Mówię — pomyłka, i jeszcze raz dopuszczam się zdrady, tracę swoją war-

tość, po co Stucklerowi gość, który popełnia pomyłki, takiego gościa trzeba odstawić na Umschlagplatz bez chwili zwłoki, od pomyłek to Stuckler ma własnych partaczy o spasionych karkach i ślepiach wołu, ma także Polaków od pomyłek, po co mu Żyd, który popełnia omyłki? Żydzi są na świecie od tego, żeby ich zabijać i żeby nie popełniali omyłek. Nie popełniłem omyłki i zostaną zabity. Czy taki świat może istnieć?

— Ostatni raz toleruję pomyłki — rzekł Stuckler. — Wy-nocha!

Wcale nie krzyknął, powiedział wszystko tonem spokojnym, może nawet dość uprzejmie. Wrócił za biurko. Prostokąt okna był pusty. Tylko zielona gałązka i kawałek nieba. Broniek Blutman uklonił się z szacunkiem, ale bez uniżoności. Wyszedł z gabinetu, zamykając za sobą drzwi. Przemierzył sekretariat, korytarz, schody. I tak mnie zabijają. Nie dziś, to jutro. Nie zabijając mnie dziś, popełnił omyłkę. Obaj popełniliśmy omyłkę, bardzo to zabawne. Popełniłem omyłkę, ponieważ jej nie popełniłem, on ją popełnił ponieważ oczekuje, że nie popełnię omyłki, która będzie omyłką, bo jeśli nie będzie omyłką, to popełnię omyłkę. Bardzo to zabawne. Kłamstwo, zdrada, poniżenie, łajdactwo, donos, mord, bestialstwo, skurwienie, pomyłka, pomyłeczka, pomylenie, pomylenieństwo...

Stanął na ulicy. Drzewa zielone, niebo błękitne. Zdrada zielona, kłamstwo błękitne. Nie ma świata, pomyślał Broniek Blutman. Świat umarł. Skończył się. Nigdy więcej nie będzie świata. Zdechł na wieki wieków. Amen. Pomyłka, pomyślał. Jeśli tak wielki, mądry Żyd, jak Jezus Chrystus popełniał omyłki i błędził, to za kogo siebie masz, Bronieczku! Jesteś mały Żydek, metr i osiemdziesiąt cztery centymetry wzrostu, kawał Żyda, można powiedzieć, a jednak mały Żydek, Bronieczku. Pomyłka? Niech mu będzie, że pomyłka. Od dzisiaj omijam łukiem panią Seidenmanową. Wszystkie kurwy warszawskie z przedwojennych dancinów omijam łukiem, którego cięciwą jest moje żydowskie oko. Wypuszczam zabójcze strzały do chałciarzy, domokrażców, zdechlaków. Omijam kurwy żydowskie, bo ich uszy, jak muszle z mórz południowych, śpiewają muzykę zbawienia. Świat ufundowany został na zdradzie, kłamstwie i poniżeniu. Nie da się ukryć, że Kain jednak zarznął Abła. Nie da się ukryć! Na początku była zdrada, kłamstwo i poniżenie Kaina. Co mu więc pozostało innego, jak tylko podnieść kamień i zatłuc Abła? Co mu innego pozostało, skoro Bóg nie dawał żadnego wyboru?

Bronek Blutman wszedł do rikszy i kazał jechać na plac Narutowicza. Rikszarz sapał i pochrząkiwał.

— Co panu jest? — spytał Broniek Blutman.

— Grypa mnie rozbiera.

— Trzeba było zostać w łóżku.

— Jeden może, drugi nie może — odparł rikszarz. Potem milczeli. Nad uchem Bronka Blutmana wciąż rozlegało się ciężkie sapanie. Na placu Narutowicza dał rikszarzowi suty napiwek.

— Postaw pan sobie bańki — rzekł odchodząc.

— Wolę wypić ćwiartkę — odparł tamten.

Znów pomyłka, pomyślał Broniek Blutman. Nikomu nie można dogodzić.

Wszedł do knajpy, usiadł wygodnie przy stoliku, zamówił porządny obiad. Ojciec Bronka, stary Blutman, mówił często: „Jak masz zmartwienie, to nie martw się, najpierw trzeba dobrze zjeść, potem będziesz się martwić”. Pomyłka, pomyślał Broniek Blutman. Jego ojciec poszedł na Umschlagplatz przy pierwszych selekcjach. Od dawna nie jadł i martwił się, jakby było o co. Stary Blutman też popełnił omyłki. I Jezus Chrystus. Wszyscy, nie wyłączając Pana Boga. Więc w czym rzecz, Broneczku?

Kiedy zjadł, znów doszedł do przekonania, że zostanie zabity. Nie dziś, to jutro. Na początku było zabójstwo, pomyślał. Pomyłka. Na początku było słowo. Ale Bóg trzymał w odwodzie tę strasliwą sforę. Jeszcze świat nie dojrzał do jarzma słów.

Wieczorem Broniek Blutman odwiedził kochankę. Wykąpał się, włożył wiśniowy szlafrok frotté. Kochanka przyglądała się Bronkowi. Siedziała w głębokim fotelu, miała na sobie tylko majteczki kolorowe, jedwabne pończochy i podwiązki z niebieską mereżką. Siedziała w fotelu, jej nagie duże piersi wyglądały jak pagórki, a umalowane wargi jak rana przez środek twarzy. Patrzyła na Bronka Blutmana spod przymkniętych powiek, bo jej się wydawało, że tak należy patrzeć na Bronka Blutmana. Była głupią kobietą, wychowała się w biedzie i kinie. Jej ojciec był bileterem, przynosiła mu wieczorami kolację w garnuszku i przyglądała się filmom, stojąc za kotarą przy drzwiach z napisem „Wyjście”. Zawsze widziała filmy w perspektywnym skrócie. Wydłużone twarze i nieskończone spojrzenia. Takim namiętnym, nieskończonym spojrzeniem dotknęła twarzy Bronka Blutmana. Chciała żeby ją posiadał na fotelu, jak nigdy dotychczas. Pomyłka, pomyślał Broniek Blutman,

ani mi w głowie takie figle. Idę spać. Pomyłka, bo jednak postawiła na swoim. Broniek Blutman sapał jak riksarz, chory na grype. Potem zasnął. Śniło mu się, że jest stary. Pomyłka. W rok później został rozstrzelany w ruinach getta. Wcale się nie pomylił, kiedy myślał, że i tak go zabiją.

XVIII

Profesor Winiar, matematyk, otoczony sympatią i szacunkiem kilku pokoleń wychowanków, których przez bez mała pół wieku karmił zerem i nieskończonością, stał na przystanku tramwajowym, trzymając w prawej dłoni parasol, w lewej zaś zwiniętą w rulon gazetę *Nowy Kurier Warszawski*, której tego dnia nie zdążył być jeszcze przeczytać. Obok profesora zatrzymała się tęga kobieta, odziana w płaszcz granatowy z aksamitnymi wypustkami. Tramwaj długo nie nadjeżdżał. Przystanek znajdował się przy Placu Krasieńskich, niegdyś ruchliwym punkcie miasta, gdzie się stykały dwa światy. Profesor Winiar dobrze pamiętał plac z lat minionych, mieszkał bowiem na ulicy Świętokrzyskiej i tędy biegła jego droga ku dzielnicy śródmiejskiej, gdzie mieścił się gmach gimnazjum, w którym wykładał matematykę. Plac w dawnych czasach był dla profesora miejscem nader miłym, a nawet w pewnym sensie symbolicznym, ponieważ matematyk był liberałem, chrześcijaninem, niepodległościowcem oraz filosemitą. Nie zdarzało się to zbyt często i stanowiło w tej części Europy melanż tyleż szlachetny, co osobliwy. Jednakże od pewnego czasu plac, na którym profesor Winiar bezskutecznie czekał na tramwaj, zmienił oblicze i wydawał się wychowawcy młodzieży ponury oraz odpychający. Profesor stojąc na przystanku, mógł widzieć, z racji swej wysokiej sylwetki oraz giętkiej szyi, na której umieszczona była nieduża lecz mądra głowa, czerwony, wysoki mur, oddzielający dzielnicę aryjską od getta. Widok ten, nie wiedzieć czemu, zawsze upokarzał profesora, zamiast napawać go dumą, że należy do lepszej rasy ludzkiej. Być może jednak uczucie przygnębienia i poniżenia, jakie ogarniało profesora Winiara, ilekroć spoglądał na mur getta, wynikało z przekonania, iż po tamtej stronie cierpią również jego uczniowie, a wśród nich najlepszy matematyk kilku roczników szkolnych, wychowanek nazwiskiem Fichtelbaum. Wychowanka Fichtelbauma widział profesor Winiar po raz ostatni przed trzema laty, lecz doskonałe

pamiętał rumianą twarz o nieco kapryśnych ustach i ciemnych oczach. Profesor Winiar miał znakomitą pamięć właśnie do twarzy. Mylił często nazwiska uczniów, niemal z reguły nie pamiętał imion, lecz rysy twarzy wychowanków nosił w sobie z dokładnością wprost fotograficzną. Zapamiętywał także gesty uczniów. Na przykład wychowanek Kryński, chłopiec o marzycielskim spojrzeniu i umiarkowanych talentach matematycznych, zwykł podnosić rękę, prosząc o głos, w sposób wielce charakterystyczny, łokieć trzymając przy piersi i wystawiając w górę dwa palce, serdeczny i wskazujący, w zupełnej zgodzie z polskim regulaminem wojskowym. Uczeń ten miał, jak się wydaje, jakieś związki rodzinne z armią, czego profesor Winiar nie pochwalał, ponieważ po Wielkiej Wojnie, na domiar wszy-
stkiego, stał się także pacyfistą.

Otóż matematyk cierpiał. Kiedy utworzono dzielnicę żydowską, opuścił był swe mieszkanie i przeniósł się blisko, ku południowej stronie placu Krasieńskich, do domu przy ulicy Długiej. Był to błąd, wypływający z matematycznej logiki profesora. Chciał pozostać na starych śmieciach i oglądać z dala swój dawny dom w rejonie getta, bo liczył, że wojna nie potrwa długo. Należało przyjąć inną postawę, może mniej racjonalną, lecz profetyczną. Sąsiedzi profesora Winiara, gdy przyszło porzucić domowe pielesze przy Świętojerskiej, przenieśli się na dalekie krańce miasta. Było w tym coś z palenia za sobą mostów, co profesor Winiar uważał za małoduszne, a może nawet niegodne. Pozostał więc. Stąd jego cierpienie. Dniem i nocą bywał świadkiem triumfu zła. Niemal przez ścianę mordowano sąsiadów. Pokrzepiała go myśl, że Bóg i Polska skrupulatnie notują te zbrodnie, a w dniu sądu ogłoszą wyroki. Bóg w terminie nieco późniejszym, bo w zaświatach, Polska zaś w trybie doraźnym. Jednakże cierpiał, ponieważ wiedział, że najsurowszy wyrok nie wróci życia zgładzonym sąsiadom i nie osuszy wylewanych łez żydowskich.

Tramwaj nie nadchodził. Wiał chłodny wietrzyk. Kobieta, stojąca obok profesora, zapięła pod szyją kołnierz płaszcza. Daleko, za murem getta ozwały się strzały z broni palnej. Profesor Winiar przywykł do tych odgłosów. Lecz oto nagle, ku zdumieniu wychowawcy licznych pokoleń gimnazjalistów, dotarł do jego uszu także inny dźwięk, nadzwyczaj osobliwy. Rozległy się takty melodii z potężnej katarynki. Słychać byle czynele, i perkusję, i werbelki, a także, być może, skrzypki, hasetle, fleciki, czego profesor Winiar osądzić nie mógł, bowiem jego kultura muzyczna była niska, a słuch przytępiony. Lecz

nie ulegało wątpliwości, że na placu rozlegała się wesoła muzyka i profesor przypomniał sobie karuzelę, którą przecież niedawno tutaj zbudowano. Stała niemal pod murem getta, kolorowa i radosna, jak wszystkie karuzele na świecie. Były tam konie białe o czerwonych chrapach, gondole weneckie, powoziki, sanie, a nawet wielkopańska karetka. Wszystko to kręciło się w takt muzyczki, mechanizm karuzeli pojękiwał, konie galopowały, gondole płynęły, sanie sunęły, powozy podskakiwały, a wszystko razem szumiało, furkotało, dźwięczało i kręciło się w kółko, pośród wybuchów śmiechu, pisków zalęknionych panienek, okrzyków młodych mężczyzn, wesołego przekomarzania się, chichotów i pieszczot. Profesor Winiar spojrział na karuzelę, zobaczył rozpędzony, kolorowy krąg, roześmiane twarze, rozwiązane wiatrem włosy dziewcząt, białe plamy nagich łydek i ud, czupryny, koszule, spódniczki, cholewki, majteczki, krawaty, chorągiewki, grzywy końskie, lampiony, ławeczki, łańcuszki, łabędzie, motylki. Profesor zobaczył ten śliczny, muzyczny, mechaniczny, paniczny wir i usłyszał wrzask katarynki, trzask broni maszynowej, wrzask Żyda, trzask mechanizmu karuzeli.

Kobieta w zapiętym pod szyję płaszczu powiedziała:

— Ja wolę tramwajem.

Spojrzeni sobie w oczy. Gdyby kobieta wyrzekła te słowa wcześniej, może profesor Winiar chwyciłby się ich jak ostatniej deski ratunku, jak liny holowniczej — i wydzwignął na brzeg nadziei. Ale przemówiła zbyt późno. Profesor Winiar, matematyk, wypuścił z dłoni gazetę, zakręcił pirueta, jakby sam znajdował się na karuzeli, i padł bez życia na chodnik.

Nie jest wiadome, jakie myśli towarzyszyły mu w chwili ostatecznego upadku. Kobieta w płaszczu zapiętym pod szyję poinformowała później krewnych matematyka, iż już w pozycji leżącej, z powiekami zamkniętymi, wciąż ściskając parasol w kurczowo zaciśniętej dłoni, profesor wyszeptał sinymi wargami słowa, które mogły znaczyć — „O, Polsko!”, lub „Oj, Polacy!” — ale sprawa pozostała niewyjaśniona. A jednak podczas pogrzebu profesora Winiara żegnający go mówca, gimnazjalny wykładowca fizyki, z którym zmarły od lat pozostawał w zażyłej przyjaźni, oświadczył zgromadzonym żałobnikom, iż matematyk Winiar „padł na posterunku”. Było to zgodne z prawdą. Trumnę ze zwłokami zmarłego od cementarnej bramy aż do mogiły nieśli na ramionach dawni wychowankowie, wśród nich wychowanek Paweł Kryński, uczeń matematycznie uzdolniony słabo, jednakże przez nieboszczyka lubiany. Wśród obec-

nych na pogrzebie zabrakło wychowanka Fichtelbauma i kilku innych wychowanków wyznania mojżeszowego, których los pośrednio zaważył na losie profesora Winiara. Ci nieobecni, wszelako, jak można było wnioskować, zdążyli wyprzedzić matematyka w drodze do wieczności.

W czasie pogrzebu padał drobny, dokuczliwy deszczyk. Panie chroniły się pod parasolkami. Panowie szurali kaloszami po źwirowanych alejkach cmentarza. Kiedy mogiłę pokryły wiązanki skromnych kwiatów, żałobnicy rozeszli się. Niektórzy z nich, mimo deszczu, przechadzali się jeszcze przez jakiś czas pośród grobów, odczytywali nazwiska zmarłych i daty ich śmierci, wyryte na kamiennych tablicach i płytach marmuru, komentowali z żywością losy tych, których znali osobiście lub pamiętali z przeszłości Polski. Ludzie starsi oswajali się podczas tego spaceru z myślą o własnym rychłym odejściu, młodzi krzepili swój patriotyzm. I jedno i drugie było bardzo na czasie. Niewielu tych żałobników miało przetrwać wojnę i doczekać czasów, kiedy o profesorze Winiarze już nikt nie pamiętał i nikt już nie twierdził, że padł na posterunku. Bądź co bądź w czasach, które miały nadejść po wojnie, taki liberał, chrześcijanin i pacyfista jak profesor Winiar nie mógł liczyć na popularność. Nie ulegało też wątpliwości, że matematyk padł na przystanku, nie na barykadzie, a padając nie trzymał w stygnącej dłoni karabinu, lecz parasol, na domiar wszystkiego łatany, bo matematyk był człowiekiem ubogim.

W dniu pogrzebu profesora Winiara karuzela na placu Kraśńskich kręciła się nadal, koniki galopowały, powoziki podskakiwały, sanie sunęły, gondole pluskały, chorągiewki furkotały, panny piszczały, młodzieńcy pokrzykiwali, katarzynka skrzypiała, mechanizm karuzeli dudnił, wystrzały z broni maszynowej rozlegały się coraz donośniej, wybuchały pociski armatnie, huczały płomienie i tylko żydowskich jęków nie było słyszeć spoza muru, bo Żydzi umierali w milczeniu, odpowiadali granatami i bronią ręczną, ale usta ich milczały, już bowiem byli umarli, bardziej niż kiedykolwiek przedtem, bo mężnie wybierali śmierć zanim jeszcze nadeszła, wychodzili jej naprzeciw, w ich dumnych oczach była cała wzniosłość dziejów ludzkich, odbijały się w nich pożary getta, przerażone pyski esesmanów, ogłupiałe pyski polskiej gawiedzi, zgromadzonej wokół karuzeli, smutna twarz nieboszczyka profesora Winiara, odbijały się więc w ich oczach wszystkie dalekie i bliskie losy świata, całe zło świata i okruch jego dobra, a także twarz Stwórcy, zaspiona i gniewna, smutna i cokolwiek upo-

korzona, bo Stwórca odwracał oczy ku innym galaktykom, aby nie patrzeć na to, co zgotował nie tylko umiłowanemu ludowi, ale wszystkim ludziom ziemi, zhańbionym, współwinnym, podłym, bezradnym, zawstydzonym, a pośród wszystkich ludzi ziemi także temu człowiekowi, który stojąc na przystanku tramwajowym, dokładnie w miejscu, gdzie przed kilku dniami profesor Winiar padł na posterunku, powiedział pogodnie:

— Żydki się smażą, aż skwierczy!

Z nieba, osnutego dymami żaden grom jednak nie uderzył i nie poraził tego człowieka, bo to zostało zapisane w księgach stworzenia przed tysiącami tysięcy lat. I było także zapisane, aby profesor Winiar zmarł nieco wcześniej i nie usłyszał słów owego człowieka, który roześmiał się wesoło i poszedł w stronę karuzeli.

XIX

Siodło uwierało go lekko. Zapewne znów źle zaciągnięto popręgi. Coraz częściej musiał się stykać z partactwem. Jakby aura tego kraju tuiła jakiś bakcyl, który przenikał nawet do organizmów jego podwładnych. Wałach uniósł łeb, kopyto zadźwięczało o kamień. Lubił tę harmonię pomiędzy sobą i zwierciadłem. Właśnie w takich chwilach najmocniej czuł związek swego człowieczeństwa z naturą. Drzewa zieleniły się delikatnie, w powietrzu czuło się wiosnę, nad stawem przeleciał delikatny, ciepły wiatr, zmarszczył gładką powierzchnię wody. Kiedyś to się skończy, pomyślał Stuckler. Arkadia nie trwa wiecznie. Wałach szedł teraz stępa w cieniu rozłożystych kasztanów i lip. Nagie jeszcze gałęzie odsłaniały widok na jasny pałac i ułamki antycznych kolumn, które zdawały się wyrastać z wody, jak ruiny zatopionej budowli. Wszystko jest tutaj falsyfikatem, pomyślał, nawet piękno, które stworzyli jest fałszywe. Lekko uderzył szpicrutą zad wierzchowca. Wałach przeszedł w wyciągnięty kłus. Wiaterek zagwizdał, teraz Stuckler słyszał szelest osuwających się spod kopyt kamieni i pełny, dostojny tętent. Znów pomyślał, że to się kiedyś skończy. Ta straszna wojna kiedyś się skończy, nastąpi powrót do banalności. Lecz jeśli przegramy wojnę, pomyślał, nie będzie dla nas miejsca pod słońcem. Tak było zawsze. Horda zaleje Europę. Barbarzyńca triumfować będzie na ruinach. Wstrzymał konia. Słońce stało wysoko na niebie, przeświecało przez korony bezlistnych jesz-

cze drzew. Cienie gałęzi kładły się na murawie. Barbarzyńcy ogłoszą, że byliśmy zbrodniarzami, wyrzutkami rodzaju ludzkiego. Prowadzimy tę wojnę w sposób okrutny, ale wszystkie wojny są jednakowo okrutne. Przypiszą nam największą hańbę od początku świata, jak gdyby to wszystko działo się po raz pierwszy w historii ludzkości. A przecież nie czynimy nic, czego inni nie uczyniliby przed nami. Zabijamy wrogów naszego narodu, by odnieść zwycięstwo. Zabijamy w wielkiej skali, ponieważ świat poszedł naprzód i wszystko odbywa się teraz w wielkiej skali. To śmieszne i żałosne, ale jeśli przegramy wojnę, zwycięzcy ogłoszą, że dokonywaliśmy masowego mordu, zupełnie jak gdyby mord bardziej umiarkowany był usprawiedliwiony. Na tym polega ta ich moralność, w imię której prowadzą wojnę. Jeśli przegramy, sporządzą bilans ofiar i dojdą do wniosku, że byliśmy zbrodniarzami bez sumienia. Kazałem zabić nie więcej jak stu Żydów. Gdybym kazał zabić tylko dziesięciu, czy byłbym bardziej moralny i godny zbawienia? To nonsens, ale przecież tak właśnie powiedzą, jeżeli wygrają tę wojnę. Będą liczyć umarłych i nie przyjdzie im do głowy, że zabijałem wielu, aby zwyciężyć. Gdybym zabijał niewielu, oszczędzał wrogów, byłbym zdrajcą własnej sprawy, bo miłosierdzie na wojnie jest działaniem na korzyść przeciwnika, pomniejszeniem własnych szans. Tak było zawsze. Żydzi? Polacy? Rosjanie? Każdy oszczędzony Żyd czy Polak może sprawić, że zginie na tej wojnie Niemiec, człowiek mojej rasy i krwi. Ale jeśli wygrają, uczynią mi zarzut, że byłem bezlitosny, zapomną o tym, że tak było zawsze, zapomną także o swoim własnym okrucieństwie i braku litości. Nie wymyśliłem wojny, Adolf Hitler też jej nie wymyślił. To sam Bóg uczynił ludzi wojownikami. Tak było zawsze.

Koń zatrzymał się. Stuckler czuł na karku ciepło promieni słonecznych. Woda stawu marszczyła się lekko. Pusto było wokoło, jakby go koń przywiódł na sam koniec świata.

Fałszywe kolumny na tle fałszywej wody wydawały się piękne. Stuckler westchnął głęboko. Spojrzał w niebo. Bóg? Czy rzeczywiście istnieje? W XX wieku niełatwo wierzy się w Boga. Okazaliśmy się tak wytrwali w odkrywaniu tajemnic natury, że dla Boga zostaje coraz mniej miejsca, gdzie mógłby się ukryć w swej zagadkowości. Jeśli jest prawdą, że wszystko od Niego pochodzi, to także wojnę nakazał rodzajowi ludzkiemu. Jesteśmy więc dobrymi wojownikami.

Lecz Stuckler nie posiadał umysłu filozoficznego. Pochodził

z rodziny młynarzy, którzy przed stu laty osiedli nieopodal Saalfeld, w Turyngii. On sam jeszcze w początku lat dwudziestych był młodym młynarzem. Potem wybrał inną drogę. Był rozmiłowany w historii. Rzym starożytny, wędrówki ludów, Rzesza Niemiecka. Kochał czasy minione. Tam odnajdywał męstwo i determinację istoty ludzkiej. Jego bliźni natomiast byli mięczakami. W formacji SS dostrzegał rysy rzymskie. Umysł Stucklera nie był oryginalny. Bolszewików nazywał Hunami. Hordy Attyli! To brzmiało cokolwiek po wagnerowsku. Lubił myśli patetyczne, surowe. Lubił dęby, rosłe konie, głązy, wysokie szczyty spowite chmurami, jakby dymem niewidzialnej pożogi. Był najzwyczajszym pod słońcem esesmanem, bez intelektualnych aspiracji i wyrzutów sumienia. Należał do większości. Później większością okazali się jego hamletyzujący koledzy. Lecz było to fałszerstwo. Gdyby Stuckler dożył tych czasów, uznałby je za błazeńskie. Osobiście znał tylko jednego kolegę z SS, nazwiskiem Otto Staubert, który przeżywał poważne wątpliwości i poddawał się moralnym niepokojom. Staubert zginął na froncie wschodnim jesienią roku 1941. Stuckler był człowiekiem zrównoważonym, kochał silne Niemcy, pogardzał Żydami i Słowianami, prowadził wojnę w taki sposób, aby powiększyć szanse zwycięstwa. Nade wszystko zaś wykonywał polecenia przełożonych. To oni brali odpowiedzialność. Tak było zawsze. Niejeden Stuckler zresztą ulegał konformizmowi. Ostatecznie żył w XX wieku i był tego świadomy. Nie tylko on żywił wrogość do Żydów, niechęć do Polaków, pogardę do Rosjan. Nie trzeba być niemieckim faszystą, żeby myśleć podobnie. Stuckler miał w młodości przykre uczucie osaczenia przez niechętny, obcy świat. Doznawał upokorzeń, ponieważ lekceważono go, jako człowieka bez wykształcenia, o grubiańskich manierach i prymitywnym sposobie bycia. Wydzwignął się dzięki uporowi i sprzyjającym okolicznościom. Był samoukiem, miłoścą do dziejów Rzymu i Rzeszy Niemieckiej pielęgnował samotnie. Często wyrzekał się rozrywek, aby czytać książki historyczne albo nawet kupować je na własność. Ludzie nie potrafili docenić tych starań. Zawsze uchodził za prostaka i wszędzie znajdowali się lepsi od niego. Świat nie sprzyjał Stucklerowi. Innym dawał więcej i po niższej cenie. Adolf Hitler twierdził, że winni są temu Żydzi, komuniści i demokracja. Kiedy Stuckler wstąpił do partii oraz SS skończyły się jego przykre, dokuczliwe poniżenia. Nikt nie uważał już więcej, że jest grubianinem, a nawet zaczęto cenić jego intelektualne aspiracje. Stuckler nie był głupi, więc z czasem za-

świtała mu myśl, że nową pozycję zawdzięcza wpływom NSDAP, a najmocniejszym oparciem jest dla niego hierarchia ruchu hitlerowskiego. W tej mierze okazał się bardziej przenikliwy od wielu współczesnych. Wcale nie uważał się bowiem za mądrzejszego w mundurze, niżeli bez munduru. Pamiętał, że rzymskie opowieści czytał z biciem serca jako młody czeladnik młynarski i właśnie z tamtych czasów wyniósł przywiązanie do historii. Jego rozwój duchowy nie rozpoczął się z chwilą przystąpienia do ruchu, a nawet przeciwnie — właśnie wtedy brakowało mu już czasu na kształcenie się i rozmyślanie o życiu. Niekiedy dochodził do wniosku, że jest oportunistą, który robi karierę w ramach nowej rzeczywistości. Rzeczywistość nie była jednak gorsza od poprzedniej, po prostu ludzie zamienili się rolami i ci, co niegdyś byli na wozie, znaleźli się pod wozem, a inni wleźli na wóz i przejeźli cugle. W młodości ubogi Stuckler pracował w rodzinnym młynie, a zamożni żydowscy hurtownicy wyzyskiwali go. Później on mieszkał ładnie i wygodnie, a Żydzi zamiatali ulice. W pewnym sensie było to sprawiedliwe, odpowiadało duchowi czasów, a także w ogóle aspiracjom ludzkim, bo ludzie dążą do zmian, przeobrażeń i nowych porządków. Świat jest żywy i przekształca się nieustannie. Tak było zawsze.

W pewnym okresie ruch narodowo-socjalistyczny rozpoczął gwałtowne przesładowania przeciwników politycznych, a także Żydów w Rzeszy. Stuckler bynajmniej nie urodził się mordercą bez sumienia, ponieważ mordercy bez sumienia nie rodzą się nigdy i nigdzie. I nikt nie rozpoczynał swej zbrodniczej działalności od podpalenia świata oraz masowych rzezi. Stuckler uczestniczył w wybijaniu witryn sklepów żydowskich, co było może niezbyt godziwym zajęciem i wyglądało dość głupio, także w jego oczach, ale ostatecznie wielkiej krzywdy ludziom nie przysparzało. Żydzi byli dość bogaci i wpływowi, żeby sobie wprawić nowe szyby. Taka nauczka na pewno mogła się im przydać, to ich uczyło pokory i grzeczności. Pokazano im właściwe miejsce! Później Stuckler pobił kilku Żydów. Jeden z nich sygnalizował z niemiecką służącą tego Żyda, która też dostała za swoje, bo była wprawdzie służącą tego Żyda, ale powinna rozumieć, że postępowała niezgodnie z prawem i naraziła na szwank rasę niemiecką. Rasa niemiecka była lepsza od innych, to dla Stucklera nie ulegało wątpliwości, tak jak nie ulegało wątpliwości dla wielu Anglików, że są najświetniejszym narodem ziemi, jak dla Żydów, którzy wierni byli Zakonowi, nie ulegało wątpliwości, że są narodem wybranym przez Boga, a dla

Polaków nie ulegało wątpliwości, że znajdują się pod szczególną opieką Matki Boskiej, podczas gdy Niemcy to krzyżacy, Rosjanie to rabskie dusze, Francuzi to zjadacze żab, Włosi to mandoliniści, Anglicy to kupczyki, a Czesi to tchórzliwe Pepiczki. W tej mierze Stuckler nie różnił się szczególnie od innych ludzi pod słońcem, może tylko dość wcześnie włożył mundur, poczuł się wspólnoty i dostrzegł skuteczność bata. Ludzie są z natury dość słabi, dlatego podoba się im przemoc, a Stuckler był człowiekiem tuzinkowym, jakich większość.

Zabił człowieka, kiedy miał już za sobą wielu pobitych, skopanych i poranionych. Można przyjąć, że pierwsze zabójstwo nie było w pełni świadome, a raczej nawet przypadkowe. Stuckler uderzył zbyt mocno, pomoc medyczna okazała się spóźniona. Był to przykry wypadek i nie jest wykluczone, że Stuckler powracał do incydentu z niechęcią, usiłował go nawet wyrzucić z pamięci. Jednakże potem podobne wypadki zdarzały się coraz częściej, a zresztą wybuchła wojna. Na wojnie zaś jedni zabijają drugich, ponieważ jeśli tego nie uczynią, sami zostaną zabici. Pewnego dnia Stuckler skonstatował, że zabił wielu ludzi, ale mógł bez obawy pomyłki znowu powtórzyć, że tak było zawsze. I miał rację, bo istotnie tak było zawsze.

Stuckler zaciął konia. Znów ruszyli wydłużonym kłusem, w cieniu rozłożystych drzew, wokół gładkiego stawu, w szelstach przyrody. Stuckler czuł się zmęczony i niezbyt szczęśliwy, bo życie w ostatnich miesiącach nie dawało mu ani radości, ani satysfakcji, a myśl o ewentualnej klęsce wojennej działała przygniatająco. Nie lękał się jednak przyszłości, bo z natury był odważnym człowiekiem, na domiar zaś niezbyt inteligentnym i wrażliwym, więc wiedząc, że umrze, jak każdy człowiek, który jest istotą śmiertelną, nie wyobrażał sobie chwili śmierci, nie przerażała go zatem, Boga nie bał się także, ponieważ grzechy swoje uważał za powszednie, takie grzechy każdy na wojnie popełnia, wojna nie była zaś dziełem Stucklera. Gdyby od niego zależało, chętnie nie brałby w niej udziału. Nie sprawiało mu satysfakcji tropienie Żydów i utrzymanie w ryzach tego wściekłego miasta. Wojna odebrała Stucklerowi komfort życia, do którego przywykł przez kilka lat, kiedy ruch sprawował władzę w Trzeciej Rzeszy, a Europa liczyła się z Niemcami, okazywała im szacunek i starała się zaspokoić ich żądania. Bez wojny żyło się Stucklerowi lepiej i był spokojniejszy o przyszłość. Jednakże stało się. Uważał, że musi wykonać do końca swoje powinności Niemca, obywa-

tela Rzeszy, członka partii i oficera policji. To był jego obowiązek, z tym wiązała się kwestia godności.

Teraz kłus wałacha przeszedł w swobodny galop. Grudy ziemi i kamyki pryskały spod kopyt. Stuckler nie myślał już o popręgach, które zresztą trzymały dobrze. Myślał, że jeśli Niemcy przegrają wojnę, Europa najprawdopodobniej już nigdy nie powstanie z upadku. Spuścizna ulegnie zniszczeniu. Zapamiętuje era barbarzyńska. Stuckler nie widział siebie w tych krajobrazach. Nie widział też siebie ze złamanym mieczem, idącego na postronku za kosmatym koniem Huna, na wschód. A jednak czekało go coś podobnego. Nie miał wprawdzie sandałów i tarczy, nie czuł na szyi postronka, ale szedł w gromadzie wielu innych jeńców niemieckich na wschód, a tuż obok przemykali krasnoarmiejscy na zwinnych, małych konikach. Szedł wiele tygodni, potem jechał lorą kolejową przez niekończący się step. Na koniec znalazł się za drutami obozu nad rzeką Ob. Przez kilka lat karczował syberyjskie lasy, coraz słabszy i bardziej zdziczały, aż wreszcie umarł, a jego zwłoki rzucono do głębokiego dołu, który niebawem pokryła wieczna zmarzlina. Umierając nie żałował swych grzechów, bo już wcale nie wierzył w Boga. Może nawet nie pamiętał, że był kiedyś Niemcem, członkiem NSDAP i oficerem służby bezpieczeństwa Rzeszy. Przez wiele tygodni przed śmiercią myślał tylko o jedzeniu.

Również wtedy mógłby powiedzieć, że tak było zawsze. Jeśli tego nie powiedział, to chyba z braku sił fizycznych i duchowych, które potrzebne są do jakiegokolwiek wnioskowania. On zaś umierał z głodu i wyczerpania, poza wszelką moralnością i ocenami etycznymi, do czego bez wątpienia trzeba pewnej ilości kalorii. W gruncie rzeczy los okazał się dlań łaskawszy, niżeli dla tych wszystkich, którzy umierali podobnie jak on, lecz nieco wcześniej i z jego winy. Poprzednicy Stucklera nie zdążyli być ani tak głodni, ani tak zezwierzęceni, by zapomnieć o wiekach kultury, które dźwigali na ramionach. Wciąż jeszcze zdolni byli wyciągać wnioski, oceniać sytuację i wymierzać światu sprawiedliwość wedle norm i zasad, jakie im zaszczerpiono w lepszych czasach. Śmierć przyjmowali wprawdzie niekiedy jako wyzwolenie od cierpień, lecz na ogół umierali świadomi, że są ofiarami tyranii, zbrodni i znikczemnienia świata. Stuckler zbyt długo głodował, żeby na koniec cokolwiek rozumieć. Ostatnie miesiące jego życia już tylko na poły były jawą, na poły zaś snem chorego i niemego zwierzęcia. Zapewne nie pamiętał nawet swego nazwiska, nie mógł więc wów-

czas pamiętać swoich czynów. Umarł bez skruchy i świadomości, a zatem nie wiedział, że ta śmierć była karą za zło, jakiego się dopuścił wobec innych ludzi. W tym sensie edukacja nad brzegami rzeki Ob okazała się chybiona, w każdym razie w przypadku Stucklera. Gdyby go postawiono przed sądem, wysłuchano jego argumentów, skonfrontowano ze świadkami, a następnie ukarano, jak to się zresztą zdarzało wobec niektórych jego towarzyszy broni, może miałby szansę okazania skruchy za grzechy, które zrozumiał, lub tylko ogarnął umysłem. Wyrzucony poza krąg cywilizacji, która go powołała do istnienia, ukształtowała mentalność oraz charakter, skazany na długą vegetację ni to człowieka, ni zwierzęcia, pozostał już tylko bezmyślnym upiorem, poza sferą moralnych ocen i wyborów. Nawet w tej mierze ludzkość nie miała z niego pożytku. Lecz on sam mógłby powiedzieć raz jeszcze, że tak było zawsze.

Koń, posłuszny dłoni jeźdźca, zatrzymał się. Biały obłok zasłonił słońce. Zielona murawa nabrała barwy fioletu. Wokół Stucklera było pusto. Tylko teraźniejszość, pomyślał. Nie lubił pamięci. Może nawet nie lubił życia. Lubił przeszłość odległą. Tam odnajdywał siebie jako symbol, znak. Nawet coś więcej, bo z historii czerpał przekonanie, że uczestniczy w kontynuacji, że zaczął się dawno, co prawda nie w sensie cielesnym, jako syn i wnuk młynarzy z okolicy Saalfeld, członek ruchu, oficer i jeździec na ładnym dereszku, na fioletowej murawie, pod koronami bezlistnych drzew, więc nie cieleśnie zaczął się tak dawno temu, ale w sensie duchowej misji, powinności pewnej części rodzaju ludzkiego. Tak było zawsze. Zawsze byli zdobywcy i okrutnicy, którzy deptali ziemię, aby uczynić ją bardziej uległą, i byli także inni, ofiary łupiestwa, podboju, tyranii, których kości użyźniały ziemię. Takie zapewne było przeznaczenie ludzi, i nie oni wybierali swój los, lecz jakaś siła nadrzędnie porządkująca historię, z której wyroków jedni panowali, inni zaś byli poddanymi. Stuckler wiedział z całą pewnością, że dane mu jest panowanie. Jego powinnością było ziemię deptać, a nie użyźniać swoim ciałem. Tak było zawsze. Czyż wielki Rzym nie został zbudowany na karkach tysięcy niewolników? Kto dzisiaj zna ich imiona? Kto pamięta o ich istnieniu? A przecież dźwigali potęgę imperium, wszystkie rzymskie budowle i podboje, całą rzymską kulturę i cywilizację, która nadal jest święta. Cierpienia niewolników nie zostały żadnego śladu w historii, podczas gdy Rzymianie stworzyli historię wielkich połaci świata. Tam, gdzie sandał rzymskiego

legionisty podeptał ziemię, rozkwitały dzieje człowieka. Iluz niewolników użyźniło tę ziemię swymi prochami? Już Rzym stosował zasadę zbiorowej odpowiedzialności i wyniósł wspólnotę obywateli rzymskich ponad wszystkich innych mieszkańców ziemi. Tylko oni cieszyli się wolnością, przysługiwały im prawa oraz przywileje. Tak było zawsze. I dzięki temu świat po prostu istniał. Jeśli przegramy wojnę, myślał Stuckler, przecięta zostanie nić historii. Narodzi się jakieś monstrum bez pępowiny, ludzkość bez wojowników, a więc słaba, gnuśna i skazana na powolną zagładę. Nasi wrogowie gadają o demokracji. W imię demokracji chcą pokonać Rzeszę. Błazeństwo! Ostatecznie nawet republika rzymska miała swych niewolników. A słynna demokracja ateńska opierała się na niewolnictwie od pierwszej do ostatniej chwili istnienia. Tak było zawsze. Nigdy nie było inaczej. Tak było zawsze.

Stuckler spojrział na zegarek. Minęło południe. Musiał wracać do pracy. Znow zajaśniało słońce. Koń poszedł wyciągniętym kłusem. Stuckler poczuł rześkość. Życie wojownika, pomyślał. Proste, żołnierskie życie. Nawet jeśli przegramy, kiedyś będą nam zazdrościć. Bo jest w nas surowe piękno, coś z aniołów. A także krój naszych mundurów jest jedyny w swoim rodzaju, niedościgniony. Kiedyś będą nam zazdrościć. Tak było zawsze.

XX

Kiedy obudziła się nad ranem, ogarnęło ją uczucie radośnego zdumienia. Przez okno widziała skrawek jaśniejącego nieba, ciemne gałęzie drzew, ich delikatne, zielone pędy. W lustrze toaletki odbijało się łóżko, szafka nocna, fałda świeżo obleczonej kołdry, kształt nagiej stopy. To była jej własna stopa, wychylona poza kołdrę. Zgrabna, szczupła stopa kobieca. Jakie to wspaniałe, pomyślała Irma Seidenman, że budzę się właśnie tutaj! Dopiero teraz odczuła radość życia i przywiązanie do własnego ciała. Oglądała stopę w lustrze, poruszając palcami. Więc jednak ocalałam, myślała radośnie, jestem tutaj, we własnym domu. Lecz nagle przelekkła się, że może zginąć, nie doczekać końca wojny, podzielić los innych Żydów. Przez poprzednie lata liczyła się z taką ewentualnością, ale zawsze towarzyszyło jej przekonanie, że jakoś przetrwa, wydobędzie się z tej sieci. W klatce na ulicy Szucha była pogodzona ze

śmiercią, myślała o minionym życiu, o tym wszystkim, co zostało spełnione. Była spokojna, może nawet pogodna. Z pokorą przyjmowała wyrok losu, straszny, lecz przecież oczywisty, jeden z tego miliona wyroków, jakie zapadały o każdej godzinie. Nastąpiło to, co było nieuniknione. Skłonna była uznać, że to, co nieuniknione jest rodzajem powinności, a zatem śmierć nie wzbudzała w niej moralnego protestu. Dopiero teraz, leżąc w łóżku, o świcie następnego dnia, zaczęła zdawać sobie sprawę, że uniknęła czegoś potwornego, że nieodwołalny koniec był bardzo bliski — i przeraziła się. Nigdy dotąd nie odczuwała tak silnego pragnienia życia. Na myśl, że dziś albo jutro znów może znaleźć się w klatce na Szucha, na Pawiaku lub pod murem straceń, ogarnął ją strach. Naciągnęła kołdrę na głowę i leżała nieruchomo, szcękając zębami, bez tchu, teraz dopiero zabijana, dręczona z najbardziej wyrafinowanym okrucieństwem. Czowała strużkę potu na skroni, jej plecy były mokre, dusiła się lepkiem, ciemnym strachem, jakby dopiero miała trafić na Szucha, do klatki, do pokoju Stucklera, jakby dopiero za kilka godzin miała spotkać Bronka Blutmana. Nie, mówiła sobie, nie wytrzymam tego! To się przecież już stało, to się już nie powtórzy.

Wtedy rozległ się dzwonek u drzwi. Więc jednak przyszli po mnie, pomyślała, wczoraj wypuścili, ale teraz przyszli. Nagle cały strach ulotnił się. Tak, pomyślała, to koniec. Teraz przyszli mnie zabić.

Wstała z łóżka, narzuciła szlafrok. Dzwonek powtórzył się. Dlaczego nie kopią w drzwi, pomyślała, przecież nie jestem tyle warta, żeby tracili na mnie czas...

Zbliżyła się do drzwi i spojrzała przez wizjer. Po tamtej stronie stał doktor Adam Korda, filolog klasyczny. On zwariował, pomyślała chłodno Irma, dlaczego przychodzi tak wcześniej? Kiedy uchyliła drzwi, filolog klasyczny uśmiechnął się wstydliwie i powiedział:

— Proszę mi wybaczyć, wielce szanowna pani, że nachodzę o tej porze, ale widziałem panią wczoraj powracającą z miasta, i przez całą noc nie zmrzyłem oka... Mój Boże, przeszła pani coś okropnego. Zjawiam się, żeby jej zaofiarować pomoc, jeśli szanowna pani...

Urwał, chrząknął. Stał na progu w popielatych pumpach i ciemnej marynarce, z wyłożonym kołnierzem koszuli, w starrannie oczyszczonych bucikach, z wyrazem twarzy godnego idioty. W ręku trzymał ronderek.

Miała ochotę krzyknąć, uderzyć go w twarz albo rozplakać się z ulgi i rozpacz. I rozplakała się, bo zdążyła jeszcze pomyśleć, że ten człowiek ją uratował, to przecież on uruchomił pomoc różnych osób, był pierwszym ogniwem tego łańcuszka, którego ogniwem ostatnim okazał się stary Müller. Rozplakała się, a doktor Adam Korda rzekł łamiącym się głosem:

— Właśnie pozwoliłem sobie zagrzać mleko. Mleko działa kojąco...

Potem siedzieli w pokoju bawialnym na fotelikach z jasnego jesionu, obitych seledynowym adamaszkciem, przy jesionowym stole, na którym filolog klasyczny, całkiem idiotycznie, postawił rondel z mlekiem. Siedzieli kilka chwil milcząco, w burzliwym półmroku poranka, który sęczył się do pokoju przez ciężkie zasłony w oknach. Słyszał było ptaki. Irma Seidenman otarła oczy. Powiedziała:

— Nie potrafię dziękować. Nie umiem tego wyrazić...

— Pani powinna wypić mleko — odparł. — Myślę, że trochę zbyt wcześnie zaszedłem. Ale doprawdy byłem taki niepokojny.

Zaczął mówić o swym niepokoju. Opowiedział jej o wizycie u pana Pawełka. Wtedy pojęła, że jej ocalenie było sumą starań i lęków wielu ludzi. Gdyby jedno ogniwo zawiodło, byłaby zgubiona. Mój Boże, myślała, wydawało mi się, że jestem samotną, niekochaną kobietą. Myliłam się. Nie jestem sama. Nikt tutaj nie jest sam.

Pijąc mleko pod okiem doktora Kordy, bosa, z twarzą mokrą od łez, drżąca w chłodzie wczesnej godziny, zrozumiała po raz pierwszy w życiu, z pewnością i poczuciem radosnego oddania, że tutaj jest jej kraj, ludzie bliscy i kochani, którym winna nie tylko wdzięczność za ocalenie życia, lecz całą swoją przyszłość. Nigdy jeszcze nie czuła tak głęboko i boleśnie przynależności do Polski, nigdy z taką gorzką radością i oddaniem nie myślała o swej polskości. Polska, myślała, moja Polska. Ci ludzie to właśnie Polska. Ten zacny, niemądry pan w pumphach, to jest Polska, najświętsza rzecz pod słońcem, jaką posiadam. Wezbrała w jej sercu wdzięczność do losu, za to, że uczynił ją Polką, że właśnie tutaj, w tym mieście, wśród tych ludzi przyszło jej cierpieć i trwać. Nigdy w przeszłości nie czuła związków ze swoim żydostwem, wychowała się w środowisku starej, od dziesięcioleci zasymilowanej inteligencji, ojciec jej był wprawdzie okulistą żydowskiej biedoty, krążył niestrudzenie po rachitycznych, pełnych zaduchu podwórkach, wspinał się po wilgotnych, ciemnych schodach żydowskich ofi-

cyn, leczył zasmarkane, brudne dzieci żydowskie w dzielnicy biedy i poniżenia, lecz sam był światłym, wykształconym i dobrze sytuowanym człowiekiem, dla którego własna przynależność była tak oczywista, że nie poświęcał jej żadnej niepewnej i dręczącej myśli, a podobnie czuł jej mąż, doktor Ignacy Seidenman, znakomity rentgenolog o naukowych aspiracjach, wychowanek ekskluzywnych szkół, absolwent Montpellier i Paryża, człowiek światowy, najprawdziwszy Europejczyk z jakim się kiedykolwiek zetknęła, i ci dwaj ludzie właśnie, ojciec i mąż, ukształtowali ją, ulepili z niej dziewczynkę, pannę na wydaniu, kobietę wreszcie, wolną od wszelkich wahań i niepokojów, wynikających z kwestii religii lub rasy, dalekiej od wszelkiego żydostwa, z którym łączyło ją tylko bardzo odległe wspomnienie jakiegoś brodatego starca, mówiącego do niej, gdy była jeszcze małym dzieckiem, niezrozumiałym językiem, i głaszczącego jej buzię sękatą ręką, wspomnienie dziadka, który zmarł kiedy liczyła może pięć, a może sześć lat, Żyda z dawno minionej epoki, łączącego ją obojętnie i bezboleśnie z tym tajemniczym pochodzeniem, z egzotyczną aurą żydostwa, która co prawda otaczała ją na ulicy, dawała znać o sobie niekiedy zgrzytem antysemityzmu, lecz przecież działało się to na marginesie jej życia, bo była błękitnooką blondynką, ładną kobietą o czarującym uśmiechu i smukłej sylwetce, więc żydostwo nie miało z nią żadnego związku, istniało oddzielnie, bez niej i poza nią, poza sensem jej istnienia, obecne wprawdzie, lecz przecież obce. Nigdy w przeszłości nie czuła związków z żydostwem, to wiedziała z całą pewnością! Ale może właśnie z tego powodu nie czuła także związków z polskością, bo polskość była dla niej jak powietrze, którym oddychała, po prostu oczywistość. I dopiero teraz, pijąc mleko, pod czujnym spojrzeniem tego komicznego człowieka w pumpach i sznurowanych bucikach, zaczęła sobie uprzytamniać, że polskość jest wartością jej życia, że jest Polką i że do Polski należy. A przecież nawet w klatce na Szucha tak nie myślała. Wtedy myślała o przeklętej papierośnicy, fatalnym zbiegu okoliczności, który będzie ją kosztował życie. Tam, na Szucha, nie czuła się ani Żydówką, ani Polką, może była kimś więcej, bo człowiekiem skazanym na śmierć, a jednocześnie kimś nieokreślonym i niedokończonym przez los, albo raczej nieokreślonym i niedokończonym we własnej świadomości, bo cierpiała z powodu metalowego pudełka, to ten przedmiot — jak sądziła — zagrażał jej życiu, tylko on i nic więcej! Nie miała umrzeć jako Żydówka ani jako Polka, z przyczyny swej występnej przynależności rasowej albo narodowej, lecz jako

ofiara splotu idiotycznych pomyłek, zdruzgotana przez lekki przedmiot, przez swój sentyment do pamiątki po zmarłym mężu. I dopiero teraz, w obecności doktora Kordy, pośród ptasich głosów za oknem, przetykając ciepłe mleko, przeżywała jakieś swoje wyzwolenie, określała się, odnajdywała przynależność.

Miało się w przyszłości okazać, że wybór, jakiego wtedy dokonała, pod czułym i czujnym spojrzeniem miłośnika Cycerona i Tacyty, był błędny, a w każdym razie wątpliwy. Nie dla niej. Dla innych. Kiedy opuszczała Warszawę, nie pamiętała doktora Kordy i rondelka z mlekiem. Lecz gdyby Bóg pozwolił jej wówczas wrócić do wspomnień sprzed wielu lat, wiedziałaby z całą pewnością, że opuszcza Warszawę wbrew woli i pragnieniom doktora Kordy, że duch doktora Kordy, przebywający w wieczności, zapłakał gorzko i pobiegł poskarżyć się swemu Stwórcy. Lecz zmarli nie decydowali o jej losie.

Po wielu latach, zagubiona na obczyźnie, cokolwiek śmieszna, jak większość starych i samotnych kobiet, przywoływała czasem wspomnienia z Polski. Już nie oglądała w lustrze swoich smukłych stóp. Były zniekształcone i napawały ją obrzydzeniem, podobnie jak skóra rąk, pokryta ciemnymi plamami, fałdy tłuszczu na szczupłym niegdyś karku, nade wszystko zaś zapach ciała, mdły i przenikliwy zarazem, obcy zapach starości, z którą nie chciała się pogodzić. Wtedy myślała czasem o Polsce, bo starzy ludzie doskonale pamiętają odległą przeszłość, wracają do niej, aby tam szukać siły trwania, odnajdywać siebie młodymi, pięknymi i otoczonymi miłością. Szukała zatem swej przeszłości, więc siłą rzeczy szukała Polski i swoich z Polską związków. Było to jednak smutne i odrażające. Polska ładna, pogodna i życzliwa łączyła się z tym, co już od dawna nie istniało, z meblami małżeńskiego mieszkania Irmy Seidenman przed wojną, z klatką schodową, wyłożoną kokosowym chodnikiem wiśniowej barwy, ozdobioną posągami kobiety z pochodnią w ręku. Pogodna i życzliwa Polska to był widok z okien salonu na ruchliwą ulicę, po której jęklonie sunęły tramwaje, konie ze śladami potu na zadach ciągnęły platformy, przemykały prostokątne samochody, za którymi biegali mali chłopcy, usiłując pochwycić w dłonie dym, ulatający z rur wydechowych. Była to również twarz doktora Ignacego Seidenmana w świetle lampy, jego dłonie na biurku, pośród niezliczonych wykresów, zdjęć i notatek, sporządzanych na luźnych arkuszach. Był to smak ciastek z firmy Lardelli, czekoladek z firm Wedel albo Fuchs, witryna sklepu „Old England”, futra u Apfelbauma, zapach dobrych kosmetyków Elisabeth Arden w perfumerii na Kra-

kowskim Przedmieściu, a także zapach książek w czytelni Kozłowskiego nieopodal, kawiarnie, dorożki, ładne kobiety, mili mężczyźni, grzeczne dzieci.

Irma zdawała sobie sprawę, że to jest wizerunek niepełny i jednostronny, bo przecież dawna Polska była również biedna, brudna, zacofana, ciemna, krzykliwa, zbuntowana. Przez wiele lat po wojnie Irma należała do ludzi, którzy z ogromnym wysiłkiem, bez reszty oddani swojej misji, usiłowali likwidować zaległości minionego czasu, kształcili uparcie tę Polskę, budowali przedszkola, szkoły, uniwersytety, i zgodnie z nakazem dawnych poetów nieśli oświatę w lud, aby kraj wydzwignąć z zacofania. Była więc świadoma, że wizerunek przedwojennej Polski, który przywoływała z pamięci wcale nie jest pełny i nie odpowiada historycznej rzeczywistości. A jednak tylko tamta Polska była dla niej życzliwa, tylko tamta wyglądała pogodnie i pięknie. To była moja młodość, mówiła sobie u schyłku życia, drepając po paryskich ulicach, stukając laseczką po paryskim bruku. To była moja młodość i jedyna Polska, jaką posiadałam naprawdę.

Czas wojny zacierał się w jej umyśle. Od chwili wybuchu wojny otwierała się w jej pamięci czarna przepaść, bez światła i barw. To pewne, że była w tamtej czeluści. Ale nie pamiętała siebie, swojej twarzy, myśli i uczuć, bo ciemność zamazywała kontury. A Polska późniejsza, w której spędziła większą część życia, była po prostu obca. Moje skrzypce są chyba pęknięte, mówiła Żydówka Irma Seidenman-Gostomska, grzejąc stare kości na ławeczce w Ogrodzie Luksemburskim, moje skrzypce fałszują. Kiedy wgłębiała się w przeszłość, chciała z tych swoich skrzypiec wydobyć właściwy, głęboki ton. Ale one chyba naprawdę pękły wtedy, wiosną roku 68. Naprawdę pękły i już nie można ich było skleić.

Ptaki przelatwały za oknem. Z daleka przejechał tramwaj. Filolog klasyczny wstał z krzeselka, uśmiechnął się i odsłonił okno. Wczesne słońce dymiło nad dachami domów. Irma poczuła, że jej bose stopy marzną. Wyglądam śmiesznie, pomyślała, muszę się ubrać. Ale filolog wcale nie kwapił się do wyjścia.

— Pan Pawełek był przerażony — powiedział. — Zapewnił mnie, że natychmiast podejmie starania. Pani małżonek był zapewne przyjacielem jego ojca, nieprawdaż...

— Tak — odparła — służyli kiedyś w jednym pułku. Pan pozwoli, ja tylko włożę coś na nogi...

Uśmiechnął się niemądrze. Ale nie wychodził. Więc wstała

i poszła się ubrać. Słyszała jego pochrząkiwanie w pokoju bawialnym. Narzuciła na siebie suknię, wciągnęła pończochy. Spojrzała w lustro. Nie, nie zrobię makijażu, pomyślała, to nie byłoby na miejscu w takiej chwili. Zdecydowała również, że musi natychmiast zmienić mieszkanie. Papiery także. Może wyjedzie z Warszawy? Gdzie wyjadę? To przecież bez sensu. Tylko w Warszawie mam oparcie, tutaj są życzliwi ludzie. I po co zmieniać mieszkanie, dokumenty? Przecież nazywam się Maria Magdalena Gostomska, jestem wdową po oficerze. Lepszych papierów nigdy nie zdobędę. Ten biedny doktor Korda nie ma pojęcia, że jestem Żydówką. Czy jestem Żydówką? Absurd! Nazywam się Gostomska. Nigdy nie byłam kim innym.

Układając włosy przed lustrem, szybko i byle jak, poczuła nagle żal do Pawełka, że uważa ją za Irmę Seidenmanową, że ją pamięta jako Żydówkę. Jestem Gostomska, Pawełku, mój mąż służył w pułku razem z twoim ojcem! Odrzuciła z hałasem grzebień na półeczkę, odwróciła twarz do lustra. Zwaruję, pomyślała, muszę się opanować, muszę mieć władzę nad sobą, bo inaczej pomiesza mi się w głowie. Pawełku, wybacz mi, przecież wiem, że żyję dzięki tobie! Znow spojrzała w lustro i uśmiechnęła się. Wiedziała od dawna, że Pawełek był w niej zakochany. Jeszcze przed wojną, kiedy był miłym, grzecznym chłopcem, spotkała go przypadkowo na ulicy i zabrała na lody do „Europejskiej”. Nad pucharkiem lodów pochyłał swoją pasową, zawstydzoną buzię. Potem, ilekroć całował Irmę w rękę, rumienił się i zbyt głośno szurał nogami. Wiedziała, jak szybko z chłopca stawał się młodym mężczyzną. Na pewno biegał za ładnymi dziewczętami, całował je w ciemnych kątach, śnił o nich. Ale o niej śnił także. Przed rokiem jechali rikszą. Siedział sztywny i napięty, w niewygodnej pozycji, wychylony ku prawej stronie, aby w żadnym razie nie dotknąć jej uda. Kiedy riksha gwałtownie skręciła, a Irma pochyliła się i przylgnęła do niego ciałem, zawołał ochrypłym gosem: „Przepraszam panią!”. Jego dłoń dotknęła jej ramienia. Cofnął się. Był blady, oczy miał chore, jak umierające zwierzę. On się wciąż we mnie podkochuje, pomyślała wtedy nie bez radosnej satysfakcji. Nie miał jeszcze dwudziestu lat, ona była o kilkanaście lat starsza. Jest taki ładny, pomyślała wtedy. Ale nade wszystko był zabawny w swej niezręczności i cierpieniu. Wiedziała, że to przeminie. Lubiła Pawełka. Był miłym, dobrze wychowanym, rozumnym chłopcem, łączył ją z przedwojenną przeszłością, należał do krajobrazów jej zmarłego męża. Kiedy Pawełek odwiedzał ją czasem w mieszkaniu na Mokotowie, lubiła wspominać minione

czasu. Doktor Ignacy Seidenman także lubił Pawełka. Zawsze, ilekroć go spotykał, pytał o postępy w szkole i częstował cukierkami. Doktor Ignacy Seidenman w ogóle lubił dzieci, cierpiał trochę z tego powodu, że sam nie mógł mieć synka. Towarzystwo Pawełka, jego ujmujący, trochę zażenowany sposób bycia, wpływały kojąco na Irmę. Lecz kiedyś, podczas jednej z wizyt, uchwyciła jego spojrzenie. Było to spojrzenie mężczyzny, który pożąda kobiety. Nie zdawał sobie z tego sprawy, wciąż jeszcze był niezręczny i szczerzy w swoich młodzieńczych uczuciach. Ale od tamtego dnia Irma miała się na baczności. Udzielił się jej niepokój Pawełka i już nie była tak swobodna. Może nawet unikała odwiedzin Pawełka. Nic więcej się nie stało.

Pożalowała tego dopiero w kawiarni na avenue Kléber po trzydziestu latach. Paweł powiedział wtedy:

— Była pani pasją mojej młodości.

Miał na sobie popielaty garnitur, niebieską koszulę, źle związane krawaty. Patrzył na nią spoza ostrych szkielec w ciemnej oprawie. Gęste, posiwiałe włosy wciąż jeszcze opadały mu na czoło. Położyła starą wyschniętą dłoń na jego dłoni:

— Niech pan tego nie mówi. Nie trzeba żartować ze starej kobiety...

Ale oboje wiedzieli, że mówił prawdę. Byli już jednak poza czasem, który się wypełnił. Uśmiechnął się, pokiwał głową.

— Kiedy pan wraca? — spytała miękko i znów pogładziła jego dłoń.

— Pojutrze, pani Irmo. Niech pani jednak pomyśli o odwiedzinach w niedalekiej przyszłości. Nie chcę nalegać, ale...

— To bezcelowe — przerwała. — Pan sam wie najlepiej, że to bezcelowe.

— Wiem — odparł po chwili. — Rozumiem. I ciągle nie mogę się z tym pogodzić.

— Ja się już pogodziłam.

— Pani ma prawo — rzekł niechętnie. — Ja nie.

— Dlaczego? Co pana łączy z tymi ludźmi? Skąd w panu ta solidarność z nimi, poczucie jakiejś wspólnoty?! Co pan ma z tymi ludźmi wspólnego?

Wzruszył ramionami.

— Na pozor nic. Pani ma rację. Sam się na tym łąpię, że głupio pewne sprawy odbieram. Nie mam z nimi nic wspólnego, to prawda! Poza drobiazgiem. Jestem tam, i oni są tam również...

— Ale nie jest pan odpowiedzialny za to, co robili i dalej

robią... Na miły Bóg, panie Pawle, nie wolno brać takiej odpowiedzialności.

— A czy ja biorę?! — zawołał. — Ale sprawa nie jest taka prosta. Pani dobrze wie, że nie jestem odpowiedzialny, sto tysięcy ludzi także to wie. A pozostali? Ci wszyscy tutaj? Jestem stamtąd. Jestem jednym z nich. Niechże pani o tym pamięta. To jest piętno, którym zostałem naznaczony. Zresztą...

Przerwał, zdjął okulary i począł je starannie przecierać chusteczką.

— Co zresztą? — spytała. Nadal w milczeniu przecierał szkła.

— Niechże pan wykrztusi, Pawle. O jakie „zresztą” tu chodzi?

— A czy pani, mówiąc całkiem szczerze, biorąc Boga za świadka, czy pani nie czuje podobnie? To przecież nie oni panią wygnali, lecz Polska. Pani przecież tak myśli.

— Wcale nie! — odparła, lecz wiedziała, że nie mówi całej prawdy. Bo położył palce na pękniętych skrzypcach, poruszył zerwaną strunę. Gdyby wtedy, na avenue Kléber, spoglądając czujnie w oczy Pawła i wsłuchując się w swój popękany instrument, pamiętała o dniu wielkiego lęku, nazajutrz po wyjściu z klatki Stucklera, gdyby pamiętała lot tamtych ptaków za oknem, twarz doktora Kordy, bursztynowe zasłony w pokoju bawialnym, smak mleka, które piła, gdyby wtedy pamiętała to wszystko, co działo się, kiedy już ubrana i uczesana byle jak weszła z powrotem do pokoju, zwracając się do filologa klasycznego ze słowami: „Niechże pan jeszcze nie odchodzi, to miłe, że pan dba o mnie w takiej chwili!”, a on, rzecz jasna, usiadł skwapliwie na jesionowym krzeselku, wybitym seledynowym adamaszkiem, aby dalej przez kwadrans opowiadać o wizycie kierowcy rikszy, który przyniósł mu wiadomość o zatrzymaniu pani Gostomskiej pod absurdalnym zarzutem semickiego pochodzenia, gdyby więc pamiętała o tym wszystkim w kawiarni przy avenue Kléber, zrozumiałaby zapewne tę prostą prawdę, nigdy jednak nieświadomioną, bo przecież wcale nie pamiętała przeszłości, lecz tylko jej okrucy, fragmenty, jak plamy światła, precedzone przez gęstą koronę drzewa, otóż wówczas zrozumiałaby banalną prawdę, że Stuckler wcale jej nie upokorzył, ani przez chwilę nie czuła się wtedy upokorzona, poniżona, odarta ze swej godności, zhańbiona, bo Stuckler chciał ją tylko zabić, gdy tamci, którzy po latach przyszli do gabinetu i nie pozwolili zabrać teczek z doku-

mentami, odebrali jej coś więcej niż życie, bo prawo bycia sobą, prawo samookreślenia.

Za oknem, gdy wróciła do pokoju bawialnego, gruchał gołąb. Tak jak na tarasie kawiarenki przy avenue Kléber. Lecz nigdy nie zwracała uwagi na ptaki. Lubiła psy, koty, nade wszystko konie. Ptaki były w powietrzu, ona chodziła po ziemi. Nie zwracała uwagi na ptaki. Po kwadransie doktor Korda wyszedł nareszcie, a ona wróciła do łóżka. Rozebrała się szybko, rzuciła suknię i bieliznę byle jak, na krzesło i wsunęła się pod kołdrę. Zasnęła gwałtownie, w udręce i lęku, że nigdy więcej już się nie obudzi. Snił się jej Stuckler, który szedł za trumną doktora Ignacego Seidenmana. W pogrzebie brało udział wiele osób. Nie rozpoznawała twarzy. Szukała siebie na tym pogrzebie, ale nigdzie jej nie było. Coraz bardziej gorączkowo szukała, przerażona, że nie uczestniczy w ostatniej drodze własnego męża, którego tak bardzo kochała. Wreszcie odnalazła Irmę. Stuckler trzymał ją pod ramię. Mówiła do Stucklera: „Nazywam się Gostomska, Maria Magdalena Gostomska, wdowa po oficerze wojsk polskich!”. Stuckler odpowiedział: „Przecież wiem o tym, to jest pogrzeb pani męża... Czy pani sądzi, że przyszedłbym na żydowski pogrzeb?!”. A jednak był to pogrzeb doktora Ignacego Seidenmana. Potem znów znalazła się w klatce, a Stuckler wołał: „Oszukała mnie pani. Ta papierosnica wyjaśnia wszystko. Proszę pokazać małżę prawego ucha!” Nie miała ucha. Na miejscu ucha znajdowała się krwawiąca rana.

Kiedy obudziła się wreszcie, było południe. Długo leżała, spoglądając w sufit. Znów ten sam sen ją prześladował. Czy nigdy się nie wyzwolę? — myślała. — Czy nigdy nie zaznam spokoju?

XXI

Sędzia Romnicki uśmiechnął się i powiedział:

— Jaki miły chłód tutaj.

Siostra Weronika odparła, że od strony ogrodu warzywnego bywa niekiedy upalnie, ale mury klasztorne są grube, pamiętają bardzo dawne czasy, to właśnie sprawia, że wewnątrz panuje zazwyczaj chłód.

— Przeprowadziłem to dziecko — rzekł sędzia i lekko pogłodził Joasię po ciemnej główce. — Tak, jak było umówione.

— Rozumiem, panie sędzio — powiedziała siostra i przyjrzała się dziewczynce.

— Ona jest trochę za ciemna — dodała po chwili.

— Tego się dzisiaj nie wybiera, siostrzo.

— Nie stawiam sprawy na ostrzu noża, ale pan sędzia rozumie.

— Dzisiaj człowiek rozumie więcej niż powinien — rzekł sentencjonalnie sędzia i znów pogłaskał włosy Joasi. — To jest urocza dziewczyneczka.

— Zawsze trzeba mieć nadzieję, panie sędzio.

— Zgodnie z tym, co było ustalone, matka przełożona otrzymała już pewne środki — powiedział sędzia. — Wojna nie będzie trwała wiecznie. Zresztą, jeśli zajdzie potrzeba, zawsze jestem do dyspozycji.

— Nie idzie o to — odparła siostra Weronika. — Znamy nasze obowiązki, panie sędzio.

Teraz ona pogłaskała dziecko po włosach.

— Więc ma na imię Joasia — rzekła. — Jeszcze dzisiaj nauczymy ją paciorka.

— To się może przydać — powiedział sędzia.

Siostra Weronika podniosła na niego czujne oczy.

— To będzie katolickie dziecko, panie sędzio. Pan przywiódł do nas nie tylko jej ciało, narażone na straszne cierpienia, ale również zbłąkaną duszę.

— Czy siostra sądzi, że zdążyła zbłądzić? Przecież ma dopiero cztery latka. Kto tutaj błądzi, siostrzo?

— Jest chyba zrozumiałe, że wychowamy ją po katolicku. To nasz obowiązek względem tego dziecka. Pan sędzia jest katolikiem, więc nie muszę dowodzić...

— No, tak — powiedział sędzia Romnicki i już chciał zakończyć rozmowę, lecz nagle odczuł podwójną przykrość. Że będzie musiał się rozstać z tym miłym, milczącym dzieckiem. I że dolega mu coś ważnego, jakiś niepokój, gorycz, lub zgoła rozczarowanie. Powiedział więc:

— Niech siostra czyni, co uważa za godziwe. Ale nic z tego nie będzie.

— Z czego nic nie będzie?

— Z tego katolicyzmu, — siostrzo — powiedział sędzia i sam się zdziwił, że jakaś złość, a może nawet mściwość za-brzmiała w jego głosie.

— Co też pan sędzia opowiada?! — rzekła surowo siostra Weronika.

— To ja coś siostrze powiem! No, niechże siostra sama

przez chwilę pomyśli. Czy są różni bogowie? Czy to jest jedyny i niewysłowny Bóg Wszechmogący, który nas wywiódł z ziemi egipskiej, z domu niewoli?! Ten sam, siostrzo, nasz Pan Bóg miłościwy, ten co się objawił Mojżeszowi w krzaku gorejącym, wołał do Jakuba, wstrzymał nóż Abrahama nad karkiem Izaaka. To jest nasz Bóg, Stwórca wszystkich ludzi...

— Panie sędzio, niechże pan wspomni Zbawiciela! — zawołała siostra.

— Ja siostrze coś powiem, ja coś powiem! Jestem katolik, rzymski katolik z dziada pradziada, szlachcic polski. Wierzę w Pana Jezusa, w opiekę Najświętszej Maryi Panny, we wszystko wierzę, co mi dała religia i moja Polska kochana. I niech mi siostra łaskawie nie przerywa, bo mnie się nie przerywa, kiedy mówiłem, to mi nawet prezydent Mościcki nie przerywał, choć nie było mu w smak słuchać pewnych rzeczy. Więc jak to ma być, proszę siostry?! To przecież Pan Bóg przeprowadził to dziecko przez pięć tysięcy lat, to Pan Bóg je prowadził za rączkę z miasta Ur do ziemi Kanaan, a potem do Egiptu, a potem do Jeruzalem, a potem do babilońskiej niewoli, a potem na powrót do Ziemi Świętej, a potem na cały rozległy świat, do Rzymu i do Aleksandrii, do Toledo i do Moguncji, aż tutaj, nad Wisłę. To przecież sam Bóg kazał temu dziecku zdeptać całą ziemię od krańca do krańca, żeby na koniec tutaj się znalazło, pomiędzy nami, w tej połodze, w tym końcu wszystkich końców, gdzie już nie ma wyboru, skąd już nie ma ucieczki, jak tylko w tę norę naszego katolicyzmu, naszej polskości, bo tu jest szansa ocalenia życia tego dziecka. Więc jak to ma być z wolą Bożą, siostrzo?! Przez tyle tysięcy lat Bóg prowadził Joasię, żeby inni ludzie mogli Go poznać, mogli Go zrozumieć, żeby mógł przyjść Zbawiciel, nasz Pan Jezus, w którego wierzymy i którego wielbimy na Krzyżu Świętym, bo za nas umarł, dla naszego zbawienia umarł pod ponckim Piłatem, więc przez tyle tysięcy lat prowadził ją Pan, żeby teraz, u samego kresu miała się przepoczwaryć, żeby miała sobie zaprzeczyć, bo tak chce Adolf Hitler? Proszę bardzo, niech ją siostra ochrzci, nauczy pacierza i katechizmu, niech się nazywa Joasia Bogucka, albo Joasia Kowalczykówna, ja to oczywiście załatwię, za dwa, najdalej za trzy dni będzie gotowa metryka chrztu, nie do podważenia. Nie do podważenia, po umarłej katolickiej dziewczynce. Więc wszystko w najlepszym porządku. Proszę bardzo. Niech siostra nad tym dzieckiem pracuje. Po chrześcijańsku, po katolicku, po polsku także! Myślę, że tak należy. To jest potrzebne dla jej przy-

szości, przeżycia. Ale powiem siostrze, co o tym myślę. My tutaj, to jedno. A Pan Bóg to rzecz inna. I Pan Bóg nie dopuści! Ja w to wierzę mocno, proszę siostry, że On do takiego końca nie dopuści. I będzie z niej żydowska kobieta, pewnego dnia obudzi się w niej żydowska kobieta i otrzepie ona z siebie obcy pył, aby wrócić tam, skąd przychodzi. I będzie jej brzuch płodny i wyda na świat nowych Machabeuszy. Bo nie wytraci Pan swojego ludu! To siostrze mówię. A teraz niech ją siostra zabierze i niech ona uwierzy w Pana naszego, Jezusa Chrystusa, bo to jest, jak siostra dobrze wie, pokarm życia. Ale kiedyś zbudzi się w niej Judyta, wydobędzie miecz i utnie głowę Holofernesa.

— Niech pan sędzia nie płacze — powiedziała siostra Weronika.

Zgodnie z tym, co powiedział, obudziła się w Joasi żydowska kobieta, lecz nie taka, jakiej pragnął. Może sędzia nie do końca rozumiał zamysły Boga, a może przyczyna była całkiem trywialna. Joasia doczekała końca wojny jako Marysia Wiewióra, dziewczynka katolicka, sierotka spod Sanoka, którą odumarli rodzice, ubodzy rolnicy. Żyła po wojnie jak olbrzymia większość jej rówieśnic, uczyła się pilnie i myślała o karierze stomatologicznej, bo miała zwinne ręce, a jej sposób bycia kojąco wpływał na ludzi. Lecz kiedy ukończyła dwadzieścia lat usłyszała głos, który ją wołał. I poszła za nim w pokorze oraz posłuszeństwie. Wyemigrowała do Izraela, gdzie nie nazywała się już Marysia Wiewióra, lecz Miriam Wewer. I nie została dentystką. W pewien czas po przybyciu do nowej ojczyzny, gdzie naród wybrany budował swoje państwo, aby już nigdy nie doznawać prześladowań i upokorzeń, zobaczyła dziwnych Żydów, którzy może pochodzili z jej snów i przeczuć, a może po prostu zjawili się z powodów całkiem przyziemnych, tak jak przed nimi zjawiali się inni, do nich podobni. Ci Żydzi nosili berety, panterki i wysokie buty. Niemal z reguły trzymali pod pachą pistolety maszynowe, gotowe do strzału. Mieli ogorzałe twarze i posługiwali się skąpym językiem uzbrojonych mężczyzn. Miriam widziała, jak jednym kopniakiem wyważali drzwi palestyńskich domów, a potem pod lufami wyprowadzali na jaskrawe słońce pustynne ogłupiałych fedainów, ich kobiety i dzieci. Wtedy w jej sercu obudziła się jakaś dzika, krzykliwa radość, jakby nareszcie coś się wypełniało, jakieś oczekiwanie tysięcy, jakby wypełniało się marzenie zakneblowane w pokoleniach Izraela, które przepalało do ena umęczone ciała milionów Żydów Europy i Azji,

przez całe wieki ożywiało te gromady wiecznych wędrowców, mrocznych, ciemnych, załężnionych, żarliwych, przeklętych i zarazem wybranych. Kiedy Miriam po raz pierwszy zobaczyła potężnego mężczyznę, który jednym kopniakiem rozwała drzwi palestyńskie, wydało się jej, że sam Bóg jest przy tym obecny i kiwa głową przyzwalająco. Miriam nie myślała wtedy o przestraszonych i bezradnych fedainach, lecz o całej wściekłej ludzkości, którą wreszcie jeden żydowski kopniak przywołuje do porządku. Miała oczy pełne łez i czuła w sercu dumę, wdzięczność, gorącą wiarę. Odpuszczała światu wszelkie zło, bo oto nadeszła chwila wyrównania krzywd, a Żydzi nigdy więcej nie mieli być wzgardzeni, poniżeni i prześladowani. Lecz uniesienie trwało krótko. Miriam była wrażliwą dziewczyną, miała też sporo zdrowego rozsądku. Ale może nie starczyłoby jej ani wrażliwości, ani rozsądku, gdyby nie zobaczyła następnej sceny, całkiem banalnej wprawdzie, najzwyklejszej w świecie, a jednak zawsze pouczającej. Żołnierze izraelscy, jak to żołnierze po prostu, stanęli twarzą w twarz z fedainami, lecz fedaini byli przygarbieni, ramiona trzymali na karkach, dzieci ich wrzeszczały, choć nic się nie działo, kobiety ich wrzeszczały, choć nikt się nimi nie interesował, natomiast żołnierze stali na nogach rozkraczonych, twarze mieli kamienne, dość głupie i pyszałkowate w tym kamiennym wyrazie, a palce trzymali na spustach pistoletów. I tak stali, nieporuszeni, oczekując dalszych rozkazów oficera, który cienką trzcina rysował na piasku pustynnym jakieś kreski i kółka, do tego stopnia skupiony w obliczu swej historycznej decyzji, że wyglądał jak bezmyślny błazen, czym wcale się nie różnił od wszystkich innych oficerów pod słońcem. Lecz dla Miriam była to scena przejmująca, ponieważ dziewczyna uprzytomniła sobie, że uczestniczy w bezsensie, bo przecież żaden kopniak wymierzony palestyńskiemu fedainowi nie wymaże stuleci historii i nie będzie stanowić zadośćuczynienia. Nie była na tyle wykształcona, aby w owej chwili pomyśleć, że uczestniczy w odwiecznym naśladownictwie i że ci izraelscy żołnierze nawet swego władczego rozkroku nie wymyślili, bo tak zawsze stawał człowiek uzbrojony i świadomy swojej siły przed człowiekiem bezbronnym i pokonanym. Tak stawał rzymski legionista przed obalonym Machabeuszem i Odoaker na ruinach Koloseum, frankoński rycerz wobec powiązanych postronkami Sasów, Maluta Skuratow przed kłęzącymi bojarzynami, Bismarek w Wersalu, Stroop na ulicy płonącego getta, wietnamski partyzant pod Dien-Bien-Fu. I tak mieli stawać przed pokonanymi wszyscy zwycięzcy, aż do skoń-

czenia świata. Więc nie było to wiele warte i Miriam odeszła, aby najszybciej zapomnieć o tej głupiej scenie. Ale przecież nie mogła zerwać pęt, które ją związały, tak jak inni nie mogą ich zerwać. Później jakoś do nich przywykła i już nie odczuwała ani satysfakcji, ani szczególnej dolegliwości.

Dopiero w jakiś czas potem, kiedy skonstatowała, że jest w ciąży, a jej izraelski mąż cieszył się z tego faktu hałaśliwie i pyszałkowato, jak gdyby zrobienie dziecka własnej żonie było wydarzeniem bez precedensu na tym najlepszym ze światów, Miriam przeżyła noc wielkiego lęku. Było upalnie. Księżyc świecił ponad pagórkami, oliwki i tamaryszki rzucały niebieskie cienie. Miriam stanęła w oknie swego domu. Patrzyła na niebo, księżyc, pagórki. Czuła, jak nigdy dotąd, przejmujący lęk na myśl, że urodzi człowieka. Bała się tego i pragnęła przekląć swoje łono. Przypomniały się jej dziwne słowa z okresu dzieciństwa, spędzonego w klasztorze, odczytywane z Ewangelii cichym, łagodnym głosem siostry Weroniki. I Miriam powtórzyła te słowa, lecz donośnie i gwałtownie, kierując je w stronę nieba: „Panie, czemuś mnie opuścił!”. Wtedy wszedł do pokoju mąż Miriam, który miał czterdzieści siedem lat i osłabiony słuch i powiedział łagodnie: „Ja ciebie nie opuściłem, ja jestem w pokoju obok. Może ci przynieść coś do picia?”. Te słowa pogodziły Miriam z jej przeznaczeniem. Ale kiedy urodziła córeczkę, doznała wielkiej ulgi.

Być może jednak doznałaby takiej samej ulgi, wydając na świat syna.

ACHEVÉ D'IMPRIMER
LE 3 AVRIL 1989
PAR L'IMPRIMERIE
DE LA MANUTENTION
A MAYENNE
N°119-89

